

ALEK ROGOZIŃSKI

Jeden bal.
Jeden martwy Kopciuszek.
I dziesięć osób,
które miały powód, by zabić.



KTO
ZABIŁ
KOPCIUSZKA?

FILIA

ALEK ROGOZIŃSKI

**KTO
ZABIŁ
KOPCIUSZKA?**

FILIA

OŚWIADCZENIE

Jak zawsze uroczyście, z ręką na sercu i kamienną miną zaświadczam, że wszystkie postacie w książce zostały przeze mnie wymyślone, a opisane zdarzenia nigdy nie miały miejsca. Prawdziwy jest jedynie Pepe, który powinien wreszcie zrobić to, co w powieści, czyli otworzyć swoją kawiarnię. Tylko już nie mam siły go do tego przekonywać. Może ktoś z Was go namówi? Próbujcie, a wszyscy na tym skorzystamy i będziemy mieli fajne miejsce, żeby się spotkać, zjeść potrawy, o jakich filozofom się nie śniło, a przy okazji wymyślić kolejną zagadkę kryminalną dla Róży. Trzymam kciuki!

POSTACIE

Róża Krull – autorka powieści kryminalnych, która chciała szukać inspiracji twórczej podczas balu, a zamiast tego wpakowała się w morderstwo.

Paweł „Pepe” Kwiatek – przyjaciel i dawny agent Róży, który otworzył właśnie swoją kawiarnię i w związku z tym nie za bardzo miał czas (i ochotę) pomagać w śledztwie, ale nie zostawiono mu zbyt dużego wyboru.

Beata „Betty” Jankowska – agentka Róży, pozbawiona (w wyniku współudziału w szaleństwach swojej pracodawczyni) możliwości chwalenia się swoją praworządnością.

Cecylia Jodelka – gosposia Róży, przerabiająca – z wolna, ale konsekwentnie – apartament pisarki w połączenie Kościoła Mariackiego z Muzeum Narodowym.

Iwona „Lilian” Kościuk – piosenkarka, która miała być największą sensacją pewnego balu i nawet jej się to udało, tyle że zupełnie inaczej, niż to sobie zaplanowała.

Marta Raj – zazdrosna o popularność swoich młodszych koleżanek gwiazda w kwiecie wieku, która postanowiła udowodnić, że wciąż jest w formie, ale niestety przekonała do tego tylko policjantów.

Justyna Kiljańska – menadżerka Marty, szukająca nowej osoby, której mogłaby pomóc w zrobieniu kariery.

Rafał Wąty – ochroniarz Lilian, który miał więcej mięśni niż szarych komórek, a te ostatnie i tak nijak nie chciały mu działać.

Bartosz Wieteska – dziennikarz pisma „Koktajl”, całkowicie owładnięty obsesją na punkcie Lilian, a zwłaszcza jej „niegrzecznych” zdjęć, które sam tworzył i publikował w Internecie.

Jakub Kwieciński – menadżer Lilian, załatwiający za jej plecami trefne interesy.

Marcin Mojek – gitarzysta w zespole Lilian i zarazem obiekt zakusów wszystkich kobiet, z którymi przyszło mu pracować.

Karolina Durczak – dziewczyna Marcina, niezbyt zadowolona z faktu, że gra na gitarze to nie jedyna umiejętność jej ukochanego, którą chciałaby poznać jego pracodawcy.

Mariusz „Mario” Kosek – youtuber i spec od makijażu, który niegdyś zmusił Różę do założenia sztucznych rzęs, w których wyglądała jak świętej pamięci matka jelonka Bambi. Pomimo to pisarka nadal go lubiła i postanowiła uratować przed więzieniem.

Danuta Stec – aktorka, która nie przyznała się do tego, do czego powinna.

Ewelina Szlagowska – popularna trenerka fitness, która przez Lilian straciła prawie cały dobytek (z należącą do niej siecią siłowni „Bicepsik” na czele).

Barbara Jarosławska – gwiazda telewizji, którą Lilian wygryzła(by) z popularnego serialu.

Tygrys Złocisty – gangster o złotym sercu (niestety, tylko dla dwóch osób na planecie).

Milka Wężowska – autorka powieści grozy, która pozwoliła Róży zawlec się na bal tylko dlatego, że miał tam być dobry catering, ale niestety nie zdążyła sprawdzić, czy nie była to opinia na wyrost.

Ludwik Sobański – zdziwiony decyzją swojej klientki notariusz.

Augustyn Makarski – ksiądz, który chciał być dobry i przez to źle skończył.

Halinka – starsza pani, która chciała zrobić dobry uczynek, a przez przypadek zrobiła jeszcze lepszy.

Krzysztof Darski – obdarzony urodą amanta filmowego komisarz, który dał sobie uroczyste słowo honoru, że na samym początku śledztwa zamknie prowizorycznie Różę w mamrze, choćby tylko na 48 godzin, bo inaczej przez nią zwariuje.

PROLOG

– Uwaga! Uwaga! Jesteście otoczeni! Proszę opuścić budynek z rękami uniesionymi ponad głowę!

Róża potoczyła bezradnym wzrokiem po swoich towarzyszach. Jej gosposia, pani Cecylia, trupioblada na twarzy, przesuwiała w palcach koraliki różańca, bezgłośnie odmawiając kolejne zdrowaśki. Agentka pisarki, Betty, gapiała się w sufit z kamienną twarzą, niewyrażającą żadnego uczucia. Z kolei na obliczu swojego najbliższego przyjaciela, Pepe, Krull zobaczyła wściekłość, a w jego gniewnym spojrzeniu bez specjalnego trudu wyczytała pełen gorzkiej satysfakcji wyrzut: „A nie mówiłem?!”. I wreszcie czwarta osoba, na którą popatrzyła pisarka, siedziała w kucki w kącie pod ścianą, zapłakana i skulona, a jej ciałem co jakiś czas wstrząsały nerwowe drżenia.

– Uwaga! Uwaga! Jesteście otoczeni... – głos z megafonu zabrzmiał w uszach Róży niczym odgłos dzwonu, wzywającego na Sąd Ostateczny. Gdzieś niedaleko rozległ się potężny rumor, oznaczający, że stróże prawa zaczęli forsować drzwi do budynku. Niosące ten odgłos echo potęgowało nastrój grozy.

– Święta Rito, miej nas w opiece! – jęknęła Cecylia. Różaniec wysunął się z jej drżących rąk i upadł na posadzkę. Betty pochyliła się, aby go podnieść. Przy okazji odnotowała z zaskoczeniem, że już wcześniej gdzieś widziała te charakterystyczne, czerwono-czarne koraliki i medalik z jakimś świętym, dumnie

wypinającym nagi, mocno wychudzony tors.

– Rito? – zdziwiła się. – Myślałam, że od spraw beznadziejnych jest święty Tadeusz Juda.

– Rita też – wyjaśniła drżącym głosem Cecylia. – A w takiej chwili lepiej się zwrócić do kobiety.

– Dlaczego? – zapytał Pepe, nieco zaskoczony prezentowanym przez starszą panią feministycznym podejściem do świętych.

– Bo kobiety są skuteczniejsze – wyjaśniła Cecylia, odbierając z rąk Betty różaniec. – Zna pan przysłowie: gdzie diabeł nie może, tam babę pośle? Chociaż z drugiej strony to wstyd, żebym tak mówiła o świętej. Zmówię modlitwę do niej o przebaczenie...

„Jak nic zaczniesz się tu zaraz samobiczować”, przemknęło przez głowę Pepe na widok zafrasowanej miny starszej pani. Cecylia nie zabrała się od razu do modłów, tylko przebiegła wzrokiem po swoich towarzyszach.

– A jeśli już miałabym się pomodlić za was do jakiegoś świętego... – powiedziała w zamyśleniu – to do Jana Bosko, patrona młodych przestępców.

– Mogłoby to nie odnieść żadnego skutku – mruknął Pepe – bo Róża już od dobrej dekady pod niego nie podpada. Po co się modlić nadaremnie?

Pisarka posłała swojemu przyjacielowi zabójcze spojrzenie.

– Jak nas tu za moment policja powystrzela, to sam nie doczekasz chwili, kiedy też przestaniesz pod niego podpadać – powiedziała stanowczo. – Pytam was jeszcze raz, co robimy? Poddajemy się?

– A mamy inne wyjście? – westchnął Pepe.

– Ale wiecie, co to oznacza? – spytała Róża. – Że zamiast dojść do prawdy, wszyscy trafimy za kratki...

Czwarta osoba głośno jęknęła, a następnie wstała, otarła ręką twarz z łez, zrobiła kilka kroków i stanęła na środku pomieszczenia.

– To wszystko przeze mnie – powiedziała cicho, acz stanowczo. – I jeśli ktoś ma za to wszystko odpokutować, to tylko ja.

– Nie wygłupiaj się... – zaczęła Róża, ale osoba wpadła jej w słowo.

– Nie! – bez mała krzyknęła. – Nie pozwolę was skrzywdzić!

– Sami się skrzywdziliśmy – powiedział Pepe. – Teraz już nie znajdziemy z tego wyjścia...

– Niekoniecznie... – zaprotestowała ostrożnie Betty, jak zahipnotyzowana wpatrując się w panią Cecylię. – Zdaje się, że znalazłam to, czego szukaliśmy.

Pozostali skierowali na nią spojrzenia.

– Brakujące ogniwo – powiedziała powoli menadżerka. – Mieliśmy je cały czas przed oczami...

ROZDZIAŁ I

ZAZDROŚĆ

Trzy miesiące wcześniej

„Bardzo miło nam poinformować, że gwiazdą festiwalu opolskiego będzie Lilian, największe odkrycie i sensacja polskiej estrady ostatnich lat...”

– Dlaczego nie ja?!

Wyraźnie zezłoszczona blondynka, siedząca na ozdobnym krześle przed ogromnym lustrem, podświetlonym małymi lampkami, przycisnęła czerwony guzik pilota. Ekran telewizora zgasł, a blondynka z furią cisnęła trzymanym w rękę urządzeniem w ścianę. Zamknęła oczy, przyłożyła dłonie do czoła, po czym przejechała nimi odrobinę do tyłu, odgarniając swoje gęste platynowe loki. Westchnęła, otworzyła oczy i przez moment z satysfakcją studiowała wzrokiem centymetr po centymetrze swoją twarz, dzięki pomysłowości chirurgów plastycznych pozbawioną jakichkolwiek oznak starzenia, a przy okazji, co jakoś umykało jej uwadze, też i sporej części rysów. Każda taka lustracja upewniała

Martę Raj w przekonaniu, że gdyby nie cholerne gazety, wiecznie przypominające w nawiasie przy jej nazwisku tę upiorną liczbę, nikt nie dałby jej czterdziestu pięciu lat. No, może trzydzieści pięć, a i to mocno na wyrost. Skąd właściwie wziął się ten diabelski zwyczaj podkreślania wszędzie wieku? Kogo to obchodzi?! I czemu akurat jest tam liczba lat, a nie waga, wzrost albo wymiary? Zwłaszcza te ostatnie spokojnie mogliby podawać, bo dzięki wiecznej diecie i regularnym wizytom na siłowni wciąż miała je idealne. To nie, uparli się właśnie na wiek, jakby nie wiedzieli, że kobietom nigdy, przenigdy nie powinno się go wypominać. Szlag by to... Wyraz zadowolenia zniknął z jej twarzy. Skierowała wzrok odrobinę wyżej, tak aby spotkał się w lustrze z tym należącym do towarzyszącej jej w pokoju osoby.

– Dlaczego nie ja?! – powtórzyła z furją. – Tylko ta tleniona Barbie, która nie potrafiłaby zaśpiewać czysto nawet „Wlazł kotek na płotek”?! Co ona takiego zrobiła, że wszędzie się ją zaprasza i anonsuje jako największą atrakcję? Ile ona ma platynowych płyt, nagród, wyróżnień?! Kim ona, do jasnej cholery, jest?!

– Kimś, kto ma milion fanów na Facebooku i drugie tyle na Instagramie – wyjaśniła łagodnie towarzysząca jej agentka Justyna Kiljańska, szczupła i znacznie od niej młodsza szatynka – oraz nagrał kilkanaście piosenek, które mają po kilkadziesiąt milionów wyświetleń na YouTube...

– To wszystko jedno wielkie oszustwo! Fanów można sobie kupić na Allegro! Wyświetlenia też! – wykrzyczała Marta, po czym wzięła kilka głębokich oddechów i popatrzyła na swoją towarzyszkę z nieco mniejszym gniewem, a większą ciekawością. – A ilu ja mam właściwie fanów na Facebooku?

– Czternaście tysięcy czterystu czterech – odpowiedziała agentka. – Wczoraj było jeszcze czterystu ośmiu, ale po tym, jak się wieczorem pokłóciłaś z ciotką, odlajkowała cię ona, jej mąż, córka i kot.

– Jak to kot..?! Kot lubił moją stronę? Jakim cudem?!

– Twoja ciotka założyła mu profil na Facebooku. „Pusik, mały fajfusik”. Też był w gronie twoich fanów, ale od wczoraj przestał.

– Chcesz mi powiedzieć, że ta mała po roku śpiewania dziadowskiego „umpa-umpa” i machania silikonami ma milion fanów, a ja po dwudziestu pięciu latach spektakularnej kariery – czternaście tysięcy, wliczając w to jakiegoś wyliniałego sierściucha?! – wykrzyczała blondynka. – Za co ja ci płacę?!

– Za to, żebyś załatwiła ci takie wieczory jak dzisiejszy... – wyjaśniła cierpliwie Justyna.

Marta wstała z fotela. Przez chwilę sprawiała wrażenie, jakby miała ochotę spoliczkować swoją agentkę, po czym sięgnęła po stojącą na stole kryształową karafkę z wodą i z furją cisnęła nią o podłogę.

– Nienawidzę jej..! – wrzasnęła, nie precyzując, czy ma myśli karafkę, wodę czy też swoją rywalkę, po czym teatralnym gestem przyłożyła sobie rękę do serca,

udając, że brakuje jej tchu. – O Boże, gdzie są moje krople?!

Justyna, najwyraźniej przyzwyczajona do podobnych scen, ze spokojem i niewyrażającą żadnego uczucia miną sięgnęła do swojej torebki. Wyjęła z niej i podała swojej pracodawczyni małą buteleczkę. Marta pozbyła się zakrętki, po czym łyknęła dziesięć kropli znajdującego się wewnątrz płynu. Agentka pomyślała z przekąsem, że według dołączonej do leku ulotki jest to dawka zbyt mała nawet dla nastolatków. Choć, z drugiej strony, w rozwoju psychicznym jej pracodawczyni znajdowała się, jej zdaniem, na etapie mniej więcej ośmiolatki, więc w sumie nawet i taka ilość mogła jej pomóc. Nie wspominając już o tym, że serce miała jak dzwon, i to co najmniej Zygmunta, zatym równie dobrze mogłaby je leczyć sokiem porzeczkowym albo „Mazowszanką”.

– Przypominam ci, że za ten wieczór zainkasowałaś dziesięć tysięcy – powiedziała uspokajająco. – To chyba nieźle, biorąc pod uwagę, że zaśpiewałaś na gali tylko trzy piosenki...

– Gali?! – piosenkarka opadła na fotel, przybierając zrezygnowaną pozę. – „Wędliny roku”?! To nie gala, tylko jakaś żenada. Nawet nikt tego nie transmitował! Miały być media, fotoreporterzy i gwiazdy. A był jeden paparazzi-alkoholik, który nachlał się i zasnął, zanim zrobił jakiegokolwiek zdjęcie, i jeden dziennikarz-emeryt, do którego musisz wszystko wyrzaskiwać, bo jest głuchy, a czego nie usłyszysz, to potem zmyśli. A nie, przepraszam! Były jeszcze gwiazdy. Dwie osoby, które odpadły z programu „Rolnik szuka żony”, i jedna dziewczuszka, która zgłosiła się na casting do „Mam talent!”, ale jej nie przyjęli. Gwiazdy..! A poza tym widziałaś publiczność?! Skąd oni wytrzasnęli tych ludzi? Dowieźli z noclegowni albo izby wytrzeźwień?!

– Przesadzasz!

– Można było chociaż nie podawać im wcześniej jedzenia – westchnęła Marta, już z mniejszą złością, a większą rezygnacją. – Jak zaczęli siorbać flaczki, to zagłuszyli mojego pianistę! Musiałam się domyślić, kiedy zacząć śpiewać, bo nie słyszałam muzyki. Poza tym to jest właśnie to, o czym mówię. Ta plastikowa wywłoka dostanie sto tysięcy za występ na festiwalu, który obejrzy kilka milionów ludzi, a ja za dziesięć tysięcy muszę śpiewać na gali ku czci krakowskiej podsuszanej, w dodatku dla jakichś leśnych dziadków, którzy uważają, że antyperspirant to nazwa środka chwastobójczego...

– Nie było tak źle – uśmiechnęła się Justyna. – Poza tym sama popatrz! Dostaliśmy tyle salami i kabanosów, że wystarczy do lata...

– Wypchaj się! – Marta sięgnęła po wacik, nawilżyła go płynem do zmywania make-upu i zaczęła pozbywać się warstwy tapety, którą godzinę wcześniej nałożyła jej zaprzyjaźniona makijażystka. – I zabierz to wszystko. Wiesz, że nie jadam takich świństw...

– Czasami zastanawiam się, czy w ogóle cokolwiek jadasz... – mruknęła

Justyna, pakując do dużej torby prezenty od organizatorów. – Zamówiłam ci taksówkę. Jeśli pozwolisz, nie będę cię dziś odwoziła. Chcę jak najprędzej wrócić do domu...

Piosenkarka oderwała wacik od twarzy i spojrzała na swoją towarzyszkę z niepokojem.

– Nie jest lepiej..? – zapytała ze współczuciem.

– Nie. – Justyna pokręciła głową. – Jest znacznie gorzej. Namawiam go, żeby jednak poszedł do szpitala, ale nie da się przekonać. Uparty jak osioł!

– Mam nadzieję, że zacznie mu się polepszać. Dość długo to już trwa...

– Za długo... – westchnęła agentka. – To co? Poradzisz sobie?

– Jasne, przecież nie jestem małym dzieckiem!

„Małym z pewnością nie...”, pomyślała z rozbawieniem Justyna. Podeszła do swojej pracodawczyni i ucałowała ją w policzek.

– I nie przejmuj się Lilian – powiedziała pocieszającym tonem. – Poznałam ją ze dwa miesiące temu na jakimś przyjęciu. To głupiutka, naiwniutka dziewczuszka, która po prostu spotkała na swojej drodze odpowiednich ludzi i ma teraz swoje pięć minut. Ale brak jej potencjału, żeby zrobić z nich kwadrans. A do tego jest złośliwa i arogancka, więc szybko straci zwolenników. Zobaczysz, za rok, dwa nikt już o niej nie będzie pamiętał, a ty nadal będziesz gwiazdą. Głowa do góry!

Minutę później Marta została w pokoju sama. Skończyła zmywać makijaż. Do przyjazdu taksówki miała jeszcze dziesięć minut. Podniosła sponiewieranego pilota z podłogi i ponownie włączyła telewizor. Zmieniła kilka razy kanał, aż wreszcie dotarła do jakiegoś muzycznego, na którym, ku jej złości, prezentowany był teledysk Lilian. Przez chwilę oglądała z obrzydzeniem, jak jej młodsza koleżanka po fachu, ubrana jedynie w bardzo kuse body, wygina się w seksownych pozach na łóżku, tuląc się do przystojnego modela.

– Za rok, dwa nikt nie będzie o tobie pamiętał... – powiedziała na głos, czując, jak wzbiera w niej kolejna fala nienawiści, po czym zmrużyła oczy i dodała: – Już ja tego dopilnuję...

ROZDZIAŁ II

ZAPROSZENIE NA BAL

Róża Krull cierpiała na brak weny. Zdarzało jej się to rzadko, ale kiedy już przychodziło, doprowadzało ją do szaleństwa. Wszyscy znajomi pisarki wiedzieli, że w takiej sytuacji należy jej jak najszybciej zejść z oczu, a potem przez jakiś czas unikać jak ognia, z każdym bowiem kolejnym dniem, zakończonym widokiem pustego ekranu komputera, na którym nie pojawiło się ani jedno słowo nowej książki, w Róży narastała chęć mordy. Jedyłą osobą w miarę bezpieczną była jej gosposia, która – choć kusząco znajdowała się tuż pod ręką i teoretycznie była dla Krull najbliższym obiektem do rozładowania frustracji – żywiła ją i zdejmowała z niej w takich chwilach wszystkie obowiązki domowe oraz co bardziej znoszone ubrania. Bez troskliwej opieki pani Cecylii Róża z pewnością w mgnieniu oka zaczęłaby przypominać kościotrupa z kołtunem na łbie i krogulczymi paznokciami, żyjącego w kurzu, pleśni i bałaganie, którego nie dałby rady posprzątać nawet Herkules. W takich bowiem chwilach pisarka, zagrzebana w sądowych aktach spraw kryminalnych i wertująca w poszukiwaniu natchnienia artykuły prasowe

o śledztwach, zapominała o podstawowych życiowych czynnościach. Paradoksalnie jednak to właśnie gosposia bała się pisarki najbardziej. Trudno się temu dziwić, skoro każdego ranka tuż po przekroczeniu progu mieszkania Róży witało ją z dnia na dzień coraz bardziej krwiożerczo brzmiące pytanie: „Pani Cecylio, i kogo ja mam, do jasnej cholery, ukatrupić?!”. Na jego dźwięk starsza pani czym prędzej czyniła znak krzyża, a potem udawała się do kuchni, aby zacząć pracę od szybkiego zmówienia modlitwy do świętego Leonarda z Noblac, patrona ludzi zagrożonych napadami ze strony szaleńców i furiatów.

Tego wieczoru zgnębiona Róża, która znów nie napisała przez cały dzień ani słowa, doszła do wniosku, że oto nadszedł kres jej literackiej kariery. I że nic na to nie poradzi. Widocznie po wydaniu czternastu książek wypaliła się i musi teraz poszukać sobie innego zajęcia. Nie ma co płakać, nie ma co rwać włosów z głowy, trzeba się z tym po prostu dzielnie pogodzić i poszukać sobie nowego zawodu. Powodowana tą myślą, pisarka zamknęła w komputerze okienko z edytorem tekstu i już miała otworzyć stronę portalu pracuj.pl, aby się rozeznać, w jakich branżach można obecnie liczyć na szybkie zatrudnienie i czy w związku z tym powinna się zapisać na kurs rękodziela artystycznego, wyplatania koszy wiklinowych czy też raczej garncarstwa, kiedy uświadomiła sobie, że już od kilku dni nie ściągała maili. Być może tam czeka na nią jakaś kusząca propozycja? Odpaliła skrzynkę pocztową, która powiadomiła ją, że zaczyna ściągać ponad sto nowych wiadomości. Z rezygnacją zauważyła, że idzie to w takim tempie, jakby jej komputer magicznie przeniósł się w lata dziewięćdziesiąte i znów działał na modem. Bardzo niecenzuralnie pomyślała o swoim dostawcy usług internetowych, westchnęła i sięgnęła po komórkę.

– Miłka? – upewniła się, słysząc w telefonie dziwaczne rżenie, które nasunęło jej podejrzenie, że dodzwoniła się do swojej przyjaciółki w chwili, kiedy schodzi ona z tego padołu i to w wyniku zadławienia się. Ewentualnie ktoś ją właśnie dusi. – Wszystko w porządku?

– Yhm... – usłyszała w odpowiedzi. – Bczkaj!

Jeszcze przez chwilę w telefonie rozlegały się rozmaite charkoty.

– No, teraz już mogę... – oznajmiła wreszcie Miłka swoim normalnym głosem. – Co się urodziło?

– Znowu coś żarłaś? – zapytała z wyrzutem Róża, pomna tego, że kilka dni wcześniej przyjaciółka oznajmiła jej, że po wizycie u lekarza przechodzi właśnie na wyjątkowo restrykcyjną dietę, w wyniku której ma zamiar zgubić na wadze pół siebie, a której głównym założeniem jest to, aby po godzinie osiemnastej doznawać amnezji i zapominać, że ma się w domu cokolwiek do jedzenia. – Przecież jest dwudziesta!

– Piłam wodę... – wyjaśniła Miłka niezbyt pewnym głosem.

– Oceniając po odgłosach, to chyba bezpośrednio z wodopoju albo koryta –

mruknęła Róża. – A tak serio?

– No dobrze, zrobiłam sobie naleśniczki z nutellką – przyznała Miłka niechętnie. – Jak zadzwoniłaś i chciałam cię przywitać, to mi krem wleciał nie w ten otwór, co trzeba...

– Miłka..! – jęknęła Róża, po czym pomna, ile razy jej koleżanka próbowała już zrzucić nadwagę, dodała. – Znowu?!

– Ta dieta była do bani – powiedziała stanowczo Miłka. – Wymyślił ją jakiś psychopata. Ewentualnie ktoś z zaburzoną cyklem dziennym, lubiący kłaść się spać równo z zachodem słońca. A ja prowadzę wampirzy tryb życia, piszę głównie nocami i wtedy mam najbardziej wilczy apetyt. Pamiętasz, jak czytałyśmy o tym, że ciężka robota umysłowa jest prawie tak wyczerpująca jak praca górnika na przodku? No, to weź teraz i powiedz górnikowi, jak wyjedzie na górę z kopalni, że ma się umartwiać! Mówię ci, przy tej diecie budziłam się z rana i od razu myślałam tylko o tym, że po osiemnastej znów będę głodna, więc jadłam wszystkiego trzy razy więcej, na wszelki wypadek. Po szesnastej czułam się już tak pełna, jakbym miała w żołądku słonia i to z trąbą, a potem wszystko zaczynało mnie boleć. Do luzu! Więc zarzuciłam te męki i teraz postanowiłam jeść normalnie, tylko mniejsze porcje...

– Doprawdy? – zdziwiła się niewinnie Róża, usiłując jednocześnie usunąć sobie sprzed oczu wizję Miłki w górniczym galowym mundurze i czako z obfitym pióropuszem, polującej ze strzelbą w dłoniach na słonie w afrykańskim buszu. – To ile zrobiłaś tych naleśniczków?

– Ledwie kilka...

– Miłka!

– No, dobrze. Osiem. Ale zjadłam tylko dwa...

– Jasne, bo ci przeszkodziłam – prychnęła Róża. – Nie mam do ciebie siły. Rób, co chcesz. Ja w innej sprawie...

– Tak? – nieco stłumiony głos Miłki wskazywał na to, że liczba niezjedzonych przez nią naleśników wkrótce ulegnie zmianie.

– Co robisz, jak nie masz natchnienia?

Miłka przez chwilę milczała, choć dźwięki w telefonie wskazywały na to, że raczej nie zamarła w bezruchu. A przynajmniej nie od szyi w górę.

– Morduję – oznajmiła wreszcie. – Kilka zwłok i od razu pisanie rusza z miejsca.

– U mnie z reguły też. – Choć jej przyjaciółka nie mogła tego widzieć, Róża pokiwała głową. – Tylko aktualnie nie mam pomysłu, kogo utłuc. Tobie łatwiej, bo nie piszesz kryminałów. W horrorach możesz sobie wyróżnić pół planety i zwalić to na siły nadprzyrodzone. A ja muszę mieć nie tylko trupa, ale i umotywowanego mordercę, mylne tropy, śledztwo i wszystko ułożone w logiczną całość.

– Czy ty właśnie spostonowałaś moją pracę? – W głosie Miłki słychać było

lekkie oburzenie. – Myślisz, że tak łatwo jest wymyślić coś, czego ludzie się jeszcze przestraszą?! Czasem mam wrażenie, że wszystko już było! Karły, klauny, dzieci, staruszki, cała paleta niepełnosprawnych, każda możliwa zjawia z zaświatów, zwierzęta, a nawet warzywa!

– Warzywa?!

– Yhm... Obejrzyj sobie „Atak krwiożerczych pomidorów”. W drugiej części gra George Clooney. Ostatnio w skrajnej rozpaczy wymyśliłam psoszczura.

– Kogo?

– Psa o głowie szczura. Miał być straszny, ale mój wydawca powiedział, że jego dziewięcioletnia córka z miejsca się w nim zakochała. I zapytał, czy nie myślałam nigdy o pisaniu książek dla dzieci. Czujesz..? Swoją drogą, on jest jakiś walnięty, że daje moje powieści do czytania dziewięcioletce. Więc sama widzisz, wcale nie mam łatwiej...

– No dobrze, powiedzmy, że mamy tak samo trudno – przyznała sprawiedliwie Róża. – Co nie zmienia faktu, że nadal nie umiem wymyślić przekonującego morderstwa. Rusz głową, kogo mogłabym zabić?

– Kuriera, który drugi dzień nie może mi dostarczyć kozaków – powiedziała stanowczo Miłka. – Jego zdaniem mieszkam w domu, którego nie ma. Coś à la peron w „Harrym Potterze”, ja go widzę, a on nie. A przynajmniej nie umie tu trafić. Ale to psychopata, więc boję się z nim awanturować. Dziwię się, że nie wywalili go po aferze z kotkiem. Opowiadałam ci o niej?

– Nie.

– Jedna moja sąsiadka, miła starsza pani, jechała do sanatorium, niedaleko Warszawy, i poprosiła swoją przyjaciółkę, żeby zaopiekowała się w czasie jej nieobecności kotem. Przyjaciółka się zgodziła, sąsiadka spokojnie wyjechała, a po dwóch dniach kicius wywinął numer i był zszedł. Staruszek już z niego był, schorowany, więc nic dziwnego. Przyjaciółka natychmiast po stwierdzeniu zgonu zadzwoniła do sanatorium z hiobową wieścią i z pytaniem, co ma zrobić z truchłem. Sąsiadka, jak już opłakała stratę, powiedziała: „Wiesz co? Tu jest tak pięknie. Na pewno by mu się bardzo podobało. Wyślij go, a ja go pochowam po cichutku gdzieś w ogrodzie, niech zostanie w takim cudnym miejscu. Chcę tu często wracać, to go będę odwiedzała”. I ta przyjaciółka, nie myśląc wiele, zapakowała kota w pudełko i wezwała kuriera. Ponieważ zwierząt nie można przewozić, tym bardziej martwych, więc zadeklarowała, że tam jest ceramika, jakieś filizanki czy coś w tym guście. I ten wariat to odebrał, ale po drodze pudełko mu spadło przez przypadek z motocykla, więc zajrzał do środka, czy mu się tam nic z tej ceramiki nie potłukło. Otworzył, patrzy, a tam zdechły kot, więc się przeraził, że to on go zabił. Pozbył się zwłok, złapał jakiegoś identycznego kota na pobliskiej budowie, pojechał do weterynarza, żeby zaordynował zwierzątku zastrzyk usypiający, po czym dostarczył przesyłkę. Następnego dnia przyjaciółka

zadzwoiła do sąsiadki z ostrożnym pytaniem, czy już pochowała kota, a ta na to: „Zgłupiałaś? Gdzie ja go miałam chować, jak on mi tu biega po pokoju, jakby się najadł szaleju!”. Wcześniej też było nieźle, bo jakaś bizneswoman kupiła w Londynie za siedemnaście tysięcy funtów odjechaną rzeźbę pod tytułem „W jaźni przemysłowej”, składającą się z siedemnastu artystycznie powyginanych stalowych prętów. Z racji ogromu dzieła trzeba je było na potrzeby transportu rozmontować na części pierwsze, a potem złożyć z powrotem. I ten sam kurier znów w czasie transportu miał wypadek, bo ktoś mu wjechał w tył furgonetki. Wystraszył się, że przy tej okazji żelastwo się powyginało, więc pojechał do kumpli na warsztat i poprosił, żeby je wyprostowali. Ponoć mina pani, która za siedemnaście tysięcy funtów otrzymała siedemnaście prościutkich stalowych prętów, była bezcenna.

– I mimo to nadal pracuje?! – zdumiała się rozbawiona Róża.

– Owszem. Od kiedy wydobyłam z centrali informację, że to właśnie on sprawuje tymczasową pieczę nad moimi kozakami, przez cały czas się zastanawiam, w jakiej postaci je otrzymam. Zakładam nawet wariant, że przywiezie mi żywą krowę... To co? Mordujesz go?

Róża przez chwilę rozważała propozycję.

– Nie – zdecydowała w końcu. – Kurier jest do bani. Ostatnio zabijałam w książkach tylko przedstawicieli klasy robotniczej i mój wydawca twierdzi, że potrzebuję teraz czegoś bardziej glamour.

– Glamour..? Może chce, żebyś opisała to, w czym sama brałaś udział?

Róża wzdygnęła się nieco, przypominając sobie mrozące krew w żyłach sceny, których niedawno była świadkiem. Najpierw morderstwa dwóch swoich koleżanek po piórze w czasie zjazdu pisarzy pod Krakowem, następnie samobójstwo, które na jej oczach popełnił kandydat do tytułu Mistera Polonia i które potem też okazało się zabójstwem.

– Absolutnie nie – powiedziała. – Poza tym to też w sumie nie podpadało pod określenie glamour. Myślę raczej nad morderstwem na jakimś wielkim balu dla śmietanki towarzyskiej albo w czasie ekskluzywnego przyjęcia, na przykład w ambasadzie czy w jakimś pałacu...

– I kto niby miałby tam zginąć? – zainteresowała się Miłka, oceniając po odgłosach, a zabierając się właśnie za naleśnik numer cztery.

– No, akurat tego nie wiem... – powiedziała smętnie Róża. – Za to mam już okładkę tej książki, bo mój wydawca zniemacka doznał iluminacji, w czasie której miał wizję niczym Baba Vanga, i ją w natchnieniu zaprojektował. Jest na niej pantofelek.

– W sensie orzęsek? – spytała niepewnie Miłka, która w ramach dodatkowych zajęć niedawno redagowała podręcznik do biologii i wymienione przez przyjaciółkę słowo nie chciało jej się skojarzyć z niczym innym niż

pierwotniak.

– Sama jesteś orzęsek! – zdenerwowała się Róża. – Pantofelek. But! Czerwony. Z obcasem w kałużę krwi. I teraz mam dorobić do tej okładki książkę. Czujesz? W dodatku glamour!

Przez chwilę obie milczały.

– Mam! – ucieszyła się nagle Miłka. – Skoro masz pantofelek, to musi być i bal. Obowiązkowo! Wielki, charytatywny, prestiżowy. Taki, o udział w którym biją się nawet wielkie gwiazdy, o bogaczach już nawet nie mówiąc, i wszyscy uważają za zaszczyt, że się ich tam zaprosi. Szał ciał, kelnerzy w smokach, kawior, szampan, te klimaty. Zaprasza się tam tylko nielicznych, a reszta musi zapłacić krocie, żeby się tam dostać. I na tym balu odbywają się też aukcje. W tym jedna specjalna, na której zostaje wystawiony jakiś wyjątkowo cenny przedmiot. Kolia należąca kiedyś do królowej albo coś w tym guście. Wszyscy czekają na to z wypiekami na twarzy. I w chwili, kiedy wreszcie kolia pojawia się na widoku, nagle gaśnie światło i pada strzał. Powstaje zamieszanie, a kiedy znów robi się jasno, okazuje się, że kolii nie ma, a za to jest trup...

– Na kilometr zalatuje przygodami Arsena Lupina – oceniła Róża ostrożnie. – A kto ginie?

– O, i to jest najlepsze! Poczekaj, tylko przełknę! – Róża odliczyła w myślach kolejny naleśnik. – Ginie dziewczyna, która została zaproszona na bal tylko dlatego, bo była wychowanką fundacji, dla której zbierane są tego wieczoru pieniądze, a teraz w niej pracuje – powiedziała Miłka. – Sierota, piękna, biedna, nieśmiała i nieco tajemnicza. Przyszła z szefem fundacji i od razu zauroczyła się z wzajemnością w przystojnym młodym biznesmanie...

– Czyś ty do reszty oszalała?! – zgorszyła się Róża. – Chcesz zabić Kopciuszkę?!

– No, coś w tym stylu... W kryminale zawsze potrzeba elementu zaskoczenia. Wszyscy myślą, że kto jak kto, ale taka bohaterka nie może zginąć, a tu trach i mamy zwłoki. Co ty na to?

Róża przez chwilę rozważała wizję swojej przyjaciółki. O ile sam pomysł balu, aukcji, kradzieży i morderstwa wydał jej się całkiem niezły, o tyle gorzej było z osobą ofiary. Mordować Kopciuszkę? Zmieniać treść bajki..?

– Muszę ją zabić? – zapytała w tonie lekkiego protestu. – Nie mogę jej na przykład zniknąć? Żeby na koniec okazało się, że tylko ktoś ją porwał? I padną sobie z biznesmanem w objęcia?

– Już ty nie bądź taka druga specjalistka od szczęśliwych zakończeń – mruknęła Miłka. – Jedna Witkiewicz jest i wystarczy. Gdyby ona pisała kryminały, to na końcu denat wstałby, otrzepał się i żył długo i szczęśliwie. U ciebie ma być inaczej. Kopciuszek musi wykitować i już. Postanowione!

– Niby dlaczego? – zapytała Róża niechętnie. – Kto ją zabił i z jakiego

powodu?

– Mam ci wymyślać też i tropy? – zdziwiła się Miłka. – Nie ma sprawy, tylko odpalisz mi część honorarium.

– Zwrócę ci w prowiancie – obiecała Róża. – A tak przy okazji, ile naleśników ci jeszcze zostało?

– Dwa – przyznała Miłka bez cienia wstydu w głosie. – Ale myślę, więc jem. Czuję się usprawiedliwiona. A co do tropów, proszę bardzo. Na balu flirt Kopciuszka i biznesmana obserwuje jego zazdrosna dziewczyna. Nie podoba jej się to, co widzi, czuje się zagrożona, bo ukochany już wcześniej dawał jej znać, że się nią trochę znudził, więc pozbywa się konkurentki.

– Czyli dziewczyną biznesmana jest Pytia – mruknęła Róża.

– Czemu?

– Bo skoro, nie mając wcześniej pojęcia o istnieniu Kopciuszka, przyniosła ze sobą na bal pistolet, żeby ją zastrzelić, to ma dar przewidywania przyszłości!

– No dobrze, może go przyniosła, żeby zastrzelić kogoś innego i ukraść kulię, ale na widok harpii uwodzącej mężczyznę jej życia zmieniła zdanie – wyjaśniła Miłka. – Nie wiem, to ty jesteś kryminalistką. W mojej książce okazałoby się, że jest wampirzycą i zamiast strzelać przyssałaby się jej do tętnicy. Koniecznie w damskiej toalecie, bo z niewiadomych przyczyn moje czytelniczki to uwielbiają. Umieściłam tam tyle scen mordu, że teraz już sama boję się korzystać z publicznych wychodków, bo wydaje mi się, że wszyscy tam dybią na moje życie. Jak ostatnio wlaźła za mną do wucetu babcia klozetowa, bo zapomniałam przy wejściu zostawić jej dwa złote, to narobiłam krzyku i prysnęłam jej w oczy gazem pieprzowym. Cud, że dała się potem ugłaskać zaledwie pięćdziesiątą. No, więc u mnie w powieści byłaby wampirzyca, a u ciebie musi być logiczniej, więc pokombinuj. Ja ci tylko podsuwam pomysły. O, masz następny. Szef fundacji! Kopciuszek odkryła, że zdefraudował pieniądze. I teraz facet musi się pozbyć niewygodnego świadka, a w tłumie o to najłatwiej, bo jest dużo podejrzanych. Albo w ogóle na balu miał zginąć ktoś inny, tylko nastąpiła pomyłka i Kopciuszek zginął przez przypadek...

– Na to w ogóle się nie zgadzam! – zaprotestowała Róża stanowczo. – Jak już mam zabić taką bohaterkę, to tylko z bardzo ważnej przyczyny, a nie przez pomyłkę. Ale nieźle kombinujesz. Brak diety służy twojej kreatywności. Weź kolejny naleśnik i myślmy dalej...

Przez następne kilka minut grono potencjalnych morderców Kopciuszka wydatnie wzrosło, za to Miłce wraz z ostatnim naleśnikiem skończyły się pomysły, a w dodatku po wpałaszowaniu ogromnej ilości Nutelli zachciało jej się kiszonych ogórków. Ustaliwszy, że w związku z taką rozbieżnością pożądanym kulinariów jak nic musi być w stanie błogosławionym (co z kolei należy zaliczyć do kategorii cudów, zważywszy na fakt, że nie uprawiała seksu od roku), przyjaciółki na chwilę

się rozłączyły. Miłka musiała bowiem udać się po ogórki do spiżarni znajdującej się w piwnicy jej domu, a tam nie miała zasięgu. Dało to Róży kilka minut wytchnienia od krwawych rozważań, który to czas postanowiła przeznaczyć na przejrzenie ściągniętych już maili. Kilka pierwszych zawierało reklamy rozmaitych środków i usług, kolejne były informacjami od jej wydawcy i zawierały dość obrazowe opisy tego, co z nią zrobi, jeśli znów nie otrzyma od niej na czas nowej książki, aż wreszcie prawie pod sam koniec pisarka trafiła na wiadomość, przy czytaniu której po plecach przeleciał jej zimny dreszcz. Zanim dobiegła do końca maila, rozległ się sygnał telefonu. Róża przesunęła palcem po ekranie smartfona.

– Nie uwierzysz, co się stało! – powiedziała, przez cały czas wpatrując się jak zahipnotyzowana w ekran komputera. – Odebrałam właśnie maila od TelePolu sprzed kilku dni z zaproszeniem na Wielki Charytatywny Bal Fundacji „Sięgaj Gwiazd”, połączony z aukcją cennych fantów. Na pojutrze, prawie w moje urodziny, bo mam je parę dni później. Uwierzyłybyś w taki zbieg okoliczności?!

W słuchawce przez chwilę panowała cisza.

– Miłka..?

– Tak sobie myślę – powiedziała przyjaciółka Róży poważnym tonem – że jeśli chcesz się tam wybrać, to chyba już wiem, co ci kupię na prezent urodzinowy.

– No..?

– Kamizelkę kuloodporną. Cholernie bym nie chciała, żeby te urodziny były twoimi ostatnimi.

– No przecież nie ja tam będę robiła za Kopciuszka! – powiedziała stanowczo Róża. – Nie ten wiek, nie mówiąc już o tym, że nie mam czerwonych szpilek. A jeśli już koniecznie chcesz kupować kamizelki, to od razu dwie. Zaproszenie jest dwuosobowe i chyba masz nie po kolei w głowie, jeśli myślisz, że po tym, cośmy natworzyły dzisiaj wieczoru, pójdę tam bez ciebie!

ROZDZIAŁ III

ZMIENIONY ZAPIS

Rankiem następnego dnia w kancelarii „Sobański i synowie” siedzący za ogromnym mahoniowym biurkiem w gabinecie, który bardziej przypominał salę biblioteczną niż miejsce pracy prawnika, nobliwy, siwy pan zdjął okulary, końcówką jednego z zauszników zaczął się drapać po kąciku ust, co zawsze czynił w momentach zadumy, i z nieukrywanym zaskoczeniem popatrzył na siedzącą przed nim dziewczynę.

– Jest pani tego pewna? – powiedział, ciesząc się w duchu, że choć klientka bardzo przypominała z twarzy jego wnuczkę, to na tym podobieństwa się kończyły. Co prawda, z reguły starał się nie oceniać nikogo po wyglądzie, tym razem jednak Ludwik Sobański nie mógł powstrzymać się przed refleksją, że wizyta u notariusza w stroju, który tylko kilkoma niezbyt istotnymi detalami różnił się od kostiumu kąpielowego, nie najlepiej świadczyła o wyczuciu sytuacji i dobrych manierach jego interesantki. W czasie powitania w ostatniej chwili ugryzł się w język, by nie zadać pytania, czy wstąpiła do niego w drodze na basen, co w sumie nie byłoby

wcale takie dziwne, biorąc pod uwagę, że ów znajdował się w tym samym wieżowcu, tyle że kilkanaście pięter wyżej. Potem zaś starał się w ogóle na nią nie patrzeć, żeby nie mieć grzesznych myśli. Niestety, był chyba jedynym mężczyzną w kancelarii, który próbował kamuflować swoje odruchy, bo na przykład starszy z jego synów zajrzał już trzy razy do gabinetu, niby to po jakieś brakujące akta, a młodszy, którego pokój oddzielała tylko szklana ściana, siedział od kilku minut z nosem wbitym w taflę i oczami wygłodzonego kotka, patrzącego na wystawę sklepu z wędlinami.

– Dżizas, czy wyglądam, jakbym ścirowała wołowinę?! – oburzyła się dziewczyna, posyłając notariuszowi zniecierpliwione spojrzenie i wykrzywając usta w ironicznym uśmiechu. – Przecież nie przyszedłabym tu, gdybym nie była pewna.

– Ale wszystko..? – dopytał notariusz, zostawiając na później rozgryzienie użytej przez jego klientkę dość zagadkowo brzmiącej w jego uszach metafory. Przyzwyczał się już do tego, że po każdej jej wizycie zasiada do komputera, sprawdzając, co oznaczają zwroty typu „u Paździocha”, „dermoszpan”, „pojechać po rajstopach” czy „wbijać na balet”, i ku swojemu zdumieniu dowiadując się, że ów ostatni nie ma nic wspólnego z przedstawieniami w Teatrze Narodowym.

– Tak, wszystko! Co do grosza.

– I mamy już tego nie dzielić.

– Nie!

Najwyraźniej jego klientka nie miała żadnych wątpliwości co do swoich dyspozycji, w przeciwieństwie do prawnika, który jeszcze raz uważnie spojrzał na dokument leżący na jego biurku oraz kartkę, którą trzymał w dłoni.

– Jest pani pewna, że nie chce zostawić niczego krewnym, rodzinie?

– Moja rodzina to banda alkoholików i obiboków. Niech balują za swój kesz, a nie mój!

– A pani poprzedni główny spadkobierca..?

– Myślę, że zajmował dostatecznie dużo za moimi placami. Po śmierci mojej mamy miałam go za najlepszego przyjaciela, ale teraz... Nie wiem, czemu wszyscy – mówiąc to, spojrzała znacząco na notariusza – kolesie uważają, że jak laska jest ładna, to musi być pustułka. Ja nie jestem! Gdyby jeszcze wydał ten szmal na coś fajnego. Wóz, chatę, kanikuły w tropikach. Ale nie, frajer roztrwonil wszystko na drosy, białko i hel.

Ludwik jak zawsze nie zrozumiał połowy wypowiedzi swojej klientki, ale chyba po raz pierwszy, odkąd półtora roku temu się poznali, spojrzał na nią z szacunkiem i poczuł wyrzuty sumienia na wspomnienie, że sam też rechotał, kiedy jeden z jego pracowników pozwolił sobie na mocno seksistowski komentarz, brzmiący: „Szkoda tylko, że ona nie ma IQ nawet w połowie takiego jak obwód w biuście”.

– Jak długo zajmie panu napisanie tego papieru?

– Nie dłużej niż kwadrans...

– W takim razie poczekam – dziewczyna poprawiła się na fotelu, przyjmując wygodniejszą pozycję, po czym spojrzała na notariusza ze zniecierpliwieniem. – No, już, ruchy, ruchy! Czas to pieniądz.

Następnie trochę nachyliła się i wskazującym palcem uczyniła przyzywający ruch. Prawnik wyciągnął szyję i przechylił się nad biurkiem, patrząc na nią wyczekująco.

– I niech pan powie swojemu młodemu – wyszeptała dziewczyna konfidencko – że jeśli tylko się ogarnie, zrobi coś z tą koszmarną kozią bródką, wyleczy dzioby i przestanie nosić aparat na zębach, to może do mnie uderzyć w konkury. Żona prawnika – to brzmi całkiem cool!

Kilka minut później Ludwik przebiegł wzrokiem krótki tekst na dokumencie, który miał dać do podpisu dziewczynie, nadal bezskutecznie starając się pozbyć sprzed oczu wizji jej ślubu ze swoim synem, podczas którego wszyscy goście zgodnie z jej życzeniem ubrani byli tak, jakby szli na plażę. Jako że średnia wieku jego krewnych wynosiła gdzieś tak koło sześćdziesiątki, nie był to atrakcyjny widok.

– Gotowe, proszę sprawdzić...

Dziewczyna wzięła od niego dokument i przebiegła go wzrokiem, a następnie podpisała swoim imieniem i nazwiskiem: Iwona Kościuk.

ROZDZIAŁ IV

W CIEMNOŚCI

Duża aula Politechniki Warszawskiej zawsze robiła na Róży ogromne wrażenie. Zresztą nie tylko na niej. Imponująca rozmachem wykończenia i detali ogromna sala stanowiła część zaprojektowanego przeszło sto lat temu przez architektów Stefana Szyllera i Bronisława Rogóyskiego, pieczołowicie odbudowanego po zniszczeniach wojennych budynku, który z niewiadomych przyczyn przez lata upodobali sobie politycy. To właśnie tu odbył się niesławny kongres, na którym proklamowano założenie PZPR, a bliżej współczesnych czasów swoje spotkania i wiece wyborcze organizowała PO. Na gigantyczny krążankowy dziedziniec wchodziło się przez westybul, za którym zaczynała się paradna klatka schodowa. Na trzech kondygnacjach okalających dziedziniec rozciągały się szerokie korytarze, z których przez ogromne arkady filarowe można było spoglądać na sale na dole. Ostatnie piętro krążanków przykryto płaskim stropem, a nad całością górowało szklane sklepienie, rozpięte na stalowej konstrukcji, przesłoniętej plafonem, zdobionym w zielono-żółty wzór przenikających się

gwiazd i kół. Całość stanowiła oszałamiające swoim przepychem połączenie antyku, renesansu i baroku. Maruderzy zauważali co prawda, że aula prezentuje się tak, jakby jej twórca nie potrafił się do końca zdecydować, w jakim stylu chce ją wykonać, ale nawet i oni przyznawali, że udało mu się osiągnąć zapierający dech w piersiach efekt końcowy. Dzisiaj dodatkowego uroku nadawało temu miejscu pomysłowe oświetlenie, sprawiające, że Róża po przekroczeniu progu sali poczuła się tak, jakby trafiła nie do zamkniętego i zadaszzonego pomieszczenia, ale chodziła po dziedzińcu jakiegoś pałacu i miała nad głową gwiazdziste niebo. Wrażenie to potęgował fakt, że na ten wieczór wybrała z garderoby czarną balową suknię swojej prababci, którą odziedziczyła po niej lata temu i jak dotąd nie znalazła okazji, aby zaprezentować światu. Poza tym jej głowę zdobił mały, wysadzany diamentami diadem i w sumie w tym wszystkim pisarka czuła się jak księżniczka. Do pałacu pasowała więc jak ulał. Jedyne minus stanowił fakt, że aby zatuszować mankamenty swojej figury, Róża musiała się najpierw wbić w sznurowany gorset i czuła się teraz jak Scarlett O'Hara. Było to zresztą o tyle zrozumiałe, że pomagająca jej w przygotowaniach pani Cecylia poczuła w sobie nagle ducha i siłę Mammy z „Przeminęło z wiatrem” i ścisnęła ją w pasie tak, że pisarka ledwo oddychała. Efekt jednak osiągnęła znakomity i nawet Pepe, który zaoferował, że podwiezie ją i Miłkę na miejsce, nie wygłosił na jej widok żadnego ze swoich złośliwych komentarzy, ograniczając się jedynie do pełnej troski uwagi: „Mam tylko nadzieję, że masz pod spodem elegancką bieliznę, bo przecież jak cokolwiek zjesz, to ci ta kiecka eksploduje na wszystkie strony świata”.

– Mają panie zaproszenie dla VIP-ów – podziwianie auli przerwał Różę miły męski głos, należący do szalenie przystojnego młodego bruneta w czarnym smokingu. – Przyjęcie dla gości specjalnych odbywa się na pierwszym piętrze. Jeśli panie pozwolą, zaprowadzę je tam. Proszę za mną...

Młodzieniec wyciągnął rękę przed siebie, zapewne chcąc wskazać drogę, ale zapatrzona w niego Róża zrozumiała ten gest inaczej i czule ujęła jego dłoń. Na twarzy chłopaka pojawiła się wyraźna konsternacja. Miłka parsknęła śmiechem.

– Stara gropa! Trzeba było od razu powiedzieć, że przyjechałaś tu, żeby kogoś poderwać, to zostałam w domu – powiedziała, kiedy już usiadły przy wskazanym przez młodzieńca stoliku, a kelner podał im szampana. – Nie znoszę takich imprez i w dodatku nikogo tu nie znam.

– Ja też nie. – Róża rozejrzała się dokoła. – To znaczy osobiście, bo z widzenia albo z telewizji jak najbardziej. I nie narzekaj! Wystroiliśmy się...

– Precyzując, ty się wystroiłaś – poprawiła Miłka, patrząc z krzywą miną na swoją afrykańską, złoto-bordową szatę – bo ja wyglądam tak, jakbym przyjechała tu prosto z pustyni, na której przez przypadek zaplątałam się w beduiński namiot.

– Przesadzasz... – pocieszyła ją Róża. – W dodatku jesteśmy VIP-ami, pijemy fantastycznego szampana, za moment zaserwują nam dania od Marii

Tycjan, a sama wiesz, jak ona gotuje. Poza tym mam wrażenie, że dostała nam się najlepsza miejscówka na sali.

To ostatnie było prawdą. Stolik, przy którym siedziały, znajdował się vis-à-vis klatki schodowej. Przyjaciółki miały stąd idealny widok na cały dziedziniec i stanowiący część paradnej klatki balkon, gdzie za jakiś czas miał się pojawić prowadzący aukcję aktor Tomasz Ciachorowski.

– Catering to jedyne, co mnie przekonało – westchnęła Miłka. – Oby tylko był wart zachodu!

Róża podniosła do ust kieliszek z szampanem, skosztowała łyk i rozejrzała się dokoła. Przy stoliku obok, po lewej stronie, siedziały trzy zajęte rozmową kobiety. W najstarszej, na oko czterdziestolatce, ubranej w dopasowaną, błyszczącą, szkarłatną suknię, nieco zlewającą się w całość z długimi rudymi włosami, pisarka rozpoznała aktorkę Danutę Stec, która kiedyś wystąpiła w ekranizacji jednego z jej kryminałów, „Krew na plebanii”. Niestety, nie miały okazji się spotkać na planie filmowym. Pewnie dlatego, że Róża, trochę zde gustowana faktem, że głównego bohatera, którego opisała w książce jako „smukłego, seksownego blondyna”, gra podtytu brunet niższy od niej o głowę, wybrała się tam tylko raz i widziała Danutę jedynie przez chwilę z daleka. Na premierze filmu też wymieniły wyłącznie zdawkowe uśmiechy. Obok aktorki, ubrana w biały, szalenie obcisły garnitur, siedziała jedna z najbardziej znanych trenerek fitness, Ewelina Szlagowska, o której pisarka wyczytała niedawno w dorwanym w poczekalni u dentysty magazynie „Koktajl”, że jest na skraju bankructwa, bo straciła jakieś ogromne pieniądze, i prawdopodobnie będzie musiała zamknąć sieć należących do niej, niegdyś szalenie popularnych siłowni „Bicepsik”. Trzecią, wyraźnie najmłodszą z tego grona, szatynkę, ubraną w luźną, pobłyskującą złotem tunikę, Róża też z pewnością widziała kiedyś w telewizji albo gazecie, ale nijak nie mogła jej dopasować do żadnego zawodu. Modelka? Aktorka? Piosenkarka?

Krzesła przy stoliku z prawej strony zajmowały cztery osoby. Róża zwróciła uwagę przede wszystkim na piękną dziewczynę, której mocno podpuchnięte oczy wskazywały na to, że albo się nie wyspała, albo co intuicyjnie wydało się pisarce bardziej prawdopodobne, niedawno płakała. Koło niej, ubrany w jeansy, czarną koszulę i skórzaną marynarkę, siedział nieco nadęty i mierzący wszystkich dokoła pogardliwym spojrzeniem chłopak, którym Róża, wielbicielka „bad boyów”, w innych okolicznościach pewnie z miejsca by się zauroczyła. Teraz jednak intuicja, pracująca tego wieczoru na pełnych obrotach, odpowiedziała jej, że to właśnie ów mężczyzna jest powodem łez swojej towarzyszki. A to sprawiło, że pisarka od razu poczuła do niego antypatię. Facet, który pozwala, aby kobieta przez niego płakała, nie jest wart ani chwili uwagi. Koniec, kropka.

Róża szybko przeniosła wzrok na pozostałe dwie osoby. W jednej

rozpoznała niegdyś szalenie popularną, obecnie nieco zapomnianą, piosenkarkę Martę Raj. Jak na gwiazdę (przebrzmiałą czy nie) przystało, artystka miała na sobie przyciągającą wzrok kreację, składającą się z koronkowej, błękitnej sukni, podkreślającej nie tylko idealną figurę jej właścicielki, ale też fakt, że omija ona szerokim łukiem sklepy z bielizną. Jej towarzyszką była szczuplutka szatynka ubrana w czarny kostium. Na jej twarzy malował się smutek i to tak wyraźny, że Róża zaczęła rozmyślać, kto i jaką wyrządził jej przykrość.

– Przebóg! – okrzyk, który rozległ się za plecami pisarki, sprawił, że o mało co nie zakrztusiła się szampanem. – Kogo moje piękne, podkreślone najdroższą mascarą Diora, oczy widzą? Róża Krull we własnej osobie!!!

Pisarka odwróciła się i zobaczyła przed swoim stolikiem doskonale znaną jej postać. Ubrany w błyszczący garnitur w takim odcieniu różu, jaki w początkach swojej kariery uwielbiała Doda, gładko przylizany i jak zwykle perfekcyjnie umalowany, stał przed nią Mario, youtuber, spec od makijażu i mistrz stylizacji, którego poznała niecałe dwa tygodnie wcześniej przy okazji swoich przygód w czasie wyborów Mistra Polonia. Róża odłożyła kieliszek na stół i wstała, aby przywitać chłopaka, którego, mimo całego jego dziwactwa, zdążyła szczerze polubić.

– Bellissima! – Mario rzucił jej się w objęcia, po czym zrobił dwa kroki w tył i z uznaniem zlustrował ją uważnym spojrzeniem. – Ze wzruszenia zaraz się popłaczę, przy okazji sprawdzając, czy ta mascara jest naprawdę wodoodporna. Wyglądasz bossssko! Moja nauka nie poszła w las! Suknia balowa, diadem, idealny make-up, loki i to bez żadnego odrostu!!! Jestem z siebie dumny! Widzę, że zabiłaś w sobie na amen tę zaniedbaną żonę leśniczego z Głuchołazów, którą poznałem kilkanaście dni temu?! Brawo, brawo! A to co?! Ouaaaaaaach...

Jego spojrzenie padło na podnoszącą się zza stołu Miłkę. Mario wyciągnął rękę, jakby chciał kogoś odepchnąć, a następnie zbliżył ją do twarzy.

– Nie mogę na to patrzeć – jęknął, kierując wzrok w stronę podłogi. – Moje oczy, moje oczy...

– Mario, opanuj się – poprosiła Róża. – Nie rób przykrości mojej przyjaciółce...

– Twoja przyjaciółka zrobiła przykrość rodzinom ludzi, których zjadła. – Mario odsunął rękę od oczu i podniósł wzrok na zastygłą za stołem Wężowską. – To pewnie przez nią Europa tak się ostatnio wyludniła...

Miłka, która nigdy nie miała wielkich kompleksów na tle swojej figury, a odchudzała się jedynie z powodów zdrowotnych, posłała Różę rozbawione spojrzenie.

– Spokojnie, spałaszowałam tylko parę blogerek, które skrytykowały moje książki – skwitowała, wyciągając rękę do Mario. Youtuber uścisnął ją, ale na jego twarzy nadal zgroza walczyła z politowaniem.

– Myślałem, że moje modowe rewolucje w świecie pisarskim skończyły się na Róży, widzę jednak, że to dopiero wierzchołek góry lodowej – powiedział z rezygnacją. – Ale spokojnie, skarbie, nie lękaj się! Nie trać ducha! Mario już ma na ciebie pomysł. Widzę cię jako polską Beth Ditto!

– Kto to jest Beth Ditto? – spytała Miłka.

– Wokalistka grupy Gossip – odpowiedziała Róża, z dumą łapiąc pełen uznania wzrok youtubera. – Wygląda z reguły jak burdelmama.

– Nie jak burdelmama – ton głosu Mario wskazywał na to, że Krull szybko straciła punkty, które zyskała moment wcześniej, wykazując się znajomością współczesnych ikon popkultury – tylko jak kobieta, która ze swojej nadwagi zrobiła atut i udowodniła, że nawet i zbędną tonę da się zaprezentować tak, żeby wyglądało to sexy! Nie przejmuj się, kochana – dodał, głaszcząc Miłkę nieco protekcyjnym gestem po ramieniu. – Mario najpierw pomoże ci się pozbyć tych wigwamów, które nosisz, oraz tego straszliwego pierza na łbie, a potem cię choć trochę odchudzi i zrobi z ciebie seksbombę. Skoro z Róży udało mi się zrobić kobietę, chociaż, gdy ją poznałem wyglądała jak stary chochoł z mopem na głowie, to i ciebie wyprowadzę na ludzi. Ale teraz szaaaaaa... Na dole wygasili lekko światła, a to oznacza, że zbliża się sama królowa!

– Kto? – zdziwiła się Róża.

– Królowa Lilian – wyjaśnił Mario. – Musisz ją znać...

Róża wydała z siebie gniewne pufnięcie.

– Oczywiście, że znam – potwierdziła wściekłym tonem.

– A rozszerzysz jakoś swoją wypowiedź? – zachęcił ją Mario.

– Miała nagrać piosenkę do ekranizacji mojej książki. Przez pół roku zwodziła wszystkich, dwa razy przesuwano w tym czasie ze względu na nią daty premiery, aż wreszcie oświadczyła, że wejdzie do studia tylko wtedy, gdy osobiście ją o to poproszę. Zadzwoiłam do niej kilka razy, ale nigdy nie odebrała, a potem jej menadżer powiadomił mnie, że się jednak rozmyśliła. Ponieważ wcześniej już wysłano komunikat prasowy w tej sprawie, więc musieliśmy wydać jakieś oświadczenie, dlaczego piosenkę zaśpiewa ktoś inny, bo wiadomo było, że robi się szum. Producenci coś tam wymyślili, ale rankiem tego dnia, gdy mieli to opublikować, ta małpa z rana napisała na Facebooku, że marzyła o tym, aby nagrać ten utwór, ale zaczęłam ją prześladować telefonami, nachalnie nagabywać i wywierać presję, więc poczuła się przeze mnie osaczona i musiała się w związku z tym wycofać z umowy. Jej fanki urządziły mi kilkutygodniowe piekło! Wyzywały mnie w Internecie od najgorszych, groziły pobiciem, podpaleniem mieszkania, a nawet otruciem pieska, którego tak na marginesie nie mam, a potem zrobiły zlot, na którym spaliły kilka moich książek.

– Czyli też jesteś członkiem fanklubu naszej słodkiej gwiazdki – podsumował Mario, rzucając zdenerwowanej Róży współczujące spojrzenie. – Oj,

umie ona jednać sobie przyjaciół jak mało kto...

– Tobie też coś narozrabiała?

– Owszem – Mario pokiwał głową. – Miałem ją wystylizować i zrobić makijaż do jakiegoś teledysku. Przez kilkanaście dni wysyłała mi zdjęcia innych gwiazd, żebym się zainspirował. Raz chciała być jak Rihanna, innym razem jak Lady Gaga, a jeszcze innym jak wczesna Madonna, choć jak się te wszystkie wizje złączy w całość, to wychodzi image à la bezdomna z Dworca Centralnego. A poza tym, czy taki mistrz jak ja potrzebuje jakiegokolwiek inspiracji? Wymyśliłem coś fenomenalnego, coś, czego jeszcze nie było, a ta lafirynda dzień przez rozpoczęciem zdjęć napisała, że jej zaproszenie do współpracy było tylko żartem. I dodała, że jak oglądała ze swoją ekipą moje transmisje na Youtube, gdzie zdawałem relację z postępu prac, i czytała moje maile, to wszyscy tarzali się ze śmiechu.

– Żartujesz?!

– Chciałbym... – powiedział smętnie Mario. – Wiesz, mimo solidnych pozorów nie jestem skończonym idiotą i zdaję sobie sprawę z tego, jak część osób odbiera moje filmy, tudzież wiem, że mam dysleksję, robię błędy i w ogóle czasem dziwnie formułuję zdania. Automatyczna korekta nie zawsze jest to w stanie poprawić, ale przecież nie jestem Witkowskim czy Miłoszewskim i nie startuję w konkursie o tytuł mistrza języka polskiego.

Róża pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Ale co innego czytać hejterskie komentarze jakichś obcych ludzi, którzy wyglądają tak, jakby dopiero co wyszli z jaskini i uważają, że „zalotka” to rodzaj żeński słowa „zalotnik” – kontynuował Mario – a co innego usłyszeć coś takiego od kogoś, kto pracuje w showbiznesie...

– Przejąłeś się?! – Róża spojrzała na youtubera z zaskoczeniem. – Przecież Lilian to rozkapryszone, niewychowane dziecko, którego nikt nie bierze na serio poza bandą rozhisteryzowanych nastolatk...

– Mylisz się! – zaprotestował ze smutkiem Mario. – Po tym, jak rozgłosiła o całej tej akcji, bo oczywiście pochwaliła się swoim fanom, jak mnie zrobiła na szaro, straciłem kilku reklamodawców. Jej fani pod moimi filmami zaczęli wpisywać niewybredne dowcipy. Mówię ci, to mnie niszczy! Każdego dnia! Jak tak dalej pójdzie, nie będzie mnie już stać na zakupy w Sephorze i będę musiał kupować, posłuchaj tylko, jak to brzmi, mydło w płynie „Biały Jeleń” w drogeriach Jaśmin!

Róża patrzyła na niego ze współczuciem.

– Musisz przeczekać... – poradziła. – Każda burza kiedyś mija.

– Kiedy ta mała się na mnie uparła – jęknął Mario. – Już kilka razy od tamtej pory mnie publicznie wyśmiała. Mówię ci, z całych sił...

W tym momencie wszystkie górne światła zostały skierowane w jednym

kierunku. Szum na sali i w krużgankach zaczął gwałtownie cichnąć.

– ...jej nienawidzę! – histeryczny głos Mario zabrzmiał w tym momencie tak donośnie, że wszyscy siedzący przy stolikach spojrzeli na niego.

– Powitajmy oklaskami gościa honorowego dzisiejszego balu – dobiegło z głośników. – Jedyłą, niepowtarzalną, utalentowaną i uwielbianą Lilian! Cudownego Kopciuszka polskiej piosenki.

„Kopciuszek musi wykitować”, wspomnienie niedawnej rozmowy z Miłą zabrzmiało w głowie Róży o wiele głośniejsze niż oklaski, które przywitały młodą gwiazdkę. Pisarka rzuciła swojej przyjaciółce nieco przestraszone spojrzenie. Miła odwzajemniła je puszczaniem oka, a potem obie zgodnie skierowały wzrok na nadal idealnie oświetlone wejście do auli.

Łagodny smooth-jazz, sączący się dotąd dyskretnie z głośników, został raptownie wyciszony. Przez moment panowała prawie zupełna cisza, potem rozległ się najpierw krótki, erotyczny, kobiecy jęk, a następnie dźwięk basu i syntezatorów. Róża uświadomiła sobie, że nawet mimo swojej antypatii dla Lilian doskonale wie, że to początek jej wielkiego hitu „Dotknij mnie”. Wszystkie media grały przez całe wakacje ten banalny, ale i przy okazji od razu wpadający w ucho, kawałek z taką częstotliwością jak „Last Christmas” przed Bożym Narodzeniem, i w sumie, jakby się człowiek nie starał, to i tak znał go na pamięć. Intro muzyczne było tym razem o wiele dłuższe i Róża miała wrażenie, że ktoś je zapętlił. Początkowy kilkudziesięciosekundowy motyw rozległ się tyle razy, że pisarka stracił już w tym rachubę. Dokładnie w tej samej chwili, kiedy doszła do wniosku, że ktoś – najpewniej jakaś zawistna koleżanka po piórze – zabił ją we śnie i teraz w ramach pokuty za grzechy oraz niedotrzymywanie deadline’ów będzie musiała w nieskończoność stać w tym cholernym gorsecie, czując się jak Brienne z Tarthu, i słuchać jakiegoś idiotycznego pitu-pitu, na dole rozległy się najpierw nieśmiało, a potem z każdą chwilą coraz bardziej burzliwe oklaski. Najwyraźniej znajdujący się tam ludzie dostrzegli już w korytarzu nadchodzącą artystkę. Chwilę potem zobaczyła ją też i Róża. Lilian miała na sobie niebieskie lateksowe wdzianko, składające się z topu i krótkiej spódniczki. Dekolt tego pierwszego sięgał tak daleko, że jeszcze centymetr i zamieniłby go w kamizelkę. Róża przez chwilę zastanowiła się, jaka magia trzyma duże i, z czego Lilian nie robiła żadnej tajemnicy, silikonowe piersi dziewczyny w środku tego mocno ryzykownego ciucha. Po chwili jednak przypomniała sobie, że swego czasu inna diwa polskiej piosenki zespoliła się ze swoją sukienką za pomocą dwustronnej taśmy klejącej, więc może i tu zastosowano podobny trik. Włosy Lilian zebrane były w dwa długie warkocze, a na nogach młoda gwiazda miała tenisówki. Całość w zamyśle stylisty czynić miała z niej Lolitkę. Podkreślał to także trzymany przez nią w ręku lizak, który okazał się przy okazji dziwnym, bezprzewodowym mikrofonem. „Gdy mnie widzisz, płoniesz, gdy cię wołam, toniesz, nigdy już ode mnie nie uwolnisz

się”, rozległy się pierwsze słowa piosenki. Śpiewając je, Lilian zaczęła wykonywać zmysłowe taneczne ruchy, a z korytarza wyłoniło się dwóch półnagich tancerzy. Róża nie mogła się oprzeć wrażeniu, że wszystko to prezentuje się mocno wulgarnie, i poczuła się nagle tak, jakby trafiła na peep-show. Choć nie była specjalnie pruderyjna, to przypomniało jej się teraz zażenowanie, jakie przeżyła, gdy kiedyś przyjaciółki wyciągnęły ją do Sali Kongresowej na pokaz chippendalesów. Zwłaszcza zaś uczucie zakłopotania połączonego z lekkim obrzydzeniem, gdy jeden z umięśnionych, naoliwionych i wyglądających jak ofiara zatrzaśnięcia się w solarium panów zaczął jej wymachiwać przed nosem swoim przyrodzeniem, upchanym w wyjątkowo aseksualne cekinowe stringi. Teraz, patrząc na Lilian, głaszczącą po torsie jednego z tancerzy, a potem udającą, że uprawia seks z wyimaginowanym, leżącym na podłodze partnerem, poczuła się podobnie.

– Jeszcze centymetr i zaczniesz szorować majtkami posadzkę – powiedział z obrzydzeniem w głosie stojący obok niej Mario. – Mamy tyle znakomitych artystek, a wszyscy uparli się zapraszać właśnie ją. Popatrz, nawet się primadonna nie umie wpasować w playback. Wziąłbym ten mikrofon i wepchnął jej w...

– Mario! – oburzyła się pisarka, rzucając mu gniewne spojrzenie. – Rozumiem twoje rozzalenie, ale nie usprawiedliwia ono chamstwa!

– Znasz mnie przecież... – powiedział youtuber przeproszającym tonem. – Staram się z reguły nie wychodzić z posrebrzanych ram swojego dobrego wychowania, ale na jej widok aż mną rzuca z obrzydzenia.

– Doskonale pana rozumiem. – Ani Róża, ani jej kompan nie zauważyli momentu, kiedy zbliżyły się do nich trzy siedzące przed chwilą przy stoliku obok kobiety. Słowa wypowiedziała ta, której pisarka nie mogła skojarzyć z nazwiskiem. – Ta mieszanina ostentacji, braku dobrego smaku, wyrachowania i głupoty jest w stanie każdego wyprowadzić z równowagi...

– Nie zapominaj o mściwości, Basiu – wtrąciła Ewelina Szlagowska. – Ogromnej mściwości...

– Obie coś na ten temat wiemy... – potaknęła jej nieznajoma.

Róża tylko przez ułamek sekundy zacieszyła się, co obie mają na myśli, bo dokładnie w tym samym czasie uświadomiła sobie, że oczywiście doskonale wie, kim jest dama w złotej tunice. Barbara Jarosławska, jedna z najlepiej zapowiadających się aktorek młodego pokolenia, grywająca głównie w teatrach, a od niedawna też w kilku popularnych serialach. Jak mogła o niej zapomnieć?! Inna sprawa, że dzisiaj dziewczyna wyglądała inaczej niż zazwyczaj. Miała lekko napuchniętą twarz, pokrytą grubą warstwą makijażu i wyraźnie przekrwione oczy.

– Moim zdaniem to wszystko wynika z niedojrzałości – powiedziała łagodnym tonem Danuta Stec. – Młodzi ludzie są teraz bardzo zakompleksieni, o wiele bardziej niż za czasów, kiedy sama byłam w ich wieku, i często

przykrywają to butą i arogancją. Ich życie toczy się głównie w Internecie, na Facebooku, Instagramie, a tam wszyscy wszystkich bezustannie oceniają. Poza tym to kopalnia przeinaczeń, fałszywych informacji i pomówień. Koszmar! Trzeba mieć dużą odporność psychiczną, żeby to wytrzymać. Czasem cieszę się, że nie muszę w tym brać udziału, choć mój agent twierdzi, że skoro nie mam konta na żadnym portalu społecznościowym to tak, jakbym nie żyła. Ale po co mi tam bywać? Wystarczy, że czasem poczytam komentarze o sobie na jakichś stronach filmowych. Jaka to jestem beznadziejna, nieutalentowana, a w dodatku, co jest teraz chyba największym przestępstwem, stara. I to tak, że już od dawna powinnam być na emeryturze. Nie miałabym w sumie nic przeciwko temu, tylko jakoś ZUS nie za bardzo podziela te opinie...

– Właściwie to masz rację, ale... – Barbara na chwilę się zamyśliła – akurat postępowanie Lilian trudno czasem usprawiedliwić brakiem dojrzałości czy odreagowywaniem kompleksów. Moim zdaniem ona krzywdzi ludzi z pełną premedytacją i ma z tego niezłą zabawę.

– Dokładnie! – wtrąciła Ewelina. – Czasem bywa tak, że jakieś jabłko sprawia wrażenie zepsutego, a jest po prostu poobijane i gdy się je skosztuje, smakuje wybornie. A czasem pozornie wygląda pięknie, a w środku jest robaczywe. Lilian jest właśnie takim zgniłym jabłkiem. Dla niektórych jej świństwo nie ma żadnego usprawiedliwienia i mam tylko nadzieję, że wcześniej czy później spotka ją zasłużona kara.

– Ja mimo wszystko nadal będę w niej widziała choć trochę dobra – zaprotestowała łagodnie Danuta. – Kilka tygodni temu Lilian przyszła z przyjaciółmi na moje przedstawienie. To, w którym gram matkę umierającej na raka dziewczynki. Potem odwiedziła mnie w garderobie. Przez chwilę porozmawiałyśmy na osobności. Zwierzyła mi się, że sama kilka lat temu przeżyła podobną historię, tylko z zamienionymi rolami. Opiekowała się chorą mamą. Powiedziała, że w czasie przedstawienia nie mogła powstrzymać łez, bo wróciły do niej wszystkie wspomnienia z tamtego okresu, że bardzo chciałyby mi podziękować i wręczyć mały podarunek, który kupiła we Włoszech, o ile dobrze pamiętam, w Bolonii. I że właściwie to miał być prezent dla jej przyjaciela, ale na szczęście ma ich więcej. To było miłe, a i prezent sprawił mi wyjątkową radość, tym bardziej że...

Jej wypowiedź przerwały głośne okrzyki z dołu sali. Lilian właśnie skończyła śpiewać swoją piosenkę, w finale spontanicznie całując namiętnie jednego z tancerzy. Wiadomo było, że za chwilę zdjęcie tego pocałunku pojawi się we wszystkich plotkarskich portalach w Internecie, a od jutra zaczną się spekulacje, kim jest ów przystojniak i czy łączy go z piosenkarką coś więcej niż tylko erotyczny układ taneczny. Nic więc dziwnego, że chłopak, zapewne wyobrażając sobie już nadchodzące pięć minut tabloidowej sławy, sprawiał teraz wrażenie

wniebowziętego.

– Jeszcze do was wrócę, kochani, a na razie muszę się trochę ochłodzić, bo zrobiło się tu bardzo, bardzo gorąco. – Uśmiechnięta i najwyraźniej zadowolona ze swojego występu Lilian pomachała publiczności, po czym, troskliwie eskortowana przez trzech mężczyzn, zaczęła wchodzić na piętro. Róża знаła tychże dżentelmenów z gazet, które od kilku miesięcy lubowały się w opisywaniu nie tylko Lilian, ale i całej jej świty. Ubrany w połyskliwy czarny garnitur trzydziestolatek, prowadzący artystkę troskliwie pod rękę, nazywał się Jakub Kwieciński i pełnił funkcję jej menadżera, choć plotkarskie portale najczęściej nazywały go „nositorbą” gwiazdy. Za tą dwójką, rozglądając się dokoła równie czujnym, co groźnym spojrzeniem, szedł zwalisty łysy osiłek. Róży wydawało się, że łatwiej byłoby go przeskoczyć niż obejść, i z rozbawieniem pomyślała, że w tym przypadku nazwisko wydawało się żartem z jego właściciela, bo ów kwadratowy gladiator zwał się Rafał Wątyły. Trzecim mężczyzną, ubranym w jakiś szarawy, wymięty garniturek, drobnym brunecikiem, przy ochroniarzu Lilian sprawiającym wrażenie karła chorego na anoreksję, był redaktor sensacyjnego brukowca „Koktajl”, Bartosz Wieteska. Róża miała kilka razy z nim do czynienia i za każdym zdawało jej się, że rozmawia ze szczurem, którego ktoś za pomocą czarów zamienił w człowieka. Wrażenie to było tak sugestywne, że przy okazji jakiegoś kolejnego wywiadu w ostatniej chwili powstrzymała się, żeby mu nie sprezentować kostki żółtego sera. Bartosz słynął z obsesji na punkcie Lilian i kiedy tylko wiedział, że pojawi się ona na jakiejś imprezie, też tam przybywał, po czym z miejsca zamieniał się w jej cień.

Po chwili młoda gwiazda i jej kompani znaleźli się niedaleko Róży. Ta z niesmakiem odnotowała, że stolik, przy którym zasiąść miała piosenkarka, został przygotowany inaczej niż pozostałe. Zamiast krzeseł ustawiono przy nim wygodne fotele i oświetlono go pomysłowymi lampkami w kształcie czerwonych serduszek. Choć teoretycznie catering miał być wydawany dopiero po aukcji, to kelnerzy już zaczęli tam znosić alkohole i smakowicie prezentujące się przystawki.

– Za chwilę coś stamtąd ukradnę – szepnęła Miłka, patrząc w tamtą stronę tak pożądlivym wzrokiem, że Róża zaczęła się obawiać, iż jej przyjaciółka za moment zje nie tylko przeznaczone dla Lilian smakołyki, ale też i samą gwiazdę wraz z jej ochroniarzem. Ewentualnie kelnerów.

Lilian zasiadła za stołem i władczyim ruchem dała znać, aby jeden z kelnerów nalał jej szampana. Pociągnęła łyk alkoholu, po czym obojętnym wzrokiem potoczyła po zgromadzonych na piętrze. Choć większość z nich знаła z widzenia, a kilka osób skinęło jej głową, nie odpowiedziała na żadne z powitań. Jedynie kiedy prześlizgiwała się wzrokiem po Ewelinie i Barbarze, na jej twarzy pojawił się ironiczny uśmiech. Po chwili pochyliła się i wyszeptała coś do ucha swojemu menadżerowi. Ten skinął głową, wstał i podszedł do chłopaka

w skórzanej marynarce, siedzącego przy stoliku po prawej stronie stolika Róży.

– Iwonka chce zamienić z tobą kilka słów – powiedział. Róża nie za bardzo skojarzyła, o kim mowa, i potrzebowała dłuższej chwili, aby przypomnieć sobie, że tak naprawdę Lilian nazywa się Iwona Kościuk. Chłopak wstał. Podobnie uczyniła towarzysząca mu dziewczyna, ale menadżer pokiwał w jej kierunku wskazującym palcem i pokręcił głową. – Iwonka chce rozmawiać tylko z Marcinem. Z nikim więcej!

Na twarzy dziewczyny pojawił się rumieniec i nie trzeba było wykazywać się spostrzegawczością Sherlocka Holmesa, aby zauważyć, że słowa Kwiecińskiego mocno ją zdenerwowały. Podeszła do chłopaka i gwałtownie zaczęła coś do niego mówić. W panującym hałasie Róża nie zrozumiała ani jednego słowa. Chłopak cierpliwie wysłuchał tyrady dziewczyny, a na jego kamiennie spokojnej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień. Kiedy skończyła mówić, pokręcił głową, pocałował ją w policzek, wyszeptał coś na ucho i zrobił krok w stronę menadżera. Dziewczyna złapała go za poły marynarki.

– Obiecałeś..! – tym razem jej okrzyk dobiegł do pisarki wyraźnie. – Nie możesz mi tego ciągle robić!

– Karolina, daj spokój! – gniewny ton głosu mężczyzny zdradził, że wbrew pozorom wcale nie jest taki spokojny, na jakiego stara się pozować. – Bez hysterii! Rozmawialiśmy o tym!

Delikatnie, ale stanowczo oderwał ręce dziewczyny od marynarki, po czym chwycił ją za łokieć i zaprowadził do zajmowanego przez nią wcześniej miejsca. Bez mała siłą posadził ją na krześle, a następnie nachylił się i jeszcze raz coś jej wyszeptał do ucha. Po chwili wyprostował się, odetchnął i poszedł w stronę menadżera, a potem razem z nim udał się do stolika Lilian. Róża pozostała wzrokiem przy dziewczynie, która jeszcze przez moment siedziała w bezruchu z głową schowaną w dłoniach, a następnie rozejrzała się po sali. Poczekwała, aż zostanie zauważona przez jednego z kelnerów i z wymowną miną pokazała mu swój pusty kieliszek. Kelner usłużnie pospieszył do niej z winem. Dziewczyna powstrzymała go jednak przed napełnieniem kieliszka i stanowczo wyjęła mu z rąk całą butelkę. Na twarzy kelnera pojawił się wyraz konsternacji. Najwyraźniej musiał szybko rozstrzygnąć w duchu, co wydaje mu się groźniejsze: ewentualna bura od przełożonych czy też szarpanina z gotową na wszystko kobietą. Dla Róży decyzja w takim przypadku byłaby oczywista i nawet lekko odetchnęła, widząc, że kelner z rezygnacją oddala się po kolejną butelkę. Na jego miejscu zrobiłaby to samo. Dziewczyna nie bawiła się w żadne konwenanse i pociągnęła spory łyk wina prosto z butelki. Przez chwilę obserwowała, jak towarzyszący jej jeszcze niedawno chłopak dosiada się do stolika Lilian, a ta bez najmniejszego skrępowania całuje go w usta, po czym kładzie mu rękę na udzie. Chłopak stanowczym gestem zdjął jej dłoń ze swojej nogi i z nieodgadnioną miną odwrócił głowę. Nie popatrzył jednak

na swoją poprzednią towarzyszkę, a w kierunku Róży i stojących obok niej kobiet. Po chwili mrugnął okiem, jakby porozumiewawczo. Róża ze zdumieniem rozejrzała się po bokach, ale nie zdołała zauważyć, do kogo skierowane było to oczko. Wróciła wzrokiem do porzuconej przy stoliku dziewczyny, która znów przechyliła butelkę. Tym razem trzymała ją przy ustach nieco dłużej. Róża pomyślała, że przy takim tempie spożywania trunku zdąży się upić jeszcze przed rozpoczęciem aukcji, i zastanowiła się, kto zwycięży w ewentualnym pojedynku z Lilian. Dziewczyna, miotana alkoholem i furią, czy też raczej troglodyta pilnujący Lilian? Widać bowiem było, że porzucona młoda kobieta długo nie zniesie widoku czułości, jakimi nadal – jakby robiąc jej na złość – gwiazda ostentacyjnie obdarowywała jej towarzysza, i że w końcu wybuchnie. Lilian musiała zdawać sobie sprawę z jej uczuć, ale najwyraźniej nic sobie z tego nie robiła. Widać było za to, że jest ubawiona całą sytuacją i czerpie z niej ogromną satysfakcję. Róża przyznała w duchu rację opinii, jaką niedawno usłyszała. Rzeczywiście, wszystko wskazywało na to, że Lilian jest zepsutym jabłkiem i lubi z premedytacją zadawać ludziom ból. W tym przypadku jej satysfakcja była podwójna, bo na rozgrywającą się scenę z kwaśną miną patrzył siedzący tuż obok niej jej wielbiciel. Także Bartosz Wieteska widocznie postanowił tego wieczoru utopić swoje rozgoryczenie w alkoholu, gdyż co rusz sięgał po stojącą przed nim w ozdobnym coolerze „Wyborową”.

– Przepraszam – pisarka usłyszała za sobą nieśmiały głos – czy może nas pani przepuścić?

Róża odwróciła się i zobaczyła stojącą za sobą Martę Raj wraz z jej smętną towarzyszką, która była autorką pytania. Pisarka skinęła głową, usuwając się z drogi pań. W tym samym momencie dostrzegła je Lilian. Zerwała się teraz ze swojego miejsca i podbiegła w ich stronę. Kompletnie zignorowała Różę, rzucając się na szyję swojej starszej koleżance po fachu.

– Jak miło cię zobaczyć, Martusiu! – wykrzyknęła radośnie, mrugając też okiem do towarzyszącej Raj smutaski. – Ciebie, Justynko, oczywiście też! Czemu, Martusiu, nie było cię w tym roku w Opolu? Myślałam, że się razem napijemy i poobrabiamy cztery litery konkurencji. Oczywiście, byłam tam non-stop rozrywana przez dziennikarzy, ale jakoś znalazłabym parę sekund, żeby rozproszyć twoją nudę. Znasz mnie przecież i wiesz, jak lofciam te nasze ploteczki. Dobrze, że chociaż tutaj się spotkałyśmy! Musisz koniecznie usiąść przy moim stole, bo strasznie się tam nudzę. Jest tylko ten beznadziejny dziennikarzyna, który lata za mną ze ślinotokiem. Znasz go? Nawet nie pamiętam, jak ma na imię. Niezły perwol, co nie? Po nocach robi sobie dobrze, myśląc o mnie. Strach o tym pomyśleć, co nie? Ale w sumie nie on pierwszy i nie ostatni. Tylko że jego akurat znam. No, i jest Marcin. Wiem, że go lubisz, choć nie wiem dlaczego. Jest do niczego. Wiecznie tylko nawija o muzyce. To fajne w studiu i na próbach, ale poza

nimi nuuuuda. Kiedyś zaczął mi robić wykład o średniowieczu, czujesz? Naprawdę miałam ochotę kazać mu turlać dropsa. Kogo to obchodzi? Mnóstwo brodatych królów, którzy dawno poumierali. Naprawdę, mówię ci, jedyne, co z nim można robić, to się bzykać, ale on już nie chce. Cóż zrobić? Przecież nie będę się prosiła tak jak ty. Poza tym będziemy tam miały prawdziwe papu, a nie to barachło co reszta. Poprosiłam Kubusia, żeby kilka dni temu pojechał do tej włochatej baby od cateringu, nigdy nie pamiętam, jak ona się nazywa, jakaś Tyczka czy coś takiego, i powiedział jej, co ma mi podać. Zauważyłaś, że ona ma na głowie coraz więcej doczep? Dziwię się, że jeszcze nie zaczęła przez nie dostawać garba. Te twoje dzisiaj też są całkiem fajne, prawie w ogóle nie różnią się kolorem od prawdziwych włosów. No, może tylko trochę z tyłu... I podoba mi się twoja suknia. Zajedwabista! Tę koronkę dali ci w idealnych miejscach. Dokładnie tam, gdzie masz cellulit. Nikt go nie zauważy! Cudownie!

Róża, która zachichotała po cichu już przy Opolu, teraz pożałowała, że w przy włochatej babie postanowiła napić się wina, którym w momencie, gdy na tapetę wszedł cellulit, parsknęła sobie za gorset. Marta miała mord w oczach, ale Lilian zdawała się tego w ogóle nie dostrzegać. Ujęła ją w pasie, beztrudnie zauważyła: „Oj, jakie ci się zaczynają robić miękkie bocзки”, po czym obrzuciła Krull pełnym wyższości uśmiechem i poprowadziła swoją koleżankę do stolika. Pisarka zaciekała się, czy Marta udusi ją tam od razu, czy jeszcze trochę poczeka. Ona na jej miejscu zaczęłaby to robić, jeszcze zanim doszłyby do stolika. Na widok Raj gitarzysta Lilian chciał wrócić do swojego stolika, ale gwiazda zatrzymała go, następnie usadziła starszą koleżankę na zajmowanym wcześniej przez siebie miejscu, a sama usiadła na kolanach muzyka. Dziewczyna gitarzysty, która, jak pamiętała Róża, miała na imię Karolina, na ten widok wstała i nieco chwiejnym krokiem udała się w stronę toalet, po drodze spoglądając na towarzystwo przy stoliku Lilian tak, że Róża aż ciarki przeszły po plecach. Pisarka przeprosiła Mario oraz pozostałe panie i odciągnęła Miłkę na bok.

– Coś się tu kroi – poinformowała ją. – Czuję to...

– Serio?! – ucieszyła się jej przyjaciółka. – Bo ja jeszcze nie. Obyś miała rację, bo inaczej zaraz tu umrę z głodu!

– Kiedy ja nie mam na myśli jedzenia – zaprotestowała Róża. – Tylko atmosferę...

– Atmosferą się nie najemy – zmartwiła się Miłka. – Poza tym wmawiasz to sobie po tym naszym głupim gadaniu przedwczoraj. Wymyśliłyśmy morderstwo i uważasz, że za moment nasz scenariusz się sprawdzi. Sama pomyśl, jakie są na to szanse?

Róża trochę się zawahała. Wziąwszy pod uwagę jej rozszalałą, zwłaszcza w momentach rozmyślania nad nową książką, wyobraźnię, faktycznie mogła sobie coś ubzdurać. Z drugiej strony miała wrażenie, że cały ten wieczór nie skończy się

wesoło. Może i nie dojdzie tu do żadnej zbrodni, ale do jakiejś nieprzyjemnej sceny czy awantury – na pewno.

– Niech oni już robią tę aukcję – powiedziała zniecierpliwionym tonem Miłka – bo inaczej za moment wyskoczę stąd na kebaba. Na Lwowskiej są doskonałe. Ponoć nawet robią go z prawdziwej baraniny, a nie kota, psa i tektury. I tak nie zamierzam niczego licytować...

W tym samym momencie, tak jakby ktoś z organizatorów przestraszył się jej groźby, rozpalone po zakończeniu występu Lilian światła znów lekko przygasły.

– Szanowni państwo, już za krótką chwilę rozpoczniemy aukcję charytatywną – poinformował męski głos z głośników. – Jej pierwszą część poprowadzi znany aktor Tomasz Ciachorowski. Przypominamy, że w czasie finałowej licytacji zostanie wystawiony jeden z cennych klejnotów rodziny Koniecpolskich, подарowany przez prywatnego, pragnącego zachować anonimowość kolekcjonera. Na scenie zobaczymy wówczas także największą gwiazdę polskiej estrady, niesamowitą Lilian, która uświetni ten wieczór swoim minirecitaliem.

Ze stolika młodej gwiazdki dobiegł jej okrzyk: „Wow! To ja!”. Piosenkarka wstała z kolan gitarzysty i szybkim krokiem przeszła w stronę arkad, aby pomachać zgromadzonym na dole fanom. Była już prawie przy balustradzie, kiedy nagle aulę ogarnęła ciemność. Przez salę i po krużgankach potoczyło się pełne przestrachu zbiorowe westchnienie. Kiedy umilkło, przez długi moment panowała cisza. Czas mijał, sekundy zamieniły się w minuty, a aula nadal tonęła w ciemnościach. Z wolna gwar zaczynał znów narastać i w tym samym momencie Róża poczuła, jak ktoś z całej siły uderza ją w plecy. Zaczęła tracić równowagę. Czując, jak leci do przodu, desperacko usiłowała chwycić się czegośkolwiek. Poczuela, że jedna z jej rąk dotknęła jakiegoś materiału. Róża szarpnęła nim, po czym natychmiast wypuściła go z rąk, w ostatnim przeblysku trzeźwości umysłu uświadamiając sobie, że trzeba je wyciągnąć przed siebie, aby zamortyzować nieuniknione spotkanie z posadzką. Leżąc już na ziemi, poczuła, jak coś delikatnie opada na jej plecy i tył głowy. Gdzieś obok niej rozległ się dźwięk tłuczonego szkła. Róża spróbowała odwrócić się, aby zobaczyć, co też ją tak łagodnie otuliło, i wtedy właśnie pojawiło się światło, widoczne nawet pod tym dziwnym okryciem. Pisarka odetchnęła i w tym momencie do jej uszu dobiegł przerażający krzyk. W panice usiłowała wstać i już prawie jej się to udało, kiedy nadepnęła na róg pokrywającego ją materiału. Ten napiął się i pociągnął ją z kolei do tyłu. Pisarka wydała z siebie okrzyk nie gorszy od tego, jaki przed chwilą usłyszała, zamknęła oczy i znów runęła na posadzkę, tym razem plecami. Poczuela, jak przeszywa ją dotkliwy ból. Przez chwilę zastanawiała się, czy będzie w stanie się podnieść, a potem jeszcze kiedyś samodzielnie chodzić, kiedy zorientowała się, że ktoś uwalnia ją z pułapki. Otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą gniewną twarz Miłki.

– Już nie masz kiedy udawać Białej Damy z Łańcuta? – zapytała z wściekłością jej przyjaciółka. – Ogarnij się! Mamy tu zbrodnię!

– Jaką zbrodnię? – wyszeptała Róża, czując narastające przerażenie.

– Prawdzi... – zaczęła Miłka, ale w tej samej chwili rozległ się kolejny z serii przerażających okrzyków. Ten, w odróżnieniu od poprzednich, niósł ze sobą dość jednoznaczny komunikat.

– Morderca!!!

Róża nie miała już czasu, aby zastanawiać się nad tym, czy aby nie jest sparaliżowana. Uwolniona z materiału, którym okazał się obrus, poderwała się na równe nogi. Przez chwilę patrzyła na scenę, która ukazała się jej oczom, kompletnie nie wierząc w to, co widzi. To musi być sen! Halucynacje! Wytwór jej zwyrodniałej wyobraźni!

Rzeczywistość na chwilę zatrzymała się dla Róży niczym w filmowej stopklatce. Ale to, co miała przed oczami, niestety nie było filmem. Tuż przy balustradzie, zwinięta w embrionalnej pozie, leżała Lilian. Po jej topie, z miejsca znajdującego się dokładnie pośrodku między łopatkami, leciała krew. Nie to jednak najbardziej zszokowało pisarkę. Krull zobaczyła wyciągniętą w oskarżycielskim geście dłoń Barbary, wskazującą na stojącego nad Lilian mężczyznę z dziwacznym ni to nożem, ni to sztyletem.

Był nim... Mario.

ROZDZIAŁ V

MNIE W TO NIE MIESZAJ!

– Absolutnie w to nie wierzę!

Róża powtórzyła to zdanie kolejny, sama już nie wiedziała który raz. Słowa te wypowiedziała najpierw do Miłki, potem do policjantów, którzy przybyli na miejsce zbrodni, jakiegoś antypatycznego prokuratora, który mało subtelnie dał jej do zrozumienia, że jego zdaniem próbowała swoim idiotycznym wypadkiem odwrócić uwagę od morderstwa i tym samym ułatwić ucieczkę jego sprawcy, a potem do jakiegoś ważniaka na komendzie, który patrzył na nią spode łba i cokolwiek nie zeznała, kwitował zdaniem: „Czy jest pani tego pewna?”, tak jakby ją podejrzewał o Alzheimera albo demencję starczą. Na koniec wygłosiła je do Pepe, Betty i jakichś innych osób, które jej się napatoczyły po drodze. Ale też nie było w tym nic dziwnego, bo właściwie tylko tę myśl umiała jasno sprecyzować. Reszta stanowiła w jej głowie jeden wielki, kotłujący się chaos.

– Wiem, że trudno ci to przyjąć do wiadomości – powiedziała Betty, patrząc na nią ze współczuciem – ale wszystko naprawdę wskazuje na niego.

– Jakie wszystko? – zapytała ze złością Róża. – Co ci powiedział Krzyś?

Narzeczonej Betty, Krzysztof Darski, pracował jako komisarz w wydziale kryminalnym stołecznej komendy. Menadżerka pisarki nie za bardzo chciała się przyznać, że kiedy zaczęła go ostrożnie wypytywać w imieniu swojej pracodawczyni o sprawę morderstwa Lilian, usłyszała: „Powiedz Róży, że jak znowu wścibi swój nos w moje śledztwo, to ją zamknę do mamra za mataczenie. I to do izolatki! Będzie tam siedziała ze szczurami o chlebie i wodzie. Zawsze chciała schudnąć, to tym razem jej to ułatwię!”, a na kolejne pytanie, czy w polskich więzieniach naprawdę są szczury, doszedł ją wściekły warkot: „Sam je kupię i wypuszczę!”.

– Niewiele – oznajmiła dyplomatycznie – ale przecież sytuacja była jasna. Lilian zmarła w wyniku obrażeń z powodu ciosu zadanego sztyletem, który trzymał w ręku Mario. Co ciekawe, sztylet zaginął.

– Jak to zaginął? – zdumiała się Róża, ku swojemu osłupieniu przypominając sobie, że poprzedniego dnia, kiedy policja wyprowadzała youtubera, powiedziała do Miłki: „Najlepiej, żeby ten nóż zniknął. Wtedy musieliby robić proces poszlakowy i może Mario by się jakoś z tego wywinął. Inaczej nikt nie wierzy, że jest niewinny, ja ci to mówię!”. Dziwne, że jej myśl z miejsca się zrealizowała. Dziwne i podejrzane!

– Kiedy Mario został obezwładniony przez ochroniarza Lilian, ciągle miał sztylet w dłoniach – wyjaśniła Betty. – Potem przyjechała policja i go zabezpieczyła. Jednak na komendzie okazało się, że nie ma po nim ani śladu. Krzysztof jest wściekły jak stado os i tylko tyle udało mi się z niego wydobyć, zanim zagroził, że odbierze mi pierścionek zaręczynowy, zapakuje i odeśle do mamy. Ale nawet bez sztyletu Mario ma przechlapane. Wszyscy widzieli go z nożem nad zwłokami Lilian. Poza tym kilkanaście osób usłyszało, jak krzyczy, że nienawidzi świętej pamięci denatki, oraz zeznało, że sprawiał tego wieczoru wrażenie bardzo zdenerwowanego i pobudzonego.

– To akurat żaden argument – wzruszyła ramionami Miłka. – Ja też byłam zdenerwowana, że trzymają nas tam o suchym pysku, ale jakoś nie dźgnęłam niczym żadnego z kelnerów...

Róża popatrzyła na nią półprzytomnie, jak przez mgłę wspominając, że w drodze z komendy do domu w środku nocy jej przyjaciółka zawlokła ją „w ramach odreagowania” do jakiegoś baru z kebabami i zmusiła do skonsumowania czegoś, co na pewno kilka dni wcześniej reagowało na zawołanie „kici-kici”, a nawet jeśli nie, to z pewnością nigdy nie było ani baraniną, ani tym bardziej mięsem z kurczaka.

– Czy ten Pepe nigdy nie przyjdzie? – jęknęła pisarka. – On zawsze potrafi wszystko jakoś logicznie poukładać.

– Na razie logicznie układa u siebie meble... – przypomniała jej Betty.

Po miesiącach namawiań przez przyjaciół i walki ze swoimi wątpliwościami były agent Krull wreszcie zdecydował się otworzyć własną kawiarnię. Na fali entuzjazmu, wzmocnionej tym, że udało mu się błyskawicznie znaleźć i wynająć lokal w starej kamienicy i w znakomitej lokalizacji, na granicy między Wolą a Śródmieściem, szybko zaczął go urządzać, a w tym samym czasie załatwiać sprawy formalne. W wyniku tej ostatniej czynności entuzjazm wyparował z niego w mgnieniu oka, zastąpiony chęcią mordu albo przynajmniej pobicia kilku urzędników.

– A co mówi Mario? – Róża przypomniała sobie, że kiedy poprzedniego wieczoru dopadła do niego z okrzykiem: „Coś ty zrobił?!”, youtuber spojrzał na nią jedynie wzrokiem, w którym wyczytała bezbrzeżne zaskoczenie, wyszeptał: „Ja to tylko podniosłem z ziemi”, a następnie, kiedy chciał coś dodać, został powalony na podłogę przez ochroniarza Lilian. Ten przytrzymał go w żelaznym uścisku aż do przybycia policji, która zresztą pojawiła się na miejscu z taką szybkością, jakby z góry wiedziała, co się stanie, i czekała tylko na moment, kiedy będzie mogła bohatersko wkroczyć do akcji. Leżący Mario nie wydobył już z siebie ani słowa. Może i miał taki zamiar, ale ochroniarz, trzymając rękę na jego karku i dociskając mu twarz do posadzki, skutecznie mu to uniemożliwił.

– Tego już z Krzysztofa nie wydobyłam – przyznała Betty – ale za to dowiedziałam się, że na razie go nie wypuszczą...

– Żartujesz?! – Róża zrobiła duże oczy. – Kto tak postanowił?

– Prokurator.

– Ten łysy dziadyga, który chciał mnie zamknąć za to, że jakaś łajza mnie potrąciła i zaplątałam się w obrus?!

– Nie chcę cię martwić, ale tym samym skutecznie odwróciłaś uwagę od tego, co działo się po morderstwie. Na jego miejscu przymknęłabym też i siebie. Przecież trudno uwierzyć, że można być taką oferumą. To znaczy im pewnie trudno uwierzyć, bo my cię znamy...

Róża popatrzyła na nią z oburzeniem.

– A sztylet? – zapytała. – Jakim cudem się tam znalazł? Przecież przy wejściu stała ochrona i wszystko sprawdzała...

– Nie przesadzaj – przywołała ją do porządku Miłka. – Nic nie sprawdzała! Mnie nawet nie kazali otworzyć torebki. Mogłam tam wnieść bombę albo kastaniet...

– Czemu kastaniet? – zapytała ze zdumieniem Betty. – Jaką krzywdę można zrobić kastanietem?!

– Można nim komuś przyrznać w łeb albo wybić zęby – wyjaśniła usłudźnie Róża. – Poza tym to słowo nie ma liczby pojedynczej, a ona miała na myśli kastet, karabin albo kerambit.

– O, właśnie, kerambit! – ucieszyła się Miłka. – Wiedziałam, że to coś na k,

tylko wypadło mi z głowy co.

– Kerambitem to możesz sobie co najwyżej otworzyć puszkę konserw – pouczyła ją Róża. – Do niczego więcej ci się nie przyda...

– W thrillerze, który ostatnio oglądałam, świetnie się też nim podrzytało gardło – wyjaśniła Miłka, z zadowoleniem zauważając wchodzącą do pokoju i niosącą paterę z sernikiem domowej roboty panią Cecylię. – W sumie nieważne. Istotne, że nikt tam tak naprawdę niczego nie sprawdzał. Można było bez obaw przemycić sztylet.

– O święta Mario Goretti – westchnęła gosposia, stawiając sernik na stole, ku radości Miłki tuż przed nią. – Tacy młodzi, sympatyczni ludzie... Kto by pomyślał?! Co za nieszczęście!

Betty, pomna, że każda nabożna inwokacja ma swoje uzasadnienie, skierowała w jej stronę zaciekawione spojrzenie. Cecylia od razu zrozumiała jej niewypowiedziane pytanie.

– Maria Goretti była dziewczynką, która zginęła w obronie swojej cnoty – wyjaśniła. – Jej zabójca poszedł do więzienia, skąd go wypuszczono po dwudziestu siedmiu latach. Został kapucynem i resztę życia spędził w klasztorze. Ja bym go tam w ogóle nie wpuściła. Miejsce przestępców jest gdzie indziej. A Maria została patronką dziewic.

– No, to nijak nie pasuje – mruknęła Miłka, nakładając sobie ćwiartkę sernika. – Niech się pani lepiej pomodli do jakiejś patronki ładacznicy...

– Nawróconych?

– Raczej martwych...

Cecylia spojrzała na nią z rozmysłem.

– A to ciekawe... – powiedziała powoli, nieco się przy tym czerwieniąc. – Takiej chyba nie znam. Proszę mi wybaczyć.

Szybkim krokiem opuściła salon.

– Ha! Gratulacje, wreszcie komuś udało się ją zagiąć! – Róża się uśmiechnęła, a Miłka z triumfującą miną podziękowała jej królewskim ruchem ręki za uznanie. – Jestem pewna, że teraz wertuje jakiś spis świętych, żeby nadrobić braki w wiedzy.

– W kuchni? – zdziwiła się Betty. – Przecież nie znajdzie tam żadnej ściagi...

– Owszem, znajdzie... – westchnęła Róża. – Przez kilka ostatnich dni wprowadziła w tym pomieszczeniu parę zmian. Na jednej ścianie mam teraz obrazek świętej Marty z Betanii, a na drugiej świętej Wiburady, bo nie mogła się zdecydować, która jest lepszą patronką kucharek, więc na wszelki wypadek powiesiła obie. Jak czasem tam wchodzę, to mam wrażenie, że zamiast zrobić kawę powinnam uklęknąć przed ekspresem i się do niego pomodlić. Na półce, gdzie dotąd stały poradniki kulinarne Nigelli Lawson i Jamiego Oliviera, są teraz żywoty

świętych, biografie papieży i dzieła wszystkie siostry Petroneli. Czy wiecie, że ona sprzedawała pięć milionów książek?

– Ile?! – zdumiała się Betty.

– Pięć albo nawet już sześć – powtórzyła Róża. – Może bym w to nie uwierzyła, ale jak pół roku temu byliśmy razem na targach książki, to ja podpisywałam swoje przez dwie godziny, Kasia Puzyńska przez cztery, a siostra Petronela przez cały dzień. Gdyby nie fakt, że kiedyś trzeba było zamknąć halę, to pewnie siedziałyby i podpisywała je dalej. A jej największą fankę mam u siebie w kuchni. Ona nie gotuje posiłków, tylko je celebrytuje.

Betty lekko zatkało. Róża popatrzyła na nią ze zrozumieniem i, dając czas swojej agentce na odreagowanie, sięgnęła po dwa talerzyki i nałożyła po kawałku sernika. W tym samym momencie rozległ się cichy dzwonek domofonu, oznaczający, że ktoś na dole posłużył się kodem i otworzył drzwi wejściowe. Nie minęła minuta, gdy do pokoju wszedł Pepe. Jego marsowa mina oznaczała, że kłopotom z kawiarnią raczej nie widać było końca.

– Co się teraz urodziło? – zapytała Róża, patrząc na niego ze współczuciem i gwoli pocieszenia podając mu swój talerzyk z nietkniętym jeszcze kawałkiem ciasta.

Pepe ze wściekłością wbił widelec w sernik i zjadł duży kęs. Jako urodzony kucharz docenił jakoś wypieku i po drugim gryzie furia zaczęła mu z wolna mijać.

– Ot, taki drobiazg – wyjaśnił, nadal zdenerwowany. – Poprzedni właściciel tego uroczego miejsca zapomniał mnie poinformować, że jest ono zabytkiem i na wszelkie remonty trzeba mieć pozwolenie konserwatora. Głupiego gwoździka nie można wbić, bo grozi ci za to jakaś koszmarna kara. Dyby, galery albo praca w kamieniołomach, już nawet nie wnikałem. Czujecie? Cała ta kamienica się wali. Jak wszedłem tam kiedyś na klatkę schodową, to miałem wrażenie, że właśnie odkryłem magiczny portal, który przeniósł mnie do starożytnego Rzymu bezpośrednio po najeździe Wandalów. Wszystko to jedna wielka, sypiąca się ruina, ale nie możesz tam wymienić podłogi albo framug, bo niszcysz zabytek!

– Aż tak..?

– Aż tak – warknął Pepe. – Nie wolno mi nawet odmalować ścian, bo zdaniem jakiegoś barana jest na nich zabytkowa polichromia.

– A jest? – zaciekawiała się Miłka.

– Jeśli uznać za nią wyspreyowany znak Legii Warszawa, bo wcześniej mieścił się tam klub kibica, napis „Polska mistrzem świata” i kilka obrazowych malunków różnych intymnych części ciała obu płci, to i owszem – wyjaśnił z rezygnacją Pepe. – Ale może ja się nie znam. Może tę całą radosną polichromię robił osobiście król Stanisław August w przerwach między obiadami czwartkowymi, tylko nikt o tym dotąd poza biurem konserwatora zabytków nie wiedział? Nie wiem, co na to poradzę. Na wszystko trzeba mieć sto tysięcy

papierków i zgód, na które czeka się miesiącami. W sumie zamiast architekta wewnątrz przydałby mi się czarodziej Gandalf, który sprawi, że półki będą magicznie wisiały w powietrzu, a ściany pokryją się cudowną farbą widoczną dla każdego poza kontrolerami. Nie chce mi się już na ten temat gadać. Lepiej opowiedzcie mi, co się stało. Tylko jakoś mniej chaotycznie niż przez telefon, bo z tego waszego gadania w nocy zrozumiałem, że Róża zaplątała się w obrus, przez przypadek dźgnęła nożem jakąś piosenkarkę, a potem podrzuciła narzędzie zbrodni komuś innemu.

Róża popatrzyła na niego z nagłym olśnieniem.

– To oczywiście, że pchnął mnie ktoś, kto leciał zabić Lilian! – krzyknęła podniecona. – Zabił i podrzucił nóż Mario! To jedyne wytłumaczenie! Mario przecież stał z drugiej strony balustrady, więc nie miał jak mnie pchnąć. Nie mówiąc już o tym, że nie miał żadnego noża. A poza tym to w ogóle nie był nóż, tylko sztylet. W dodatku ozdobny i charakterystyczny.

Widząc zdezorientowaną minę Pepe, Róża z pomocą Miłki szybko jak najdokładniej opisała mu wydarzenia poprzednich wieczorów – tego feralnego i wcześniejszego, który spędziły na obmyślaniu morderstwa.

– I tak wam się to wszystko pięknie zgodziło? – zdumiał się Pepe, patrząc na nie z mieszaniną zgrozy i podziwu.

– Właśnie, że nic nam się nie zgodziło – zaprotestowała Róża. – Kto inny miał zginąć, kto inny miał być mordercą, inne miało być narzędzie zbrodni i w ogóle cały scenariusz. Zgodził się tylko bal, no i może jeszcze to, że ofiara była młodą dziewczyną.

– Kto był mordercą w waszej opowieści?

Róża z Miłką popatrzyły na siebie niepewnie.

– Zdaje się, że natworzyłyśmy ich całą armię – przyznała pisarka niechętnie. – Pamiętasz, kogo typowałyśmy..?

– Dziewczynę biznesmana, który poczuł miętę do ofiary, oczywiście, zanim stała się ofiarą – przypomniała Miłka. – I szefa fundacji, która opiekowała się denatką, bo odkryła jego machlojki finansowe.

– A, i jeszcze zakochanego w niej dziennikarza – przypomniało się Róży – który miał na jej punkcie obsesję, a kiedy zorientował się, że nie ma u niej szans, postanowił, że nikt inny też jej nie zdobędzie. Nie opłacało mu się wykańczać owych innych, więc usunął z tego padołu ją. Z żalem i duszą rwącą się na strzępy.

– Na pewno byliście trzeźwe, jak to wymyślałyście? – zapytał Pepe. – Bo mam wrażenie, że opowiadacie jakieś brednie.

– Miłka miała fazę po cukrze – wyjaśniła Róża z lekką ekspiacją w głosie – a ja... a ja... wypiałam tylko jednego drinka!

Od strony kuchni rozległo się głośnie kasznięcie.

– No dobrze, może dwa... – poprawiła się szybko Róża.

Kaszlnięcie się powtórzyło.

– W porządku, pół butelki rumu i odrobinę czerwonego wina, ale już mi tak dobrze nie wchodziło, więc na tym zakończyłam – przyznała pisarka niechętnie. – Ale wcale nie byłam pijana! To już prędzej Miłka.

– Ja?! – zdziwiła się Wężowska. – Przecież w ogóle nic nie piłam!

– Owszem, wodę po kiszonych ogórkach – wytknęła jej Róża. – To fermentuje w żołądku nie gorzej niż alkohol.

– Coś ci się pomyliło – powiedziała stanowczo Miłka. – Wodą po ogórkach to właśnie leczy się kaca.

– Tylko się nie pobijcie – poprosiła Betty, patrząc z ciekawością na Pepe. – Myślisz, że skoro wymyśliły morderstwo, to mogły też przez przypadek dobrze wytypować tego, kto zabił...

– Nawet nie – Pepe pokręcił głową. – Bardziej byłem ciekawy, jakie wymyśliły motywy zabójstwa. Bo właściwie jaki powód mógł mieć Mario?

– Mówił, że Lilian zrobiła z niego pośmiewisko w Internecie – przypomniawsza Róża. – I że stracił przez nią sporo kasy...

– Naprawdę uważasz, że z takiego powodu można kogoś zabić? – zastanowił się Pepe. – Przecież gdybyś ty chciała zabić każdego, kto cię wyśmiał na przykład na Facebooku, to grabarze nie nadążyliby grzebać twoich ofiar, a z kwiatu polskiego blogerstwa zostałyby ledwie kilka osób. Reszta zginęłaby marnie.

– Żadna reszta, ledwie trzy osoby – sprostowała Róża z oburzeniem – z których jedna jest wybitną znawczynią literatury i języka polskiego, tylko nigdy nie wie, gdzie postawić przecinek. Druga wymaga od pisarzy dystansu, ale sama oburza się, gdy ktokolwiek zwróci jej na cokolwiek malutką nawet uwagę. A trzecia uważa, że dobre książki piszą tylko te osoby, które najpierw złożą jej hołd lenny i przysięgną wielbić ją po wsze czasy.

– Tak czy siak, żadnej byś z takiego błahego powodu nie zabiła – skwitował Pepe – więc i motywy Mario wydają mi się niezbyt przekonujące. Chyba że o czymś nie wiemy...

Wszystkie spojrzenia skierowały się na Betty. Ta wydała z siebie pełne rezygnacji westchnienie.

– Dobrze, postaram się wymaglować Krzysia trochę intensywniej – obiecała. – Przy poprzednim śledztwie działał na niego boeuf bourguignon, ale pod koniec też już przestał. To teraz chyba przyjdzie mi ugotować mu homara...

– W takim razie... – Pepe zdławił w sobie chęć zaoferowania Betty pomocy. Skorupiaki jakoś nigdy nie należały do jego ulubionych składników menu, a fakt, że najlepiej wrzucać je do garnka i gotować, gdy są jeszcze żywe, przyprawiał go o gęsią skórkę. – Kogo mamy w gronie podejrzanych?

– W sumie niewielką ilość osób – zastanowiła się Róża. – Siedzieliśmy wszyscy w miejscu dla VIP-ów i tak naprawdę ludzie się dopiero tam schodzili.

Większość gwiazd z zasady się spóźnia, a tu jeszcze dodatkowo była aukcja, więc dyplomatyczniej było przyjść po jej zakończeniu, żeby nie wyjść na nieużytą sknerę. Dostępu na piętro strzegła na dole ochrona. Nikogo na pewno nie wpuściła na górę. Kto tam był..? Poza Mario jeszcze czterech facetów. Menadżer Lilian, jej ochroniarz, gitarzysta z jej zespołu oraz dziennikarz „Koktajlu”, mający na jej punkcie obsesję. Z babek były trzy, które stały obok mnie – dwie aktorki i jedna trenerka. Była też piosenkarka Marta Raj z jakąś chyba przyjaciółką, no i jeszcze dziewczyna tego gitarzysty. I chyba kelnerzy...

– O kelnerach zapomnij – powiedziała szybko Miłka. – Miałam ich na oku przez cały czas. Patrzyłam, czy aby nie przyniosą wcześniej przekąsek. Jak gasło światło, ani jednego nie było na sali. Podobnie, gdy się zapaliło. Nawet sprinter nie dałby rady wbiec, wbić w Lilian sztyletu i wrócić z powrotem do kuchni.

– W sumie mamy dziesięcioro podejrzanych? – upewnił się Pepe. – Czyli policji nie powinno być trudno wykryć sprawcę, przy założeniu, że nie był nim Mario...

– Czy ja wiem? – zamyśliła się Róża. – Jakoś nie wierzę w tę naszą policję. Spojrzała na Betty i trochę się zmitygowała.

– To znaczy, z całym szacunkiem dla Krzysia...

Betty wzruszyła obojętnie ramionami, bo sama w duchu też nie miała najlepszego zdania o policji, a niektóre z opowieści jej narzeczonego tylko utwierdzały ją w opinii, że akurat do tej instytucji nie zawsze trafiają ludzie, którzy mają do tego powołanie.

– Poza tym nie masz racji, bo podejrzanych jest więcej – skorygowała Pepe. Ten spojrzał na nią z zaskoczeniem.

– To znaczy..?

– Jest jeszcze Róża i Miłka – powiedziała Betty. – Jeśli mówimy o wszystkich podejrzanych, to i je też musimy włączyć do tego grona.

– No wiesz..! – oburzyła się Róża.

Miłka za to wydawała się taką możliwością bardzo rozbawiona.

– Gdyby tylko ta cała Lilian trzymała w ręku coś do jedzenia, na pewno byłabym pierwszą podejrzaną – przyznała sprawiedliwie. – Moim zdaniem parę osób można wykluczyć ze względu na miejsce, w którym znajdowały się, gdy znów zapaliło się światło. Tak w ogóle, to strasznie sprawny fizycznie ten morderca. Jakby na sali był jakiś lekkoatleta, to można byłoby go od razu zapuszkować zamiast Mario.

– Co masz na myśli? – zacięła się Róża.

– Zauważcie, że nie mógł zaplanować tego, że nagle robi się ciemno. Zaskoczyło go to tak jak wszystkich, ale zdołał w tym czasie podbiec do Lilian, wbić jej sztylet w plecy, wyciągnąć go, rzucić na podłogę i wrócić na swoje miejsce. I to wszystko w przeciągu czterech, maksymalnie pięciu minut, bo dłużej

w tych egipskich ciemnościach nie staliśmy. Do tego musi mieć dobry wzrok, że trafił prosto w serce, a po drodze się o nic sam nie zabił...

– Owszem, zabił – sprostowała Róża. – O mnie. I przy okazji o mało brakowało, a mnie też by załatwił!

– Już nie przesadzaj, pewnie ledwie co cię tknął, tylko ty masz błędny błędnik – zgromiła ją Miłka. – Tym niemniej uważam, że są dwa wyjścia. Albo ów ktoś jest obdarzony żelaznymi nerwami i ponadprzeciętną sprawnością fizyczną, albo też, i to wydaje mi się o wiele bardziej prawdopodobne, ten ktoś wiedział, że nadarzy mu się taka sposobność do morderstwa i awaria światła wcale nie była przypadkiem!

– Co pięć sekund masz inną teorię – zgromiła ją Róża. – Ale współnik... Kto wie..?

– Dlaczego nie? Zauważ, że ów ktoś przyszedł na bal z nożem, więc nie było to morderstwo w afekcie, ale z premedytacją. Skoro tak, to dlaczego nie założyć, że przygotowała je więcej niż jedna osoba?

Przez chwilę wszyscy przetrawiali teorię Miłki.

– Policja na pewno sprawdzi, dlaczego nie było światła – powiedziała w końcu Róża, patrząc wymownie na Betty. – Wtedy i my się tego dowiemy. A co do możliwości popełnienia zbrodni, zastanówmy się. Najbliżej miejsca, gdzie dźgnięto Lilian, stała...

– Stał Mario – wpadła jej w słowo Miłka. – Wiem, że go lubisz i że dumamy nad tym morderstwem tylko dlatego, że nie chce ci się wierzyć w jego winę, ale na razie to on jest podejrzanym numer jeden.

– W porządku. – Róża kiwnęła zgodnie głową. – Wpisujemy go na górę listy.

Sięgnęła pod stół po jedną z trzymany tam czystych kartek formatu A4. Rozsiane były one po jej mieszkaniu w różnych dziwnych miejscach na wypadek, gdyby w którymś przyszedł jej do głowy jakiś pomysł do książki. Pomna tego, że już kilka razy zapomniała, co też wymyśliła na przykład w wannie, i że zanim się z niej wygramoliła i doszła do komputera, miała w głowie już tylko pustkę, na wszelki wypadek poumieszczała papier i długopisy wszędzie tam, gdzie tylko pani Cecylia jej na to pozwoliła.

– Kto następny? – spytała, kiedy już umieściła imię youtubera na górze kartki. – Moim zdaniem Barbara i Ewelina. Kiedy skończyłyśmy rozmawiać, przeszły w stronę balustrady i stanęły na jej końcu. Miały stamtąd do Lilian góra dwa kroki.

– Plus Ewelina była najbardziej wysportowaną osobą na sali – zauważyła Miłka. – Cały czas uważam, że to morderstwo musiał popełnić ktoś sprawny fizycznie. I silny! Ona wygląda na taką, która nie dość, że zdążyłaby wbić Lilian sztylet, to jeszcze po drodze zrobić dwa salta i szpagat.

– OK, wpisałam – zaraportowała Róża. – Nie pamiętam za to, co się stało z Danutą Stec.

– Ja też nie... – zastanowiła się Miłka. – Kiedy zapaliło się z powrotem światło, stała chyba obok nas, ale głowy za to sobie nie dam uciąć.

– A towarzystwo przy stole Lilian? – Róża na chwilę zamknęła oczy. – Najbliżej balustrady siedział ten gryziپیórek...

– Tylko w teorii – zaprotestowała niepewnie Miłka. – Zauważ, że kiedy Lilian usadziła przy nim tę piosenkarkę, Maj, czy jak jej tam...

– Raj – poprawiła Róża. – Martę Raj.

– Raj, niech będzie – zgodziła się Miłka – więc jak ją tam usadziła, to sama usiadła na kolanach temu muzykowi i wtedy tak przesunęła stół, że zamknęła dziennikarzowi możliwość przejścia od strony balustrady. Moim zdaniem to go uniewinnia, bo żeby ją zamordować, musiałby albo przeskoczyć, albo przefrunąć ponad stołem. Skrzydeł u niego nie widziałam, a w skakanie po ciemku nie wierzę. Natomiast i gitarzysta, i ta cała Raj mogli spokojnie podążyć za Lilian i ją dźgnąć. To samo dotyczy jej ochroniarza i menadżera. Miejsca tam było między stołami tyle, co dla stada krów. Każdy dałby radę.

– W porządku. – Róża znów coś namazała na kartce. – Przy dziennikarzu postawiłam minusa. Przy Marcie Raj też właściwie mogłabym, bo w tym, co na sobie miała, nijak nie dałaby rady ukryć sztyletu, a nie zauważyłam, żeby miała jakąś torebkę. Swoją drogą, ciekawe, gdzie trzymała swoje rzeczy. Nie wierzę, że przyszła bez błyszczczyka albo choćby pudru. Nie w jej wieku!

– Ta myszowata, co z nią była, miała dość dużą torebkę – przypomniała Miłka. – Może trzymała w niej też i jej rzeczy?

– Może. Pamiętasz, kto stał najbliżej ciała Lilian, kiedy zapaliło się światło?

– Nie pamiętam, bo przecież wtedy akurat zachciało ci się uskutecznić inscenizację trzeciej części „Dziadów” – powiedziała gniewnie Miłka. – Moment na udawanie zjawy z zaświatów wybrałaś sobie po prostu idealny! Przez ten czas, kiedy wszyscy się gapili na ciebie, każdy mógł się po cichu przemieścić po sali i zaręczam ci, że nikt by na to nie zwrócił uwagi, bo wszyscy byli zapatrzeni w coś innego. Jedni w zwłoki Lilian i Mario z nożem, a inni w ciebie, miotającą się w charakterze nedorobionego ducha...

– No dobrze... – westchnęła Róża. – To będziemy musieli sprawdzić, bo może ktoś jednak coś zauważył.

Pepe z Betty wymienili porozumiewawcze, niespokojne spojrzenia.

– My..? – zapytał ostrożnie Pepe. – Czy ty się znowu chcesz bawić w śledztwo? Mało ci było?!

– To chyba oczywiste – Róża spojrzała na niego wzrokiem nauczycielki matematyki, zdziwionej, jakim cudem można nie wiedzieć, co to jest całka i ile wynosi liczba Pi. – Nie zamierzam pozwolić, aby jakiś antypatyczny cymbał

przetrzymywał w więzieniu niewinnego człowieka. Poza tym takiego, który akurat nigdy nie powinien tam trafić i licho wie, w jakim jest teraz stanie i co musi znosić od innych aresztantów. Wolę nawet o tym nie myśleć! I zauważ jeszcze jedno. Do tej pory prowadziliśmy dwa śledztwa i oba zakończyły się sukcesem. Daje nam to stuprocentową skuteczność. Więc...

– Więc tym razem wypukaj sobie z tej twojej szalonej makówki, że wezmę w tym udział – powiedział stanowczo Pepe. – Mam na głowie tyle spraw związanych z tą cholerną kawiarnią, że już mi nie starczy ani czasu, ani cierpliwości, żeby znów ratować ci cztery litery. Weź to łaskawie pod uwagę, zanim znów wpadniesz do jakiegoś zabytkowego wychodka albo ktoś cię zacznie podduszać.

– Akurat od uduszenia nie uratowałeś mnie ty, tylko Rafał Maślak – przypomniała mu Róża. – Ale rozumiem, że masz mało czasu. Jesteś usprawiedliwiony. W takim razie będę miała dla ciebie tylko jedno zadanie...

– Jedyne, co mogę zrobić – powiedział stanowczo Pepe – to zaprosić cię na uroczyste otwarcie mojej kawiarni. O ile, oczywiście, wcześniej ciebie nie przebiję kozikiem psychopatyczny morderca, a ja nie zabiję jakiegoś urzędnika. W tym drugim przypadku pozwolę ci się wykazać i wymyślić mi fałszywe alibi. Do tego czasu zapewniam, że absolutnie i kategorycznie nie wezmę udziału w żadnym twoim szaleństwie.

– Ja też nie! – równie stanowczo rzekła Betty. – Dwa razy drżałam, czy przez te nasze śledztwa Krzyś nie zerwie zaręczyn. Wyjątkowo nie chcę na nim testować, czy faktycznie do trzech razy sztuka. Mnie też tym razem wykreśl!

Róża przez chwilę przybrała wyraz twarzy skrzywdzonej dziewczynki, która właśnie dowiedziała się, że jej ulubiona lalka została rozszarpana przez niesforne kundelki. Widząc jednak, że ów grymas nijak nie działa na jej przyjaciół, wydała z siebie gniewne pufnięcie.

– Nieużytki rolne – mruknęła ze złością. – Jak Mario coś sobie robi w tym areszcie albo ktoś zrobi coś jemu, to spadnie to na wasze sumienia. Ja w każdym razie nie zamierzam siedzieć bezczynnie.

A widząc, że Pepe i Betty już otwierają usta, żeby jej to wyperswadować, szybko dodała:

– I w żaden ludzki sposób nie przekonacie mnie, że mam postąpić inaczej...

Kilka godzin później szykująca się powoli do snu Betty usłyszała melodyjkę w swojej komórce. Szybko przesunęła palcem po ekranie.

– Wiem, że obiecałaś sobie, że nie będziesz się wtrącać, ale chciałem cię poprosić, żebyś miała jednak Różę na oku – powiedział Pepe. – Sama wiesz, na co ją stać. Znowu narobi głupot. Więc jedno z dwojga: albo przekonaj tego swojego pięknego, żeby ją faktycznie przytknął, choć na czterdzieści osiem godzin, albo dyskretnie jej pilnujmy. Ja na razie naprawdę nie mogę, ale obiecuję, że jak tylko

zdejmę sobie z głowy najważniejsze sprawy, to też się w to stróżowanie włączę.

– Postaram się – obiecała Betty. – Aczkolwiek w tym przypadku wydaje mi się, że Róża ma niewielkie pole do popisu.

– Nie doceniasz jej – stwierdził Pepe stanowczo. – Zobaczysz, że ona jeszcze zmaluje coś takiego, że nam oczy zbieleją...

I jak to z reguły w takich momentach bywa, wypowiedział ostatnie zdanie w złą godzinę.

ROZDZIAŁ VI

TYLKO PANI TO POWIEM

W ogromnej industrialnej hali panował klimat bez mała syberyjski. Róża, która kilkadziesiąt minut wcześniej stoczyła zwycięski bój z Cecylią, pomstującą, że pisarka nie ma ciepłych rzeczy, i chcącą ją ustroić w swoje ekologiczne futro z kołnierzem ze sztucznego barana, w dodatku poświęcone w czasie jej pielgrzymki do Medjugorie, teraz żałowała, że jednak nie uległa starszej pani. Święcony baran święconym baranem, ale przynajmniej teraz nie miałyby czerwonego od zimna nosa. W sumie to jednak nie ziąb doskwierał jej najbardziej, a hałas. Choć stała dobrych kilkadziesiąt metrów od potężnej ściany z głośnikami, miała wrażenie, że za chwilę bębenki w jej uszach eksplodują od dudnienia basu i łomotu perkusji. Dźwięk solówki gitarowej w wykonaniu poznanego na przyjęciu młodzieńca, który najwyraźniej poczuł w sobie ducha Jimiego Hendrixa i wyciskał ze swojego instrumentu maksimum możliwości, kojarzył jej się z odgłosem wiertła dentystycznego i powodował u niej mniej więcej taki sam świdrujący ból głowy jak wtedy, kiedy dawała się namówić swojej pani stomatolog na „drobne borowanko

bez znieczulenia”. „Następnym razem będę musiała tu przyjść z zatyczkami do uszu”, pomyślała z rezygnacją Róża, zastanawiając się równocześnie, jakim cudem w swoich bardzo niedawnych studenckich czasach, czyli zaledwie jakieś piętnaście lat temu, mogła w każdy weekend chodzić na koncerty rockowe i nie dość, że nie ogłuchnąć, to jeszcze nie mieć żadnego ubytku słuchu. „A mówi się, że zmysły im starsze, tym są mniej wrażliwe na bodźce. Akurat!”, przemknęło jej przez głowę.

– OK! Wszystko w porządku! Dziękuję. Czas dla ekipy montażowej!

Zdecydowany głos brodatego mężczyzny za konsolą przerwał jej rozmyślenia nad różnymi aspektami starzenia się organizmu. Hałas umilkł. Muzycy zniknęli za sceną, na której z kolei pojawili się ludzie, montujący elementy scenografii i oświetlenia. Róża odetchnęła i wróciła wzrokiem do kobiety, którą po raz pierwszy zobaczyła poprzedniego wieczoru na feralnym balu, a osobiście poznała kilkanaście minut temu.

– Jeszcze raz dziękuję, że zgodziła się pani na moją prośbę – powiedziała. – Wiem, że to tak w ostatniej chwili, ale bardzo mi na tym zależało...

– Podziękowania należą się tylko Marcie – odpowiedziała z nieco bladym uśmiechem Justyna Kiljańska. – Ode mnie tu już, niestety, niewiele zależy. Po prostu przekazałam pani prośbę. Okazało się, że Marta jest pani wielką fanką. To znaczy, pani kryminałów oczywiście...

– Doprawdy? – Róża nawet nie musiała się specjalnie wysilać, żeby wypaść na szczerze zdziwioną, bo też i za każdym razem, gdy dowiadywała się, że ktoś znany nie tylko czyta jej powieści, ale i jest ich wielbicielem, czuła ogromne zaskoczenie. Z niewiadomych przyczyn pokutowało w niej bowiem przekonanie, że sławy mogą się zachwycać jedynie arcydziełami i nie sięgają po nic poniżej poziomu Olgi Tokarczuk czy Jerzego Pilcha, a nawet jeśli, to nie powinny się do tego głośno przyznawać. Róża, mimo braku kompleksów na punkcie swojej twórczości, nie straciła nigdy trzeźwego do niej podejścia. Swoje książki uważała za poprawnie napisane czytała i cieszyła się, że ludzie chętnie po nie sięgają, czego wymiernym dowodem były wyniki sprzedaży. Sama jednak łapała się na tym, że pytana w wywiadach o ulubione lektury, za żadne skarby świata nie przyznawała się, że uwielbia powieści Doroty Schrammek, Krysi Mirek i Gabrysi Gargaś, a za to wymieniała jakieś opasłe tomiszczka, które przerażały ją już samą tylko objętością, ale o których wiedziała, że zostały nominowane do prestiżowych nagród literackich.

– Tak, i chyba sama też była podekscytowana tym, że będzie miała okazję panią poznać – dokończyła Justyna. – Powinna tu być za jakieś pół godziny.

– Myślałam, że wokaliści są na próbie od początku...

– Nie. Najpierw ustawiamy instrumenty, a wokół na samym końcu, jak już reszta jest gotowa...

– O, właśnie. – Róża wyjęła mały notesik i coś w nim nabazgroliła, nie za

bardzo starając się nawet, aby miało to jakikolwiek sens, bo przecież nie przyjechała tu, żeby poznawać tajniki przygotowywania koncertów. – Takie informacje są mi bardzo potrzebne.

– A o czym będzie ta książka? O ile może to już pani zdradzić...

– O morderstwie... seksownego gitarzysty – rzekła niepewnie pisarka, łapiąc się na tym, że nie przygotowała odpowiedzi na to, jakby nie patrzeć, podstawowe pytanie. – Wolałabym jeszcze nie zdradzać szczegółów. Jestem dopiero na etapie robienia researchu...

– Oczywiście, oczywiście, ale jeśli chce pani poznać naszego gitarzystę, to ten... research – Justyna zaakcentowała to słowo z większą siłą – też, rzecz jasna, mogę pani ułatwić. O ile go znam, nie będzie miał nic przeciwko. Kobiety dość często go researchują.

„No i pięknie... Wyszło na to, że pod pretekstem pisania książki chcę poznać i pewnie poderwać faceta”, pomyślała Róża, wyłapując mocno ironiczne spojrzenie swojej rozmówczyni i czując, że spowodowana zinnem czerwien na jej twarzy z pewnością zamienia się w szkarłat.

– Swoją drogą... – powiedziała Justyna, a w jej wzroku ironia ustąpiła miejsca zaciekawieniu. – Co się czuje, kiedy po napisaniu tyłu powieści kryminalnych widzi się morderstwo na własne oczy..?

– Myśli pani o wczorajszym wieczorze? – upewniła się Róża. – Jakoś to wszystko wydaje mi się takie... Jakby to dobrze opisać? Nierealistyczne.

Justyna pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Mam dokładnie to samo odczucie – potwierdziła. – Cała ta otoczka, wielki bal, eleganckie kreacje, a potem zbrodnia i sztylet w rękę mordercy. Trochę jak...

– ... w teatrze, prawda? – podchwyciła Róża. – Jakbyśmy oglądali jakąś sztukę, a nie rzeczywistość.

– Co najzabawniejsze, w ogóle nie powinno mnie tam być tego wieczoru – powiedziała Justyna. – Zdecydowałam się w ostatniej chwili, bo nalegała na to Marta. Nie chciała iść sama.

– Dlaczego? – zapytała Róża.

– Które dlaczego? – uśmiechnęła się Justyna. – Dlaczego nie chciałam czy dlaczego Marta mnie o to poprosiła?

Róża sama nie wiedziała, co wydaje jej się ważniejsze, ale na szczęście Justyna nie czekała na sprecyzowanie pytania.

– Kilka dni temu postanowiłyśmy z Martą rozstać się – wyjaśniła. – Choć właściwie niezbyt precyzyjnie to opisałam, bo to ja wypowiedziałam jej umowę, a ona specjalnie nie protestowała. Uznałyśmy, że po tylu latach powinnyśmy obie spróbować czegoś nowego. Marta od kilku miesięcy nie była zadowolona z tego, co jej organizowałam. A ja... No cóż, po dziesięciu latach pracy w showbiznesie jestem w stanie załatwić wiele rzeczy, ale na pewno nie wmówię ludziom,

przepraszam za porównanie, bo nie będzie zbyt eleganckie, że stara krowa jest jałówką. Tego zaś ode mnie oczekiwano. Marta śpiewa od wielu lat, na jej piosenkach wychowało się już całe pokolenie słuchaczy, łącznie ze mną. Ale w swoim przekonaniu nadal jest nastolatką. Tak się zachowuje i takich chciałyby mieć fanów. Tyle że założenie dziurawych jeansów i obcisłego topu czasu niestety nie cofnie. Ona tego nijak nie potrafi zrozumieć. Nie dopuszcza do głowy myśli, że dla pokolenia millenialsów jest takim samym zabytkiem jak Pałac Kultury albo warszawska Syrenka. Doszłyśmy do muru i postanowiłyśmy się w związku z tym rozstać, tym bardziej że dostałam też nową propozycję. Tyle że ta od wczoraj przestała być aktualna.

– Czemuż to?

– Bo osoba, która mi ją złożyła, trafiła wczoraj do kostnicy...

– Miała pani pracować dla Lilian?! – zdumiała się Róża. – Co za pech!

– Liczyłam, że nasza współpraca otworzy dla mnie nowy etap w życiu. Tym bardziej że ostatnio zmarł mój mąż. Najpierw przez jakieś dwa miesiące chorował, potem miał komplikacje i udar, z którego już nie wyszedł.

– Bardzo mi przykro – powiedziała pisarka.

– Dlaczego? – Justyna spojrzała na nią ze zdziwieniem. – Aaaa, założyła pani, że byliśmy szczęśliwym małżeństwem. Nie, nic z tych rzeczy. Gdyby nie jego śmierć, i tak byśmy się rozstali. Może nawet wcześniej. Od dłuższego czasu już się nam nie układało... – Justyna przerwała swoją wypowiedź, przeniosła wzrok gdzieś za plecy Róży, zmarszczyła brwi i nieco zmrużyła oczy. – O, a oto i nadchodzi nasza gwiazda!

Marta Raj weszła na salę, trzymając telefon przy uchu, wykrzykując: „Serio? Sweetie? No, co ty powiesz?! Bosko, bosko! Naprawdę?!” i śmiejąc się na tyle głośno i perliście, aby wszyscy zwrócili na nią uwagę. O ile chwilę wcześniej Krull była mocno zniesmaczona porównaniem gwiazdy, której piosenki też uwielbiała, do domowej nierogaczyny, teraz musiała w duchu przyznać Justynie rację. W różowych trampkach na grubych różnokolorowych platformach, błękitnych kabaretkach, białej spódniczce baletnicy, obcisłym złotym T-shircie z wydłużonym tyłem i połyskliwej, różowej, skórzanej ramonesce dobrze mogłaby wyglądać jedynie nastolatka. Niestety, Marta nią nie była i zdaniem Róży prezentowała się jak uciekinierka z zakładu dla psychicznie chorych. Choć, z drugiej strony, co pisarka też uczciwie musiała przyznać, stylizacja obejmowała Raj z dobrych dziesięć lat. Róża przez chwilę zastanowiła się, jak sama wyglądałaby w takim outficie. Od razu jednak oczyma wyobraźni zobaczyła Pepe, który tytułuje ją mianem „podstarzałej pszczołki Mai”, oraz panią Cecylię, cmokającą nad nią z zachwytem i mówiącą, że dokładnie w takim samym stroju jej pięcioletnia wnuczka wystąpiła w przedszkolnej inscenizacji kreskówki „Atomówki”, i czym prędzej zrezygnowała z marzeń o wystrojeniu się w podobną kreację.

– Wreszcie mamy okazję się poznać! – Marta schowała komórkę do kieszeni i bezceremonialnie rzuciła się pisarce na szyję. – Marzyłam o tym, marzyłam!

Krull, która nie cierpiała takiej ostentacyjnej wylewności i nigdy nie wiedziała, jak na nią reagować, niepewnie odwzajemniła uścisk piosenkarki, klepiąc ją lekko po plecach z nieco kwaśną miną.

– Ale dlaczego pani tu marznie? – spytała Marta, kiedy już wyściskała nieszczęśliwą z tego powodu Różę. – Przecież tu jest gorzej niż w kostnicy. Justynko, dlaczego nie zaprosiłaś pani Róży... A tak w ogóle możemy przejść na ty? Mam nadzieję, że nie poczuje się pani urażona, że tak od razu to proponuję, ale w końcu mam prawo, bo jestem starsza. To znaczy, oczywiście, odrobinę starsza.

Pisarka skinęła głową, powstrzymując się w ostatniej chwili przez wygłoszeniem uwagi, że jej zdaniem dziesięć lat nie podpada pod określenie „odrobinka”. Skoro ma wyciągać z Marty tajemnice, to lepiej jej we wszystkim potakiwać.

– Więc czemu Justynko nie zaprosiłaś Róży do mojej garderoby? – Marta znowu zwróciła się do swojej agentki. – Mam nadzieję, że jest tam ciepło. Zadbalaś o to, prawda, ko-cha-nie?

To ostatnie pytanie zadała tonem, od którego Róży przeszły ciarki po plecach. W jednej sekundzie pisarka uświadomiła sobie, że gwiazda, po pierwsze, wcale nie jest tak sympatyczna i miła, na jaką stara się pozować, a po drugie, że ona sama za nic w świecie nie chciałaby być jej podwładną.

– Oczywiście, że tak – odpowiedziała obojętnie Justyna, na której ton jej szefowej najwyraźniej nie zrobił najmniejszego wrażenia. – Są tam trzy grzejniki i nawilżacz powietrza, do którego nalałam to, co zawsze.

– Cudownie. – Marta uraczyła ją uśmiechem, jednocześnie wskazując Róży kierunek drogi. – W takim razie chodźmy tam czym prędzej. Tutaj za chwilę zamarzniemy. A ty, Justynko, dopilnuj tu wszystkiego. Zwłaszcza tych tłumoków przy światłach. Przecież wiesz, że zielone mnie postarza, niech go nigdy więcej nie używają. Wyglądam w nim jak stara strzyga bagienna. Tylko białe i pomarańczowe. Dopilnuj tego! No już, szybciotko, szybciotko!

Róża spojrzała na agentkę ze współczuciem, ale nie powiedziała ani słowa. Chwilę potem znalazła się wraz z Martą w środku stojącego tuż przy tylnym wyjściu z hali kampera. Po przekroczeniu jego progu Róża przez chwilę musiała zwalczyć wrażenie, że oto magicznie przeniosła się do tropików. Nie dość, że było tu gorąco i wilgotno, to jeszcze pachniało lasem.

– Drzewo herbaciane i sosna – wyjaśniła Marta, widząc, jak Róża ze zdziwioną miną wciąga powietrze. – Idealnie nawilżają gardło przed koncertem. Zawsze ich używam i jeszcze nigdy się nie zawiodłam. A więc... Słyszałam, że chcesz wypytać mnie o tajniki mojego zawodu. Z miłą chęcią odpowiem na wszystkie pytania. Spoczniemy...

Usiadły, a właściwie zapadły się w wielkie różowe, skórzane pufy z gatunku tych, jakich Róża z całego serca nienawidziła, bo nijak nie umiała z nich potem z gracją wstać. Jakby nie kombinowała, jej pupa zawsze usiłowała posiedzieć jeszcze trochę dłużej. Kiedyś na spotkaniu autorskim jedna z czytelniczek uwieczniła na komórce moment, gdy Róża gramoliła się z pomocą towarzyszącego jej Pepe z takiego siedziska. Traf chciał, że tuż przed spotkaniem pisarka, w ramach odstresowania się, oglądała w komórce niecodzienne filmiki i trafiła między innymi na zapis akcji wyławiania hipopotama, który przez przypadek ugrzązł w bagnie. Po obejrzeniu siebie wstającej z pufa, doszła do wniosku, że hipopotam miał jednak więcej gracji.

– O czym będzie opowiadać twoja książka? – zapytała Marta, nalewając im wody mineralnej do kubeczków ozdobionych pretensjonalnym, zdaniem Róży, wykonanym złotymi literkami napisem „I love Marta Raj”.

– O morderstwie... – Róża w panice nijak nie mogła sobie przypomnieć, co zmyśliła menadżerce gwiazdy. Jej pamięć krótka była z dnia na dzień coraz krótsza, długa zresztą też działała kapryśnie i pisarka w duchu przestraszyła się, że niebawem będzie musiała nosić przy sobie karteczkę, żeby wiedzieć, jak się nazywa i gdzie mieszka – ... seksownej piosenkarki.

„Gitarzysty, idiotko, gitarzysty”, olśniło ją w tej samej chwili, ale już nie poprawiała swojej wypowiedzi. W końcu mogła w powieści ukatrupić więcej niż jedną osobę. Poza tym morderstwo piosenkarki wydało jej o wiele lepszym wytrychem do rozmowy na pożądanym temat. Niezbyt taktownym, zważywszy na okoliczności, ale jednak skutecznym. Po co w sumie bawić się w subtelności?

Marta uniosła trochę brwi i popatrzyła na nią wnikliwym, badawczym wzorkiem.

– To tak à propos wczorajszego... incydentu? – zapytała powoli. – Bardzo przykry wypadek.

– Trudno zabójstwo z premedytacją nazwać wypadkiem – powiedziała Róża. – Ale tak, masz rację, nawet takie przykre sytuacje mogą stanowić natchnienie do pisania.

– Och, doskonale to rozumiem – uśmiechnęła się Marta. – Moje najlepsze teksty piszę zawsze, kiedy mam złamane serce. Swoista psychoterapia. A co do wczorajszego wieczoru, to nadal trudno mi w to uwierzyć.

– Prawda? – potaknęła Róża. – W jednym momencie rozmawiasz z kimś, żartujesz, w drugim już go nie ma. Musiałaś to chyba mocno przeżyć? Może nie chcesz na ten temat rozmawiać? Z tego, co wczoraj zauważyłam, byłyście z Lilian dobrymi przyjaciółkami...

– Nie żartuj! – roześmiała się na głos Marta. Jej skrzekliwy, niesympatyczny śmiech wydał się Róży odrażający. – Nienawidziłam tej małej suki. Dlatego nie chciałam tam iść na ten bal. No, ale jednak to zawsze ogromna promocja i czasem

trzeba przypomnieć mediom, że jeszcze się żyje i ciągle nieźle wygląda. I gdyby tylko nie perspektywa spotkania z tą pindą...

– O umarłych... – zaczęła Róża, ale Raj wpadła jej w słowo.

– Wiem, wiem! Nie mówi się źle – dokończyła z ironią – ale nie zamierzam teraz udawać nieutulonej w żalu. To była złośliwa, rozwydrzona, podstępna dziwka. Ukradła mi wszystko, co mogła. Kontrakty, przyjaciół, moich muzyków, a ostatnio nawet menadżerkę. Przez nią musiałam zastawić swój dom i sprzedać mnóstwo cennych rzeczy.

– Ale przecież wczoraj... – Róża urwała, widząc, że na twarzy jej rozmówcy pojawia się grymas wściekłości. Piękna piosenkarka w tym momencie przypominała baśniową czarownicę. Krull dyskretnie rozejrzała się po kamperze, upewniając się, czy w pomieszczeniu nie ma pieca, do którego Marta – niczym Baba Jaga z bajki o Jasiu i Małgosi – mogłaby ją wrzucić.

– Wczoraj Lilian odegrała fantastyczne przedstawienie! – wykrzyczała z furią piosenkarka. – Opo! Dobrze sobie! Dlaczego nie było mnie w Opolu? Przecież ona wiedziała to najlepiej, bo jej cholerny menadżer, pieprzony narkoman, osobiście pojechał do szefa telewizji z ultimatum, że Lilian wystąpi tam tylko wtedy, kiedy mnie wykreślą z listy gości! Dziwka!

– Żartujesz?!

– Nie!

Zdenerwowana Marta przez chwilę próbowała się opanować. Wypiła łyk wody, delikatnie, kolistymi ruchami pomasaowała się po skroniach i wzięła kilka głębokich oddechów. Maskę czarownicy powoli zaczęła znikać z jej oblicza.

– To nie był jej pierwszy taki numer – powiedziała już nieco spokojniejszym głosem. – Kilka miesięcy temu spotkałyśmy się na jakiejś imprezie. Wiedziałam już, że trzeba przed nią trzymać buzię na kłódkę, ale wypiałam kilka aperoli i język mi się sam rozwiązał. Powiedziałam jej, że jedna z sieci komórkowych chce zasponsorować serię moich koncertów i że to dla mnie dar z niebios, bo po słabej sprzedaży ostatniej płyty zaczyna mi brakować gotówki. Samo utrzymanie domu kosztuje mnie majątek! Lilian wysłuchała tego uważnie, a po kilku dniach mój sponsor wycofał się z umowy. Nie minął tydzień i w Internecie pojawiły się daty trasy tej suki, oczywiście pod szyldem mojego niedoszłego sponsora. Mówię ci, gdyby nie to, że ktoś mnie uprzedził, sama bym ją w końcu zabiła. W myślach robiłam to setki razy. No, ale widać, komuś podpadła jeszcze bardziej. Kiedy zobaczyłam, co się stało, miałam ochotę uściskać tego chłopaka. Tylko trochę się bałam, że i mi coś zrobi. Wyglądał na psychicznie chorego...

– Mario? – Róża za późno ugryzła się w język.

Marta popatrzyła na nią z zaskoczeniem.

– Znasz go? – zapytała zdumiona.

„Panna Marple to ze mnie nijak nie jest”, pomyślała z rozgoryczeniem Róża.

„No trudno, skoro już mi się wyrwało, to trzeba brnąć w to dalej”.

– Owszem – przyznała z westchnieniem. – Poznaliśmy się niedawno. Oryginał z niego, owszem zgoda, dziwak, ale jednocześnie bardzo sympatyczny chłopak. Trudno mi uwierzyć w jego winę.

Marta zmarszczyła czoło.

– Myślę, że gdy widzisz kogoś z nożem w dłoni, stojącego nad zwłokami – powiedziała – to raczej nie poddajesz w wątpliwość, czy jest mordercą.

– Masz rację, oczywiście – zgodziła się Róża. – Tyle że nikt nie widział samego momentu morderstwa.

– To w sumie interesujące... – Marta zamyśliła się, powoli sącząc wodę z kubka. – Myślisz, że mordercą był ktoś inny. Niby dlaczego by nie? Kiedy zapaliło się światło, wszyscy stali nie tam, gdzie powinni.

– Jak to?! – Róża zrobiła duże oczy.

– Nie jestem zbyt spostrzegawcza, ale doskonale pamiętam, że kiedy Lilian biegła w stronę balkonu, jej menadżer stał za nami. Zaś gdy zapaliło się światło, był tuż przy Lilian. Podobnie Marcin, nasz wspólny gitarzysta. Lilian siedziała mu na kolanach. Potem nagle znalazł się przy drugim stole. Kiedy gaśnie światło, z reguły stoisz w bezruchu i czekasz, aż je znowu zapalą. A tu wszyscy nagle zaczęli się przemieszczać...

– Powiedziałaś o tym policji?

– No, coś ty! – prychnęła z lekceważeniem Marta. – Zresztą oni prawie o nic mnie nie pytali i byli bardziej zainteresowani zdobyciem mojego autografu niż tym, co mam do powiedzenia. Mężczyźni... Ale, z drugiej strony, trudno im mieć to za złe. Złapali przecież mordercę bez mała na gorącym uczynku!

– Bez mała... – powtórzyła Róża, czując, że oto przypadkiem dowiedziała się o wiele więcej, niż miała nadzieję.

– Widzę, że jesteś jak moja agentka – westchnęła Marta. – Ona też zawsze widzi w ludziach więcej dobra niż zła. Nawet w Lilian. Suka przekupiła ją obietnicami i prezencikami. Poznały się na jakiejś gali wręczania nagród, zaczęła ją kusić... I po dziesięciu latach pracy ze mną ta niewdzięczna dziewczucha, nagle przyszła i oświadczyła mi, że chce zacząć nową przygodę. Z Lilian! Właśnie z nią! Gdyby to był ktokolwiek inny, może bym to jakoś umiała zrozumieć i jej w tej trudnej sytuacji wybaczyć, ale tak ciągle o tym myślę... Niedawno zmarł jej mąż. Biedaczka, bardzo po nim rozpaczała. Jest mi jej żal, ale pracować z nią już nie chcę.

Róża, której coś się w tej wypowiedzi nie zgadzało, już otworzyła usta, aby zadać kolejne pytanie, ale w tym momencie rozległ się przeraźliwy pisk, a następnie jakieś niezrozumiałe dla niej charkoty.

– Wzywają mnie na próbę. – Jakim cudem Marta wyłapała jakąś treść z tego rżenia, było dla Róży prawdziwą zagadką. – Zostaniesz tu jeszcze? Za jakieś trzy

kwadransie powinnam być wolna, a potem mam jeszcze godzinę do występu. Mogłybyśmy dokończyć rozmowę...

– Przepraszam, ale mam już kolejne spotkanie – powiedziała zgodnie z prawdą pisarka. – Żałuję, że nie mogę zostać na koncercie...

– Koncert? – prychnęła Marta. – Daj spokój! To jedna z tych chałtur, które biorę, żeby związać koniec z końcem. No, ale teraz po śmierci Lilian już wkrótce znów powinnam wrócić na top. I wtedy zaproszę cię na mój prawdziwy koncert.

– Bardzo mi będzie miło...

– A spotkać się i tak musimy – dokończyła Raj, sięgając po pędzelek i puderniczkę – więc bądźmy w kontakcie. Zapisz sobie mój prywatny numer. Koniecznie musisz mi podpisać swoje książki. Uwielbiam je! Zwłaszcza te, gdzie ofiarami są młode kobiety.

Mrugnęła do Róży porozumiewawczo. Pisarka wstukała numer Raj do swoich kontaktów w komórce, po czym się pożegnała. Kiedy wyszła z kampera, wyciągnęła notesik. „Menadżer narkoman? Czemu Lilian chciała go zmienić na Kiljańską?”, zapisała, po czym pod spodem dopisała: „Raj kłamie. O wszystkim”.

Prawda bowiem była taka, że Róża w żadnej swojej książce nie zamordowała młodej kobiety, a gitarzysta, kiedy zapaliły się światła, wcale nie siedział przy drugim stole. Zaś Justyna powiedziała, że nie rozpaczała po swoim mężu i że Marta bardzo chciała być tego wieczoru na balu.

ROZDZIAŁ VII

CIACH, CIACH...

Miłka rozejrzała się po knajpie i jeszcze raz w duchu zadała sobie pytanie, dlaczego dała się namówić Róży na to, aby rozpoczęły we dwie prywatne śledztwo. Z jednej strony pamiętała, że w czasie zjazdu pisarek w Kopielnikach, gdzie usiłowały wykryć sprawcę morderstw swoich koleżanek po piórze, miały przy tym całkiem niezłą zabawę. O ile, oczywiście, w tym kontekście można użyć takiego słowa. Jednak z drugiej – co za dużo, to niezdrowo. Skończy się na tym, że albo policja je przymknie za wścibianie nosa w nie swoje sprawy, albo w końcu same zginą z ręki jakiegoś psychopaty. Na razie Miłka poczuła, że już staje się ofiarą, tym razem zbrodni kulinarnej. Lokal pod niepokojącą nazwą „Daj mi z liścia” stanowił bowiem kwintesencję tego, czego pisarka nienawidziła w gastronomii. Po pierwsze – stołowali się tu sami dziwacznie poubierani i wyglądający jak bezdomni hipsterzy, najwyraźniej zachwyceni tym, że obsługa traktuje ich jak zło konieczne, powarkuje na nich i wszelkimi siłami stara im się pokazać, jak mało jest zainteresowana swoim zajęciem. Po drugie – serwowano tu wyłącznie dziwaczne

wegańskie warzywne papki, prezentujące się tak, jakby ktoś je już wcześniej przeżuł. Podawano je zaś, zgodnie z nazwą tego miejsca, na ogromnych liściach, do wyboru – sałaty rzymskiej, kalafiora albo cykorii. Po trzecie – ceny owych cudów, zwłaszcza w zestawieniu z mikroskopijnymi porcjami, wołały o pomstę do nieba. Pisarka szybko przekalkulowała, że aby się naprawdę najeść, musiałyby tu wydać pół honorarium za ostatnią książkę, i zamówiła tylko jeden z dwóch dostępnych w menu trunków – koktajl z jarmużu, kiwi i jabłka, smakujący jak stara trawa, na którą nasikał koń.

Siedząca jednak przed nią kobieta wydawała się być zachwycona tym miejscem.

– Przychodzę tu codziennie! – entuzjasmowała się Ewelina Szlagowska. – Czasem nawet dwa razy dziennie. Najpierw rano, żeby nabrać energii, potem wieczorem, żeby rozjaśnić umysł po całym dniu.

Miłka kiwnęła głową, myśląc w duchu, że ona też nabrałaby tu energii. Zwłaszcza, żeby jak najszybciej stąd uciec.

– Jaki jest więc pani cel? – zapytała Ewelina, nabierając na plastikową łyżeczkę odrobinę szaroburej papki, zawierającej w sobie otręby, awokado, dziki ryż, jabłko, ciecierzycę oraz seler, i mającej zdaniem jej twórcy „ułatwić osiągnięcie stanu zen”.

– To chyba oczywiste – powiedziała Miłka, patrząc wymownie na swój brzuch. – Chciałabym zrzucić nadwagę.

– To wiem – uśmiechnęła się Ewelina. – Pytam, jaki jest pani prawdziwy cel.

– Nie rozumiem... – zdziwiła się Miłka.

– Zrzucenie wagi to jedynie wstęp do zmian w życiu – wyjaśniła trenerka. – Nie jest więc celem samym w sobie, a jedynie etapem, który powinien nas prowadzić do prawdziwej zmiany. Dlatego pytam panią o taki realny cel.

Miłka poczuła, że nic z tego nie rozumie. Może przed przyjściem na to spotkanie powinna była obejrzeć DVD Ewy Chodakowskiej, które dostała na poprzednią Gwiazdkę od chrześniaka i wykorzystywała dotąd jako podstawkę pod doniczkę z kaktusem?

– A co może być takim celem? – zapytała ostrożnie.

– Wiele rzeczy! Na przykład pozbycie się jakiegoś nałogu, trwała zmiana stylu życia, przemiana duchowa, czasem też... – Ewelina zmrużyła zawadiacko lewe oko – ... znalezienie partnera.

Miłka, która, mimo mocno obfitych kształtów, zawsze działała na facetów jak magnes, a ostatniego narzeczonego sama się pozbyła, zrzucając go ze schodów, kiedy uraczył ją propozycją: „Może zamiast burgera zjedlibyśmy dzisiaj na kolację kielki z rzodkiewki?”, kiwnęła głową, starając przeobrazić się naprędce w nieśmiałą i nieco zażenowaną.

– To mógłby być mój cel, bo mężczyźni faktycznie nie zwracają na mnie

uwagi – przyznała, zastanawiając się, czy można jakoś sztucznie wywołać u siebie rumieniec na twarzy i usiłując usunąć sobie sprzed oczu niedawną scenę, kiedy to o północy dwóch krewkich zalotników, których poznała na Tinderze, pobiło się o nią pod jej domem, powodując uszkodzenie brązowego kontenera z odpadami żywnościowymi, stres grasujących tam zwyczajowo o tej porze kotów oraz pobudkę większości sąsiadów – i chciałabym to zmienić. Ale trochę wstyd to przyznać...

– Jaki wstyd?! – wykrzyknęła Ewelina. – Ale uznajmy to za cel tymczasowy. Kiedy już będzie pani miała idealną figurę, zobaczy pani, że to się zmieni. I mężczyźni już wcale nie będą tacy ważni, tylko pani wewnątrz, rozwój duchowy, samorealizacja. Za chwilę ustalimy, w jakim tempie chce pani gubić kilogramy, a potem pójdziemy do mnie do salonu i rozpiszemy ćwiczenia i dietę. W górę głowa, maleńka, wszystko będzie dobrze!

– Salonu? Słyszałam, że... – Miłka postanowiła zaryzykować – ma pani problem z salonami...

– Owszem – skrzywiła się Ewelina. – Ale to już na szczęście przeszłość. Od wczoraj zmieniła się sytuacja i wreszcie po wielu miesiącach zobaczyłam światło w tunelu. Będzie dobrze!

– Od wczoraj? – Miłka starała się, aby w jej spojrzeniu było jak najwięcej naiwnej niewinności. – To znaczy z powodu śmierci Lilian? Bo słyszałam plotki, że to przez nią miała pani kłopoty...

Ewelina wydała z siebie gniewne sapnięcie.

– Ta prasa! – warknęła ze złością. – Wszystko zawsze wywęszą! Owszem, miałam problemy przez tę małą idiotkę. Akurat mojego „Bicepsika” wybrała sobie na miejsce, żeby skrócić sobie kostkę. I to z całą paradą, w asyście paparazzi.

– A skąd wiedzieli o tym paparazzi? – zdziwiła się Miłka.

– Bo się tam z nimi umówiła! – prychnęła wściekle trenerka. – To była typowa ustawka, tak jak to jej, pozał się Panie, skrócenie sobie kostki. Mój pracownik mówi, że nawet jej nie napuchła. Ale narobiła takiej hysterii, jakby miała otwarte złamanie z przemieszczeniem. Próbowaliśmy to zatuszować, dogadaliśmy się z jej prawnikami i wypłaciliśmy jej potężne odszkodowanie, aby tylko sprawa nie trafiła do sądu, a potem drugie tyle wpakowaliśmy w paparazzich, żeby łaskawie podpisali zobowiązanie, że żadne zdjęcie z tego... wypadku – Ewelina przy tym słowie nakreśliła w powietrzu znak cudzysłowu – nie przedostanie się do mediów. Ale ta szmata i tak wszędzie, gdzie tylko mogła, robiła nam antyreklamę.

– Po co?! – Miłka z emocji popiła trochę koktajlu i przelotnie zastanowiła się, jakim cudem można zrobić coś, co smakuje jak wędzonka krotoszyńska w płynie i czy Tic Tac pozwoli jej się pozbyć posmaku tego cudu z ust.

– Dla mnie też najpierw nie miało to żadnego sensu – odpowiedziała Ewelina – ale kiedy po miesiącu zobaczyłam na mieście billboardy z Lilian

reklamującą nową sieć klubów fitness „Town-Fit”, wszystko stało się jasne.

– Myśli pani, że ona... – zaczęła Miłka.

– Jaka tam ona! – przerwała jej trenerka. – Lilian, owszem, była z piekła rodem, ale przy okazji miała też ptasi mózdzek. Wszystko za nią planował jej menadżer. Słodki Kubulek. Cholerny Puchatek, który zawsze wie, gdzie w spiżarni leży miodek. To on wszystko zaplanował, a Lilian co najwyżej powiedziała mu, że chce się na mnie zemścić...

– Za co?

– Zanim stała się gwiazdą, aplikowała do „Bicepsika” – westchnęła Ewelina. – Chciała zostać instruktorką, ale jej nie przyjąłem. Była za młoda, nie miała kwalifikacji. Kiedy dostała odmowę, przyszła do mnie do biura i zrobiła awanturę. Powiedziała, że kiedyś tego pożałuję, że nigdy mi tego nie daruje i że się zemści. Jak widać, słowa dotrzymała. Ale nie mówmy już o niej. Nie warto. Poza tym i tak już nie żyje. Byłam przy tym...

– Ja też! – wyrwało się Miłce, zanim uświadomiła sobie, że akurat w tym momencie warto było zachować milczenie. Upewniło ją w tym jedno spojrzenie na twarz Eweliny, zastygłą w trudnym do opisanego grymasie zaskoczenia, a nawet lekkiego strachu, połączonego z gniewem. Trenerka potrzebowała chwili, aby odzyskać kontrolę nad swoją mimiką.

– Tak mi się właśnie przez cały czas wydawało, że skądś panią kojarzę – powiedziała. – Była pani wczoraj z nami na piętrze, prawda? Razem z inną pisarką, tak?

– Tak, z Różą Krull...

– Ona pisze kryminały? – upewniła się Ewelina. – Musiała być chyba zachwycona tym, co się wczoraj wydarzyło...

Miłka pomyślała, że jej rozmówczyni, mimo pozorów normalności, musi mieć nie po kolei w głowie. Jak można być zachwyconą morderstwem? Acz z drugiej strony, pamiętała, że gdy kiedyś dostała jakiejś dziwacznej wysypki na ramionach, jej pani dermatolog ucieszyła się tak, jakby był to dar z niebios. Powiedziała, że czegoś takiego jeszcze w życiu nie widziała, po czym z radością godną Marie Curie-Skłodowskiej w czasie odkrywania radu i polonu nazwała jej krosty „zachwycająco oryginalnymi” i uwieczniła je swoją komórką. Może więc faktycznie po osobach, które na co dzień zajmują się zawodowo jakimiś okropieństwami, można się spodziewać zachwyty nad związanymi z nimi rzeczami, nawet jeśli innym ludziom wydają się one obrzydliwe..?

– Myślę, że przede wszystkim byliśmy zszokowane – powiedziała ostrożnie. – Tak jak wszyscy...

– Dobrze, że od razu wiadomo było, kto zabił Lilian – westchnęła Ewelina. – Choć w sumie poczułam się tym zaskoczona. Gdyby nie fakt, że to oczywiste, obstawiałabym raczej, że wykończył ją jej menadżer.

– A jaki miałby powód?

– Nie tak dawno Lilian podziękowała mu za współpracę – wyjaśniła Ewelina. – Ponoć ktoś jej doniósł, że Kubulek za jej plecami robi wiele szemranych interesów i że używa do nich jej forsy. Lilian zatrudniła prawników i księgowych, którzy odkryli to i owo. Podobno odcięła go od kasy w chwili, kiedy była mu ona najbardziej potrzebna, i zaczął mu się palić grunt pod nogami. Ale wiem to wszystko tylko z plotek, więc nie ręcę, ile w tym prawdy.

– A... – zaczęła Miłka, ale trenerka klasnęła w dłonie i poderwała się z miejsca.

– Widzę, że skończyła pani koktajl i możemy iść do klubu – powiedziała energicznie. – Szybciotko, szybciotko... Wzięła pani dres, tak jak prosiłam? Od razu pokażę pani parę podstawowych ćwiczeń. Niektóre z nich to moje autorskie pomysły, które już niebawem zamierzam pokazać światu na Youtubie i wydać w formie książki. Zrobi pani kilka ćwiczeń, które roboczko nazwałam „ciach, ciach”, potem „wpuść, wypuść”, a na koniec serię „magicznych uniesień” i od razu poczuje się inną osobą. No już, lecimy, lecimy!

Trzy kwadranse później Miłka wolnym krokiem i ze zboląłą miną wyszła z „Bicepsika”, bynajmniej nie wyglądając na osobę, która właśnie przeżyła „magicznie uniesienia”. Ledwo żywa, miała wrażenie, że właśnie cudem uciekła ze średniowiecznych tortur, gdzieś tak w połowie między łamaniem kołem a torturami na łożu Madejowym. To, co w tym momencie myślała o Róży i jej śledztwie, nie nadawało się do powtórzenia w żadnym, nawet najmniej kulturalnym towarzystwie. Czując, że drżą jej ręce i boli ją wszystko, łącznie ze śledzioną, dwunastnicą i woreczkiem żółciowym, choć nawet nie do końca wie, gdzie ów ostatni się znajduje, wyjęła komórkę i wybrała numer do swojej przyjaciółki.

– Po pierwsze, za to, co dziś przeżyłam, wiesz mi kilka solidnych obiadów – powiedziała ze złością. – I to bynajmniej nie w restauracji, ale u siebie w domu. I oczekuję, że pani Cecylia wzniesie się na wyżyny swojego kulinarnego talentu. Kto wie, czy nie zażądam, żeby dołączył do niej Pepe i oboje mi coś ugotowali. Pularde albo ośmiornicę, zobaczę, na co będę miała ochotę. A po drugie, musimy się zobaczyć jak najszybciej, bo mam dla ciebie kilka ważnych informacji.

– Jak każesz! – Róża sprawiała wrażenie mniej przestraszonej, a bardziej rozbawionej. – Ja też się dowiedziałam kilku ciekawostek. Teraz idę jeszcze na dwa spotkania. Najpierw z Danutą Stec i Barbarą Jarosławską, potem z menadżerem Lilian. Ale po dwudziestej będę już wolna. To co? Narada wojenna u mnie? Tak po dwudziestej pierwszej?

– Zgoda. Tylko niech pani Cecylia coś nam przygotuje... A, i Róża, jak będziesz rozmawiać z tą całą Barbarą, spróbuj ją delikatnie wybadać, dlaczego koniecznie uparła się przyjść na ten bal, skoro miała tego dnia gorączkę i źle się czuła. Dowiedziałam się o tym w czasie ćwiczeń. I nie złap od niej niczego. A jak

się spotkasz z menadżerem, miej się na baczności.

– Dlaczego?!

– Bo to podobno szemrany typ. I jeśli faktycznie masz rację i Mario jest niewinny, to zdaje się, że właśnie on miał najwięcej powodów, aby usunąć Lilian z tego padołu. Uważaj więc, żeby nie wzbudzić w nim żadnych podejrzeń. W końcu już dwa razy ostatnio cudem uniknęłaś śmierci. Proszę, nie sprawdzaj, czy i w tej dziedzinie działa hasło „do trzech razy sztuka”!

ROZDZIAŁ VIII

CIEŃ

Cecylia Jodełka pożegnała się ze znajomymi z kółka różańcowego, a sama zatrzymała się jeszcze na chwilę przed kościołem w oczekiwaniu na wielebnego, który obiecał jej przynieść ze swojego pokoju nową, niewydaną jeszcze książkę siostry Petroneli. Starsza pani przez chwilę zastanowiła się, jakim sposobem ją zdobył, skoro w księgarniach miała się pojawić dopiero po Nowym Roku, ale szybko doszła do wniosku, że widocznie księża dostają takie lektury przed premierą, tak jak Róża ze swojego wydawnictwa kryminały innych autorów. Następnie wróciła myślami do dzisiejszych modlitw. Ich intencje wydawały jej się dość niezrozumiałe. O ile jeszcze do modlitwy o nawrócenie grzeszników, choć jej zdaniem była to czysta strata czasu, już się przyzwyczaiła, bo stanowiła ona żelazny punkt cotygodniowych spotkań, o tyle odmawianie „zdrowaśki” w intencji wyplenienia przez ministra środowiska kornika z Puszczy Białowieskiej wydało jej się mocno dziwaczne. Modlenie się o jakieś robactwo, dobre sobie! Za starego proboszcza takie rzeczy byłyby niemożliwe, ale ten nowy jest... Jak to go określiła

jej przyjaciółka, Hala?... Aaaa, progresywny. Dziwna ta jego progresywność, skoro tydzień wcześniej modlili się w intencji zwalczania e-papierosa. Czy można sobie wyobrazić większą niedorzeczność?! Ludzie palili, palą i palić będą, i jakoś nigdy nie było to specjalnym przewinieniem wobec Najwyższego. Poprzedni proboszcz kocił jak elektrociepłownia na Siekierkach i się z tym nawet nie krył, o świętym papieżu Janie XXIII już nawet nie wspominając, więc nie może to być nic prowadzącego do piekła. Poza tym, jak już ma się palić, to chyba lepiej e-papierosa, który z tego, co przeczytała kiedyś, był mniej szkodliwy dla zdrowia. Skaranie z tym nowym proboszczem! Z drugiej jednak strony był taki uprzejmy, teraz obiecał jej tę książkę, a wczoraj po kółku dyskusyjnym wręczył taki ładny przedmiot. Cecylia sięgnęła do kieszeni i wyjęła podarek od księdza, aby jeszcze raz mu się przyjrzeć. Był niecodzienny i pewnie bardzo cenny. Nagle poczuła wyrzuty sumienia. Może nie powinna była mówić, że należał do niej? Choć z drugiej strony... Przecież, jak ktoś zacznie go szukać, to się przyzna, odda i powie, że się pomyliła. Nagły podmuch jesiennego, mocnego wiatru wyrwał jej przedmiot z ręki i miotnął nim kilka metrów dalej na jeden ze schodków, prowadzących do kościoła. Starsza pani szybko podbiegła do tego miejsca, aby odzyskać zgubę. Pochyliła się i w chwili, kiedy już prawie dotykała podarunku, zobaczyła, jak na oświetlonych od góry schodkach kościoła z wolna pojawia się cień. Podniosła głowę. Przed nią, kilka schodków wyżej stała kobieta, ubrana w czarny, długi płaszcz z ogromnym, wykończonym futrem kapturem, spod którego widać było jedynie kontur jej twarzy. Stała pod światło, które tworzyło wokół niej jasną aurę i nadawało wygląd ducha. Cecylia, mimo że nie wierzyła za bardzo w zjawy, poczuła, jak po plecach przechodzi jej dreszcz. Przez chwilę obie zamarły w bezruchu. Kobieta poruszyła się pierwsza. Powoli zeszła ze schodów. Mijając Cecylię, naciągnęła mocniej kaptur na twarz, a kiedy już znalazła się prawie przy samej bramie, przez którą wychodziło się z terenu kościoła na ulicę, odwróciła się na dłuższą chwilę. Starsza pani, która zdążyła podnieść prezent i schować go do kieszeni, poczuła na sobie świdrujący wzrok nieznanym. Mogła to sobie oczywiście tylko wmawiać, tym niemniej była pewna, że z jakiejś przyczyny kobieta patrzy na nią i stara się ją zapamiętać.

– Przepraszam, że tyle to trwało! – głos, który rozległ się za Cecylią, sprawił, że mało co nie dostała ataku serca. Wzdrygnęła się i odwróciła, aby ujrzeć przed sobą wesołe oblicze młodego księdza. – Oto i najnowsze dzieło naszej Magdy Gessler w sutannie!

W wyciągniętej dłoni trzymał książkę kulinarną siostry Petroneli. Cecylia wzięła ją i udając, że od razu przegląda, dyskretnie rzuciła okiem w stronę bramy. Nikogo tam już jednak nie było. Starsza pani, o dziwo, nie poczuła się tym uspokojona.

– Czy wielebny mógłby... – zaczęła, nie za bardzo wiedząc, jak ma

wypowiedzieć swoją prośbę. Jak wytłumaczyć temu młodemu człowiekowi, że przestraszyła się nie wiadomo kogo i czego, a teraz chciałaby zostać odprowadzona do domu, bo boi się iść sama ciemnymi uliczkami niezbyt dobrze oświetlonego śródmieścia? Na szczęście w tym samym momencie jej komórka rozbłysnęła i popłynęły z niej dźwięki „Dla Elizy” Ludwiga van Beethovena, oznaczające, że dzwoni Róża. Chwilę potem Cecylia wiedziała, że nie musi już o nic prosić księdza, bo agentka jej pracodawczyni za kilka minut zabierze ją spod kościoła. Starsza pani z entuzjazmem przyjęła też propozycję przygotowania kolacji na trzy osoby i obojętnie potraktowała zapewnienie pisarki, że w zamian ta „dorzuci jej parę złotych” do pensji. W tym momencie Cecylia chętna była gotować nawet dla oddziału muzułmańskiego wojska i to za darmo. Dziesięć minut później szczęśliwa wsiadła do samochodu i z wysiłkiem pohamowała się, żeby nie wyściskać Betty, co dla tej ostatniej byłoby o tyle zaskakujące, że tego dnia już się widziały. Starsza pani byłaby o wiele mniej zadowolona, gdyby wiedziała, że kobieta, która napędziła jej takiego strachu, stoi kilkadziesiąt metrów dalej, ukryta za potężnym, starym drzewem i uważnie wszystko obserwuje. A już na pewno nie spodobałoby jej się to, że wyciąga notes i zapisuje w nim cztery litery i trzy cyfry, składające się na numer rejestracyjny samochodu Betty.

ROZDZIAŁ IX

GDYBY NIE TEN DZIWNY CHŁOPIEC...

Kilka godzin wcześniej Róża siedziała w garderobie Teatru Patriotycznego, usiłując zwalczyć w sobie przekonanie, że dwie znajdujące się tu poza nią kobiety odgrywają przed nią jakąś dziwną scenę, której w dodatku – oceniając po tym, jak mało są przekonujące – nie zdążyły jeszcze nawet przeciwżyć.

– To było straszne! Straszne! – Danuta Stec złapała się za serce z dramatyczną miną, którą pisarka widziała już u niej w ekranizacji swojej powieści, w scenie, gdy bohaterka dowiaduje się, że jej ukochany jest poszukiwanym przez policję mafiozem i ma żonę. – Myślałam, że zemdleję!

– Nigdy nie przeżyłam czegoś takiego! – wtórowała jej Barbara Jarosławska z wyrazem twarzy, który jak nic musiała podpatrzeć u Meryl Streep w „Wyborze Zofii”. – Z trudem pohamowałam się, żeby z nerwów nie zwymiotować!

Róża ostatkiem sił pohamowała swoją mimikę, czując, że jej usta mimowolnie układają się w ironiczny uśmiezek. Doskonale pamiętała, że gdy tylko na miejscu zbrodni pojawili się fotoreporterzy, którzy – mając świadomość,

że jak tylko przyjedzie policja, to ich przegoni – zaczęli błyskawicznie robić zdjęcia, młodsza z jej rozmówczyń była zajęta głównie poprawieniem swojego uczesania i garderoby, i jakoś nie wyglądała wtedy na specjalnie przejętą morderstwem.

– Ja też to bardzo przeżyłam – zapewniła je solennie, mając nadzieję, że dzięki czteroletnim doświadczeniom w licealnym kółku teatralnym, wypada nie mniej przekonująco. – W dodatku ofiarą była taka młoda, niewinna dziewczyna. Właściwie jeszcze dziecko!

Aktorki wymieniły się niepewnymi spojrzeciami.

– Taka znowu niewinna to ona nie była... – mruknęła Barbara, podchodząc do wieszaka z ubraniami i zdejmując z niego jeden z niebieskich pokrowców.

– Basiu! – jęknęła Danuta, patrząc na swoją koleżankę z wyraźnym wyrzutem. – Przecież ona nie żyje!

– No i co z tego? – Barbara wzruszyła ramionami. – Jakoś to „de mortuis nihil nisi bene” nigdy mnie nie przekonywało. Złośliwa sucz z niej była i tyle!

– Naprawdę?! – Róża szybko zdecydowała się wcielić w graną niegdyś w przedstawieniu licealnym postać równie słodziutkiej, co naiwniutkiej przyjaciółki Ani z Zielonego Wzgórza, Diany, i w związku z tym zrobiła duże oczy i usta w dzióbek. – Aż nie mogę uwierzyć. Przecież taka była z niej wrażliwa istotka!

„Istotka?”, pomyślała w duchu z niesmakiem, „Muszę przestać czytać romanse, bo najwyraźniej ich lektura rzuca mi się już na umysł”.

– Wrażliwa?! – Barbara parsknęła śmiechem. – Niech pani to powie narzeczonej jej gitarzysty. Lilian najpierw całymi tygodniami go nachalnie podrywała, a kiedy już zaciągnęła do łóżka, to nagrała przy okazji z tego film i jej wysłała.

– Serio?! – Tym razem Róża nie musiała udawać zaskoczenia.

– Serio, serio... – Barbara rozpięła suwak pokrowca i wyciągnęła białą sukienkę upstrzoną jakimiś dziwnymi piórami. – Oczywiście, całość była tak pięknie zamontowana, żeby nie wyglądała na porno i nawet gdyby narzeczonej wpadło do głowy w akcie zemsty gdzieś to opublikować, to zawsze można byłoby wytłumaczyć, że to zdjęcia próbne do teledysku czy coś w tym stylu. Tym bardziej że teledyski Lilian to z reguły takie porno dla grzecznych dziewczynek. Ale co było na tym filmie widać, to było. Przyznam, że zdziwiłam się wczoraj, kiedy zobaczyłam ich oboje na tym balu. To znaczy gitarzystę i narzeczoną. Ja na jej miejscu po czymś takim kopnęłabym go tak, żeby się nie zatrzymał nawet w okolicach księżyca. Ale widać, ona ma większą tolerancję. Choć, gdyby sytuacja nie była oczywista i gdyby nie ten dziwny chłopiec, który ewidentnie zadźgał Lilian, to właśnie ją typowałabym na podejrzaną numer jeden... Danusiu, czy ta szmata z pierzem oznacza, że dzisiaj znowu mam grać Laurę?

– Yhm – potwierdziła Danuta, zmywając sobie makijaż wacikiem nasączonym płynem micelarnym. – Ciesz się! Na mnie kolejny raz wypadła Oluchna i kostium, którego nigdy nikt nie uprał – widząc zdumione spojrzenie Róży, szybko wyjaśniła: – Ministerstwo dało nam specjalną dotację na spektakl przedstawiający historię polskich sielanek. Gramy „Żeńców”, „Laurę i Filona” i kilkanaście innych. Tak w ramach krzewienia ducha patriotyzmu wśród dzieci i młodzieży, bo głównie przychodzą na to wycieczki szkolne. Też w ramach dotacji. Wykorzystujemy do tego kostiumy ze starych spektakli, popożyczane to tu, to tam. Oszczędności, wszędzie oszczędności! W moim podobno występował ktoś u Wajdy w „Weselu” w 1963 roku. I od tego czasu prawdopodobnie ten strój nie spotkał się nigdy z proszkiem do prania. Jak na pierwszej próbie kostiumowej, na którą zaproszono dziennikarzy, zaczęłam zgodnie ze scenopisem tańczyć z przytupem, to z sukni wyleciała cała chmura kurzu. Potem jeden nie lubiący mnie krytyk napisał, że jestem tak stara, że już nawet pierdzę kurzem.

– A ja mam uczulenie na pierze – westchnęła Barbara. – I w połowie arii Laury zaczynam kichać. W dodatku Filona gra Michał Rożnowski. On ma fioła na punkcie swojego ciała. Zawsze znajdzie jakiś powód, żeby zdjąć albo przynajmniej rozpiąć koszulę. To chyba pierwszy Filon-ekshibicjonista w historii teatru. Ale licealistki są zachwycone. Oczywiście te, które wcześniej nie zasną albo w czasie przedstawienia są w stanie oderwać się choć na chwilę od swojego smartfona.

Róża nie za bardzo wiedziała, jak ma to skomentować.

– Ale wczoraj mówiła pani – powiedziała, zwracając się do Danuty i próbując wrócić do tematu interesującego ją bardziej niż problemy z inscenizacjami sielanek – że dla pani Lilian była bardzo uprzejma.

– Owszem – potwierdziła Danuta. – Wzruszyła mnie opowieścią o tym, jak godzinami siedziała z mamą w szpitalu onkologicznym i czytała jej po cichu książki, bo mama miała zbyt słaby wzrok. I że najpierw ludzie, którzy też tam byli, protestowali przeciw temu, a po kilku wizytach sami ją prosili, żeby czytała nieco głośniej, to i oni posłuchają.

– Naprawdę uwierzyłaś w ten idiotyzm?! – prychnęła Barbara, z niechęcią otrzepując pierzastą sukienkę. – Każdy, kto kiedykolwiek był w szpitalu, powie ci, że ten cudowny obrazek niebiańskiej dziewczynki, rozpraszającej swoim anielskim głosikiem nudę chorych, to bzdet.

– Bzdet, nie bzdet – Danuta wzruszyła ramionami – ale mnie wzruszył. I nawet, jeśli nie jest prawdą, to kiedy Lilian opowiadała o mamie, wierzyłam, że mówi szczerze. Tym bardziej że jej mama już nie żyje.

– A jaki prezent pani od niej dostała? – zapytała Róża. – Coś pani o tym wspomniała. O ile oczywiście mogę zapytać...

Na twarzy Danuty odmalowała się wyraźna konsternacja.

– To bardzo osobisty podarunek – odpowiedziała po chwili. Wcześniej, co

Róża zdołała wyłapać, wymieniła się błyskawicznym spojrzeniem z Barbarą. – Wolałabym o nim nie mówić...

– Oczywiście, nie chciałam być wścibska – wycofała się pisarka. – A propos tego, o czym paniom wcześniej mówiłam...

Krull, która umówiła się z aktorkami pod pretekstem przygotowań do napisania sztuki kryminalnej specjalnie z myślą o nich, szybko uwinęła się ze swoimi łgarstwami, tym bardziej że coraz mniej czasu dzieliło ją od ostatniego już tego dnia spotkania, tym razem z menadżerem Lilian. Po piętnastu minutach opuściła garderobę, przekonana o tym, że właśnie streściła najgłupszą i najmniej prawdopodobną historię kryminalną, jaką kiedykolwiek udało jej się wymyślić. Była już na schodach, kiedy zorientowała się, że udało jej się zapomnieć o zabraniu szalika. Wróciła i podchodziła już prawie do drzwi, kiedy usłyszała słowa:

– Właściwie czemu jej o tym nie powiedziałaś?

Róża postanowiła posłuchać swojej intuicji, która z miejsca nakazała jej stanąć w bezruchu i podsłuchać ciąg dalszy konwersacji.

– Bo to jednak podejrzane – ten głos należał do Danuty. – Nie chcę żadnych kłopotów.

– Ale przecież to nie ten sam sztylet! – te słowa wypowiedziała Barbara. – Twój leży w domu!

– Więc tym bardziej nie ma nic wspólnego z morderstwem. Poza tym ta cała Krull nie wzbudza zaufania. Moim zdaniem ona tu przyszła węszyć. Słyszałam, że to nie pierwszy raz, kiedy zajmuje się takimi sprawami. Pewnie współpracuje z policją.

– Rozumiem, że policji też o nim nie powiedziałaś?

– Oczywiście, że nie! Jeszcze by mi go zabrali! To pamiątka, w dodatku ładna rzecz...

– Nie mam do ciebie siły!

– Jasne. Przyganiał kocioł garnkowi.

– Co masz na myśli?!

– W swojej opowieści o nieboraczkę gitarzyście też zataiłaś to i owo...

– Niby co?!

– Że zanim poznał swoją obecną dziewczynę, a potem Lilian, chodził z tobą?

– Skąd to wiesz?!

– Nieważne. Poza tym wiem jeszcze jedno...

– Tak?

– Że dwa dni przed balem znów się z nim spotkałaś i...

Gdzieś za plecami Róży ktoś trzasnął drzwiami. Spłoszona pisarka czym prędzej czmychnęła z powrotem na schody. Chciała poczekać na dogodny moment i wrócić pod garderobę, ale rosnący hałas na korytarzu sprawił, że pożegnała się z tym planem. Tym bardziej że miała coraz mniej czasu na spotkanie

z menadżerem. Machnąwszy ręką na szalik, Krull zbiegła po schodach. Po pięciu minutach siedziała w taksówce, a po kolejnych dwudziestu przed człowiekiem, który znał Lilian lepiej niż ktokolwiek inny z obecnych wczoraj na balu...

ROZDZIAŁ X

STRACH

Marcin Mojek wszedł do swojej zimnej jak kostnica i ciemnej jak jaskinia garderoby. Ze złością rzucił gitarę na kanapę. Ta cholerna solówka nijak nie chciała zabrzmieć na próbie tak, jak powinna! Marcie na pewno będzie to wisiało, bo skupiona była głównie na sobie, a dokładniej na tym, żeby dobrze wypaść na zdjęciach i filmach kręconych przez fanów za pomocą komórek, bo innych sprzętów nie pozwalała wносить na swoje koncerty. Ciekawe, czemu jej tak zależy na wizerunku, skoro potem i tak nie było widać, jak wygląda. Te wszystkie amatorskie nagrania prezentowały się w Internecie dokładnie tak samo – rozmazana postać na scenie, która równie dobrze mogłaby być tak Beyoncé, jak i Marylą Rodowicz, a do tego dźwięk, jakby stado drwali wycinało drzewa za pomocą pił elektrycznych. Gdy ktoś przypadkiem nagrał coś w lepszej jakości, natychmiast prawnik Raj wysyłał do niego pismo, strasząc karami piekielnymi i natychmiastowym rozstrzelaniem, jeśli plik nie zostanie w te pędy zdjęty z sieci. Ech, co się z tą Martą porobiło... Kiedyś przychodziła na próby jako pierwsza,

dbała o każdy szczegół, potrafiła wychwycić każdą fuszerkę czy źle zagraną nutę, a teraz zamiast artyzmu wystarcza jej make-up. Zaś dobrą muzykę zastąpiła drogim kostiumem. „Nikt już teraz nie idzie na koncert, żeby coś przeżyć. Ludzie przychodzą, żeby się dobrze bawić i zobaczyć, czy ta stara Raj się jeszcze trzyma”, wykrzyczała mu kiedyś w trakcie awantury. To wtedy zdecydował się, że nie chce grać już tylko z nią i następnego dnia napisał do Lilian, bo jeden z kumpli powiedział mu, że szuka muzyków do zespołu, który ma jej towarzyszyć w trasie. I że znakomicie płaci. Wahał się, bo wydawała mu się plastikową, głupiutką lalą, ale poszedł na przesłuchanie i przeżył miłe zaskoczenie. Może i Lilian robiła z siebie na siłę seksbombę, może i zachowywała się czasem jak blachara, ale jak się przekonał, miała idealny słuch i czuła muzykę. Kiedy powiedział, że chętnie przearanżowałby kilka jej tanecznych kawałków bardziej na rockowo, była wniebowzięta i poprosiła, żeby od razu spróbował coś zagrać. Chwilę posłuchała, a potem zaczęła przy akompaniamencie jego gitary śpiewać. I to jak! Dali takiego czadu, że na koniec wszyscy obecni na sali zgotowali im owację na stojąco. To było coś! Gdyby tylko tak szybko nie zaczęła dawać mu do zrozumienia, że chciałaby mieć z nim porozumienie nie tylko muzyczne, byłoby całkiem miło. Ale nie... Musiała mu się władować do łóżka i skomplikować i tak już mocno pokręcone życie osobiste. Jakby jednej wariatki było mało...

Marcin usiadł na kanapie, obok gitary i przysunął bliżej siebie, stojący przedtem na środku pokoju mały elektryczny grzejnik. To skandal, że z reguły te wszystkie miejsca, w których odbywają się koncerty, są tak marnie ogrzewane. O, proszę, ma skostniałe palce. Nic dziwnego, że nie umie nimi wydusić z gitary tyle, ile by chciał. I przydałby się jakiś mocniejszy trunek, gdy tymczasem organizatorzy zapewniają tylko wodę mineralną, która w dodatku ma sporą szansę za chwilę zamienić się w lód. Szlag by to...

– Nie wróciłeś wczoraj do domu...

Cichy głos, dobiegający z najciemniejszego kąta garderoby, sprawił, że przez chwilę zatrzymało mu się serce. Na szczęście w ułamku sekundy uświadomił sobie, do kogo należy.

– Zwariowałaś? – rzucił z irytacją. – Czemu się kryjesz po kątach?

– Odpowiedz, gdzie wczoraj byłeś. – Karolina Durczak wyłoniła się z ciemności, wpatrując się w niego tak, jakby chciała go zahipnotyzować. – Wyszedełłeś z komisariatu jako jeden z pierwszych...

– Byłem w szoku, chodziłem długo po mieście, potem wpadłem na jednego do Pianki.

– I nie poszedłeś do... niej? – Karolina cedziła słowa powoli i bez mała szeptem.

– Do kogo? – zdziwił się Marcin.

– Nie kłam! – tym razem Karolina powiedziała to już głośno, aby za chwilę

znów zniżyć ton. – Widziałam, jak przez cały wieczór na nią ukradkiem zerkasz...

– Na Lilian? – Marcin poczuł się skołowany – Przecież ona nie żyje? Jak mogłem potem gdzieś z nią być?!

– Nie udawaj idioty. Sam wiesz, na kogo!

– No, właśnie nie wiem...

– Doprawdy? – Na twarzy Karoliny pojawił się złośliwy uśmiech. – Tak, jak nie wiedziałeś, w jaki sposób znalazłeś się w łóżku Lilian? Masz chyba spore problemy z poczytalnością, skoro nie wiesz, co robisz...

– Przerabialiśmy Lilian już tysiąc razy! – jęknął Marcin. – Byłem nadropsowany, nie wiedziałem, co się dzieje. Było, minęło. Myślałem, że mamy to za sobą i możemy układać wszystko do nowa.

– Moglibyśmy... – Karolina zbliżyła się do niego, ukucnęła i położyła dłonie na jego kolanach. – Tyle że aby tak się stało, musiałabym ci ufać. Tymczasem robisz wszystko, by mi to utrudnić. Najpierw w tajemnicy spotykasz się z jedną, potem na moich oczach dajesz się innej zachowywać tak, jakbyś był jej własnością. Z wolna tracę do ciebie cierpliwość.

Marcin w tym momencie czuł dokładnie to samo. Cholera by wzięła wszystkie te baby.

– W takim razie znajdź sobie lepszego – powiedział ze złością – skoro masz ze mną same problemy.

Na twarzy Karoliny znów pojawił się wieloznaczny uśmieszek.

– Chciałbyś tego, prawda? – Znów wróciła do szeptu. – Problem w tym, że wcale nie zamierzam cię nigdzie puścić. I wiem, że sam też nie odjedziesz...

– Zamierzasz mnie trzymać przy sobie przemocą? – roześmiał się Marcin. – Przykujesz mnie łańcuchem do kaloryfera czy zamkniesz w piwnicy? Jeśli to ostatnie, to proszę tylko, żeby to była ta w twoim bloku, bo w mojej grasują szczury.

– Nie muszę cię nigdzie zamykać. – Karolina zmrużyła oczy. – Zostaniesz przy mnie tak długo, aż zrozumiesz, że jesteśmy razem perfekcyjną parą.

– A co mnie niby przy tobie zatrzyma? – spytał kpiąco Marcin.

– Moja wiedza – szepnęła Karolina – którą bardzo chętnie podzielę się w razie czego z policją.

– Wiedza? – powtórzył Marcin z zaskoczeniem.

– Na przykład o tym, do kogo należał sztylet, którym zabito Lilian. – Karolina powiedziała to spokojnie i bez żadnych emocji. – A przy okazji napomknę o tym, że miałeś przynajmniej dwa znakomite powody, aby wyprawić ją na tamten świat.

Marcin milczał, próbując zebrać myśli. Nijak mu się to nie udawało.

– Naprawdę wydałabyś mnie policji? – spytał, choć wzrok jego narzeczonej sam w sobie był już odpowiedzią.

– Porzucone kobiety wpadają w desperację. Dobrze wiesz, do czego może ona doprowadzić. Sam udowodniłeś to wczoraj wieczorem...

Marcin poczuł nagły niepokój.

– Przecież wiesz, że mój sztylet leży na swoim miejscu – powiedział niepewnie, na wszelki wypadek pojednawczym tonem. – Więc po co ta cała gadka?

– Jesteś tego pewny?

Gitarzysta popatrzył na nią z zaskoczeniem, a potem z narastającym gniewem.

– Ty... – zaczął, ale Karolina położyła mu palec na ustach.

– Nie chcesz powiedzieć czegoś, czego potem byś żałował – rzekła, patrząc mu prosto w oczy. – Prawda, kochanie?

ROZDZIAŁ XI

I PO CO TE PYTANIA?

Siedzący przed Różą Jakub Kwieciński miał rozbiegane oczy, lekko drżące dłonie, kropelki potu na czole i sprawiał wrażenie mocno zdenerwowanego. Jeśli do tej pory pisarka miała wątpliwości co do zasłyszanej o nim opinii, to teraz powoli upewniała się, że nie była ona bezpodstawna. Menadżer Lilian kojarzył się Krull z pierwszym wydawcą jej książek, który też w czasie ich rozmów miał podobne symptomy, nigdy nie potrafił zapamiętać jej imienia i nazwiska, pytał za każdym razem, czy Róża pisze romanse, wybuchał śmiechem w najmniej ku temu stosownych momentach („A więc miała pani wypadek, hahahaha, bardzo pani współczuję”), a potem okazało się, że za pieniądze, które powinien wypłacić swoim autorom, utrzymywał połowę stołecznych dilerów narkotyków.

– Gdy pani do mnie zadzwoniła, to się, kurna, trochę zdziwiłem – mówił do Róży, nerwowo bawiąc się łyżeczką, którą poprzednio wymieszał swoją kawę, przy okazji część z niej wychlapując na spodek i stolik. – Nie wiedziałem, kurna, że pisarze mają menadżerów...

– Jak wszyscy artyści – wyjaśniła Krull. – Tylko że w naszym fachu częściej używa się słowa agent.

– No tak, kurna, agent literacki, słyszałem taką nazwę, słyszałem – zgodził się Jakub. – To co taki, kurna, gościu robi?

„Wszystko, do czego ty kompletnie się nie nadajesz”, pomyślała Róża, wyobrażając sobie, jak Kwieciński jedzie załatwiać jej spotkanie autorskie i na dzień dobry mówi do jakiejś nobliwej pani dyrektor biblioteki: „No, siema lala, to ile, kurna, zapłacicie za taką imprezę?”. Choć może, gdyby rozpuścić plotkę, że za Różą stoi teraz mafia, na dłuższą metę przyniosłoby to nawet jakieś wymierne korzyści?

– Negocjuje kontrakty z wydawcami – wyjaśniła, próbując wyrzucić sobie z głowy obraz, jak podjeżdża czarną opancerzoną limuzyną pod bibliotekę w Kamieniu Krajeńskim, eskortowana przez dwóch kwadratowych osiłków o ksywkach „Drwal” i „Topór”, prezentując się przy tym wypisz-wymaluj jak Katarzyna Warnke w „Kobietach mafii” – kontaktuje się z organizatorami festiwalu literackich, bibliotekami, domami kultury...

– Mógłbym to, kurna, robić, jasne – zapalił się Jakub. – A ile się bierze za takie spotkanie? Czterdzieści patoli? Pięćdziesiąt?

„Za pięćdziesiąt to mógłbyś, skarbie, kupić cały dom kultury, łącznie z meblami”, pomyślała Róża.

– No, tak mniej więcej – potwierdziła skrzętnie, pomna, że jej ostatnia rekordowa stawka za wizytę w domu kultury wynosiła osiemset złotych plus zwrot kosztów za dojazd do Radomia jakimś rozpadającym się pociągiem, za podróż którym PKP powinno od razu przy zakupie biletów wypłacać pasażerom odszkodowania i skierowania na rehabilitację. – I przepraszam, że nalegałam na spotkanie tak szybko po tym, co się stało...

– Nie ma, kurna, żadnego problemu. – Jakub odłożył łyżeczkę i zaczął z kolei bawić się w nastawianie sobie stawów w palcach. – I tak od jakiegoś czasu szukałem pracy, bo poprzednia robota mi się skończyła.

– No, właśnie... – Róża postanowiła zaryzykować. – Bardzo się zdziwiłam na wieść, że rozstajecie się z Lilian. Wydawało mi się, że raczej powinna być z pana zadowolona. W końcu, aby w tych czasach zostać gwiazdą, potrzeba nie tylko talentu, ale i obrotnego menadżera.

– Zawsze jej to, kurna, powtarzałem! – bez mała krzyknął Kwieciński. – Ale ona była głupia. Jak już doszła na szczyt, to uważała, że wszystko da radę zrobić sama. A jak mówią, zdobyć popularność jest łatwiej niż ją potem utrzymać.

– Młode osoby tego nie rozumieją – stwierdziła Róża, pamiętając błędy, jakie sama popełniała na początku swojej literackiej kariery. – Uważają, że jak już są sławne, to będzie to trwało przez całe życie. A potem przychodzi rozczarowanie.

– Lilian była uzależniona od popularności – westchnął Kwieciński. –

Potrafiła dla niej poświęcić i zaryzykować właściwie wszystko. Czy uwierzyłaby pani, że w dniu pogrzebu swojej mamy miała wieczorem casting do jakiegoś telewizyjnego talent-show? To było wtedy, zanim jeszcze stała się znana. Wszyscy mówili jej, żeby dała sobie spokój, że to nawet nie wypada, a poza tym, że nie da rady. A ona poszła i zaśpiewała tak, że ją przyjęli. Jurorzy bili jej brawo na stojąco, a potem wyściskali. Ostatecznie nie wzięła w tym programie udziału, bo prawie od razu pojawiła się propozycja z firmy płytowej i skupiliśmy się na nagraniu albumu. Ale udowodniła wtedy i sobie, i wszystkim dokoła, że da radę. Z kolei parę miesięcy temu, pod koniec tournée, Lilian zachorowała na ospę wietrzną. Krosty zaczęły jej wyskakiwać w przededniu ostatniego koncertu, po którym mieliśmy jechać na galę wręczenia nagród TelePolu. Lekarze powiedzieli, że musi to odwołać, ale Lilian stwierdziła, że nie ma mowy. Ile myśmy się wtedy nakombinowali, jak to wszystko ukryć! Na szczęście początkowo na twarzy miała ich najmniej. Nasza makijażystka wymyśliła jakiś mocny make-up z brokatem, złotymi piegami i jakimiś tam innymi cudami-wiankami. Lilian dała koncert, potem odebrała nagrody na gali, nawet jeszcze przez chwilę pogadała z ludźmi na after party i udzieliła kilku wywiadów, a następnie, jak przyjechaliśmy do domu, zemdliała z wyczerpania. Głupia była, kurna, ale i twarda, jak trzeba było.

Przez chwilę oboje milczeli.

– Nie mogę, kurna, uwierzyć, że ona nie żyje – westchnął w końcu Jakub. – Jak wczoraj zapaliło się światło, myślałem, że to jakiś jej żart. Coś à la szopka pod tytułem „popelnię samobójstwo”. Często nas czymś takim częstowała. Właściwie po każdym zawodzie miłosnym. A tych miała, jak to, kurna, każda taka lambadziara, od cholery. I po każdym takim ciulu, co to poszedł w siną dal, rzuciła się z okna albo podcinała sobie żyły, albo się truła. Trzeba było jej pilnować, odciążać od balkonu, chować przed nią zyletki i proszki nasenne. Następnego dnia zaś pojawiał się jakiś nowy kolo i, kurna, melodramat rozpoczynał się od początku.

– Sporo razem przeszliście. Tym większy szok z waszego rozejścia się...

– Postawiła na Justynę. Mówiła coś, że ma wobec niej jakiś dług czy, kurna, coś w tym stylu. Niewiele z tego rozumiałem. Moim zdaniem zatrudniając ją, chciała po prostu dokopać tej całej Raj. Jakoś zawsze była na nią wyjątkowo, kurna, cięta. Nawet wczoraj. Dogryzała jej co parę sekund. No i się doigrała!

– Jakim cudem znalazł się pan tak blisko jej ciała? – już kończąc pytanie, Róża wiedziała, że za bardzo się rozpędziła i że powinna zadać je zupełnie inaczej. Zaczynała już być zmęczona tymi wszystkimi rozmowami. Chyba za dużo ich odbyła jak na jeden dzień...

– Jak to blisko? – Kwieciński posłał jej zdziwione, ale i czujne spojrzenie. – Przecież siedziałem przez cały czas przy stole, nawet się nie ruszyłem. Miałem to już w dupie. I tak wszystko przejmowała Justyna. Nawet udział Lilian w tym balu negocjowała razem ze mną, zatwierdzała scenariusz, pomagała jej wybrać kreację.

Więc miałem na wszystko wywalone. Wstałem dopiero, gdy zapaliło się światło i ktoś zaczął krzyczeć. Skąd, kurna, pomyśl, że stałem blisko ciała?

Róża nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. W rozbieganych i nieco nieprzytomnych dotąd oczach Jakuba dostrzegła jednak coraz większą czujność i skupienie.

– Tak mi ktoś powiedział – rzekła wymijająco.

– Kto?

– Czy to takie istotne? – Róża nadal nie miała pojęcia, jak wybrnąć z tej sytuacji. – Wszyscy byli w szoku, coś się mogło komuś pomylić. Ludzie w stresie gadają różne głupoty...

– Jacy ludzie? – Teraz Jakub patrzył na nią już w wyraźną złością. – Z kim pani, kurna, o mnie gadała?

Róża milczała, z niepokojem obserwując, jak na spoconym czole menadżera pojawia się pulsująca żyła. „Musiałam go nieźle wkurzyć”, pomyślała. „Swoją drogą, ciekawe dlaczego...”

– Po co się pani ze mną w ogóle spotkała? – wycodził wściekle podniesionym głosem. – I po co te wszystkie pytania?!

– Niech się pan uspokoi – poprosiła cicho Róża. – Ludzie zaczynają na nas patrzeć!

– Co mnie, kurna, ludzie obchodzą. Niech wypieprzają! – Żyła pulsowała mu coraz wyraźniej. – Przychodzi pani, nawija jakąś, kurna, gadkę-szmatkę, wciska kit i na co liczy? Chce mnie pani o coś oskarżyć? To niech pani idzie na policję! Ja się nie dam w nic wrobić! Jeśli to ma być groźba albo szantaż, to niech będzie jasne, że ja się nie dam. Niech jej to pani, kurna, przekaże.

– Ale komu? – jęknęła mniej już przestraszona, a bardziej zszokowana Róża.

– Niech pani nie udaje, kurna, kretyнки! Tej nabotoksowanej, wiecznie nadętej starej raszpli...

– Marcie Raj?! – upewniła się Krull. – Ale po co miałaby pana szantażować albo straszyc?!

– To oczywiste – Jakub popatrzył na nią z politowaniem – żeby mnie w to wrobić, a samej ujść sprawiedliwości.

– Ale o czym pan mówi?!

– O morderstwie – Jakub powiedział to takim tonem, jakby wygłaszał jakąś oczywistą prawdę. – Przecież to ona zamordowała Lilian!

ROZDZIAŁ XII

MORDERCY NA PAPIERZE

– Powiem wam, że ja już od tego wszystkiego zgłupiałam. – Róża umościła się na kanapie w swojej ulubionej półleżącej pozycji i przykryła czerwonym, gwiazdkowym kocikiem w pomyłone jelonki. Z niewiadomych przyczyn połowa umieszczonych na nim zwierzątek, tworzących ozdobny szlaczek, przedstawiona była nie dość, że do góry nogami, to jeszcze z dodatkowym porożem wyrastającym, nie wiedzieć czemu, z ogona. Pomimo kpin Pepe, który owo przykrycie nazywał „pledem w załatwiające się renifery”, pisarka uwielbiała ów koc, bo nie dość, że był wyjątkowo miły w dotyku, to jeszcze ogrzewał ją zawsze niczym termofor.

– Ja też... – zgodziła się Miłka.

Trzecia z obecnych osób, Betty, nie powiedziała nic, tylko w zadumie wpatrywała się w ekran komputera i znajdujący się tam obrazek, przedstawiający Mario stojącego ze sztyletem nad zwłokami Lilian. Zdumiewająco wyraźną fotkę, cykniętą najpewniej telefonem komórkowym, kilka godzin wcześniej umieścił na

swoim serwerze jeden z lubujących się w publikowaniu sensacyjnych wiadomości portali.

– Parada potencjalnych morderców – powiedziała ze złością Róża. – Wszyscy kłamią i kręcą. Od kiedy to mówienie prawdy przestało być w cenie?!

Betty lekko się zachłysnęła, zdławiając w sobie ostatkiem sił chęć wygłoszenia komentarza, że kto jak kto, ale akurat Róża nijak nie nadaje się na orędowniczkę głoszenia prawdy. W kategorii „wołające o pomstę do nieba łgarstwa, jakie można wygłosić do swojego wydawcy, tłumacząc mu, dlaczego znów nie napisało się książki na czas” zasługuje bowiem na złoty olimpijski medal. Wśród powodów, jakie pisarka zdążyła już w swojej ułańskiej fantazji wymyślić na usprawiedliwienie kolejnych opóźnień, znalazły się między innymi takie, że:

1. przyjechała do niej brzemienna krewna, która w wyniku zjedzenia chilli zaczęła odczuwać przedwczesne skurcze, więc trzeba było z nią jechać do szpitala i spędzić najpierw dwie doby w oczekiwaniu na poród, a następnie kolejny tydzień, aby pocieszać ją w czasie „baby blues” czytaniem optymistycznych artykułów o urokach macierzyństwa oraz rozbawiać wyświetlaniem na komórce wszystkich możliwych występów Zenka Martyniuka od początku jego kariery,

2. pani Cecylia włączyła w kuchni jednocześnie piecyk, mikser i ekspres do kawy, w wyniku czego szlag trafił przedpotopową instalację elektryczną a przy okazji też komputer, na którym pisarka w pocie czoła wprowadzała „ostatnie już poprawki” do „oczywiście gotowej na czas” powieści,

3. musiała zaopiekować się małym dzieckiem swojej przyjaciółki, której mąż pojechał walczyć za wolność Syrii, a która z nerwów i złego trawienia dostała ataku wyrostka robaczkowego.

Betty czekała tylko na moment, kiedy Krull oświadczy wydawcy, że:

1. porwali ją kosmici,
2. doznała czasowej amnezji, w wyniku której nie umiała sobie przez pół roku przypomnieć, że miała coś pisać,
3. zapomniała języka polskiego,
4. umarła.

– To chyba naturalne – stwierdziła Miłka, odrywając Betty od wyobrażania sobie, jak Róża finguje swój własny pogrzeb – że na widok policji każdy dostaje małego rozumu i na wszelki wypadek ukrywa wszystko, co mogłoby rzucić na niego złe światło.

– Ale oni ukrywali nawet to, co mogło rzucić złe światło na innych – jęknęła Róża. – I kompletnie pomiesza mi tym w głowie. Trzeba to jakoś poukładać logicznie? Gdzie Pepe?

– Nie będzie go – poinformowała Betty. – Powiedział, że ma dzisiaj spotkanie ze znajomym, który u niego na osiedlowym bazarku handluje wszystkim. Nielegalnymi kodami do Netflixa, narkotykami, wiejskim mięsem bez atestu...

– Na cholerę mu mięso bez atestu – zdziwiła się Róża – albo narkotyki? Przecież ostatnio nie chciał nawet zapalić z nami skręta, a jak się z Miłką trochę ujaraliśmy, to następnego dnia przyniósł nam ulotki Monaru...

– Pepe ma nadzieję, że skoro znajomy ma wszystko, to też i granat – wyjaśniła Betty – który będzie można wrzucić do jego lokalu, żeby przestał być zabytkiem.

– O, proszę. – Róża przewróciła oczami. – Kolejny potencjalny kryminalista. Co się z tymi ludźmi porobiło?! No dobrze, skoro nie ma Pawła, to musimy się zdać na własne głowy. Trudno będzie, bo ja po tym całym dniu mam w swojej tylko chaos, ale spróbujmy. Betty, oderwij się od tego komputera...

– Zastanawiam się, jakim cudem to w ogóle zostało opublikowane – menadżerka posłusznie spełniła życzenie pisarki. – Tudzież co za bezduszna świnią się na to zdecydowała...

– Niektórzy nie wiedzą, co to sumienie – wyjaśniła Róża. – A co do publikacji, to zdaje się, że twój piękny albo któryś z jego podwładnych zainterweniował dość szybko, bo ta fota była w sieci zaledwie kilkanaście minut. Trzeba przyznać, że policja wywiad internetowy ma całkiem sprawny. Jeszcze trochę i odzyskam do niej choć część zaufania...

– Skoro zdjęto to tak szybko, to jakim cudem udało ci się to zdobyć?! – Betty zrobiła duże oczy.

– Bo niektóre moje czytelniczki są o wiele sprawniejsze od policji – odpowiedziała z triumfującym uśmiechem Róża. – Jest taka jedna dziewczyna z Siemiatycz, Melania, która wie wszystko. Absolutnie wszystko! Gdybym w środku nocy zadzwoniła do niej z pytaniem, czym żywią się butodzioby, to natychmiast udzieliłaby mi drobiazgowych wyjaśnień, a po kilku minutach wysłała nazwę i adres sklepu w stolicy Sudanu, gdzie mogę kupić dla nich jedzenie.

Betty chciała zadać kilka pytań jednocześnie, ale ponieważ nie wiedziała, co z wypowiedzi pisarki ciekawi ją najbardziej, przez chwilę milczała, zbierając myśli. Dało to czas Miłce, aby częściowo ją wyręczyła.

– Istnieje coś takiego jak butodziob?! – zapytała tonem największego zdumienia. – Czy wymyśliłaś go na poczekaniu?!

– Owszem, istnieje – westchnęła Róża. – To ptak. Trochę taki jak bocian, podobnie wysoki, ale z dziobem jak trzewik i piórami w pięknym niebieskim kolorze. Bardzo sympatycznie wygląda. Mieszka we wschodniej Afryce, tam gdzie są bagna. Jak pisałam „Afrykańskie morderstwo”, to wykorzystałam go w jednej ze scen.

W ten sposób Róża od razu odpowiedziała na drugie z niezadanych pytań swojej menadżerki. Zostało jeszcze trzecie.

– I dostałaś tę fotkę od Melanii?

– Owszem – potwierdziła pisarka. – Od wczoraj Melania zdążyła już się

dowiedzieć, że byłam na balu, ustalić, kto jeszcze tam był, czym się zajmuje i jaki miał związek ze świętej pamięci nieboszczką. Zdjęcie Mario z narzędziem zbrodni wysłała mi późnym popołudniem, zaraz po tym, jak udało mi się ujść cało ze spotkania z tym furiatem, menadżerem Lilian. Może podpowiedz Darskiemu, żeby ją zatrudnił u siebie. Poprawiłaby mu statystyki.

– Nie omieszkam – mruknęła Betty. – Skoro ta twoja Melania taka mądra, to może niech ci od razu powie, kto zamordował Lilian, i będziemy mieli to z głowy?

Choć menadżerka powiedziała to kpiącym tonem, jedno spojrzenie na Krull dało jej znać, że zapewne wszechwiedząca czytelniczka sprzedała już swojej idolce jakąś teorię.

– No, mów..! – zachęciła Różę. – Nie trzymaj nas w napięciu. Zdradz, kto jest mordercą!

– Melania nie wskazała nikogo konkretnie – wyjaśniła zamyślona Róża. – Powiedziała tylko, że jej zdaniem nie zrobił tego mężczyzna. O, pani Cecylia..! Dziękujemy raz jeszcze, że zgodziła się pani przyjechać o tak nietypowej porze. Na pewno nie zapomnę o tym pod koniec miesiąca, kiedy będziemy się rozliczać...

Wnosząca do pokoju paterę ze świeżo co upieczonym makowcem, gosposia Róży pokręciła głową.

– Nie musi mi pani nic dopłacać – powiedziała stanowczo. – Po pierwsze, to bardzo miłe, że mogłam się przydać, a po drugie mam dzisiaj tak dziwny nastrój, że lepiej, żebym nie była sama...

Róża poczuła się zdziwiona, bo do tej pory pani Cecylia raczej nie uzewnętrzniała żadnych swoich uczuć, a już na pewno nie tych negatywnych. Postanowiwszy w duchu dowiedzieć się później, co ją wyprowadziło z równowagi, zaproponowała gosposi, aby przyłączyła się do ich rozmowy, bo a nuż ze swoim życiowym doświadczeniem wpadnie na coś, czego one nie dostrzegą. Gosposia odmówiła, po czym zapytała, czy mogłaby jeszcze przez jakiś czas posiedzieć sobie w kuchni i poczytać. Kiedy Róża zauważyła, że lepszy do tego celu byłby jej gabinet, gdzie stoi wygodny fotel i jest lepsze oświetlenie, wyjaśniła, że już się przyzwyczaiła do czytania przy kuchennym stole, a poza tym może jeszcze w tym czasie zrobić keksa. Pisarka z miejsca nabrała pewności, że zamierza podsłuchiwać ich konwersację. Ponieważ jednak efektem tego miał być keks, a starsza pani robiła to ciasto po mistrzowsku, z miejsca radośnie wyraziła na wszystko zgodę.

– No dobrze, weźmy się w końcu do roboty – powiedziała, kiedy tylko Cecylia opuściła salon, a Miłka nałożyła sobie na talerz pół makowca. – Proponuję, żebyśmy spisały sobie wszystko to, co wiemy. Jak się coś widzi na papierze, to zawsze wygląda inaczej niż wtedy, kiedy tylko ma się to w głowie. No, to po kolei...

Po kilkunastu minutach biała kartka formatu A4 zaczęła przypominać dzieło dwulatka, który po raz pierwszy dorwał się do długopisu. Postronnemu

obserwatorowi zapewne trudno byłoby w tej chaotycznej płataninie notek, kresek, strzałek i innych znaków znaleźć jakkolwiek sens, ale dla trzech pochłoniętych wymyślaniem coraz bardziej zagmatwanych teorii przyjaciółek wszystko tam było jasne, logiczne i klarowne.

– W porządku. – Róża popatrzyła z zadowoleniem na ich dzieło. – Same popatrzcie, ilu znalazłyśmy potencjalnych morderców. Od początku mówiłam, że policja robi błąd, podejrzewając tylko Mario.

Betty zachowała dla siebie uwagę, że żaden z wytypowanych przez nie zbrodniarzy nie stał z nożem nad zwłokami, a poza tym nie wiedzą, jak się toczy policyjne śledztwo.

– Możesz to jakoś zreasumować? – poprosiła w zamian. – Bo pod koniec zaczęło mi się to mylić...

– Oczywiście – zgodziła się Róża, kątem oka zauważając, że został już ostatni maleńki kawałeczek makowca, choć ona sama i Betty nie spróbowały jeszcze nawet okruszka. – Podejrzany numer jeden moim zdaniem to menadżer Lilian. Stał najbliżej jej zwłok, wyraźnie się czegoś boi, jest nerwowy, a ponadto twierdzi, że morderczynią jest Marta Raj, która przez całe zaciemnienie nie ruszyła się ze swojego miejsca. Miłka, jesteś tego pewna na mur-beton...

– Abmsłtnie... – wybełkotała przez pełne usta Wężowska. – Mhr-ton...

– Widzę, że nadal przestrzegasz diety, jak ja deadline'ów na oddanie książek – mruknęła Róża z rezygnacją. – Zostaw nam chociaż kawałek. Skoro więc Marta zastygła na swoim krześle niczym żona Lota, to pytanie, na które musimy odpowiedzieć brzmi: dlaczego Kwieciński rzuca na nią podejrzenia, skoro musi sobie zdawać sprawę, że nie ma to większego sensu.

– Przypominam ci, że poddałyśmy to w wątpliwość – zwróciła jej uwagę Betty. – Przyjęłyśmy, że mógł nie wiedzieć, że Miłka zauważy że Raj nie ruszyła się z miejsca. Tym bardziej, że wszyscy inni zrobili inaczej i w tych ciemnościach zachowywali się, jakby bawili się w komórki do wynajęcia. Swoją drogą, nie wydaje wam się to dziwne, że oni tak latali po ciemniaku i się wzajemnie nie poturbowali?

– Tę sprawę na razie zostawmy w spokoju – powiedziała Róża. – Druga kwestia do wyjaśnienia przy Kwiecińskim: jakie machlojki robił za plecami Lilian i czy faktycznie właśnie za to został zwolniony. OK. Podejrzany numer dwa to gitarzysta...

– A nie jego dziewczyna? – zdziwiła się Betty. – W świetle tego, co mówiłaś, wydaje mi się, że miała więcej powodów, aby życzyć Lilian jak najgorzej.

– Ale podobnie jak Raj została na swoim miejscu. – Róża rzuciła okiem na ich zapiski. – O ile oczywiście Miłka dobrze pamięta...

– To się nie może opierać tylko na mojej pamięci – zaprotestowała

Wężowska. – Ostatnio robiłam zakupy w GalMoku i najpierw zostawiłam torebkę przy kasie w Fotojokerze, potem nie pamiętałam, gdzie zaparkowałam samochód, i wciągnęłam w jego poszukiwanie dwóch ochroniarzy, a jak wreszcie go wspólnie znaleźliśmy, to tak się ucieszyłam, że zapomniałam włączyć światła i dostałam mandat. Same widzicie... I o ile tej Raj jestem pewna, to tej drugiej, jak jej tam...

– Karoliny – odpowiedziała Betty uczynnie.

– Niech będzie. Jej nie! Wydaje mi się, że siedziała tam, gdzie była, ale głowy za to sobie nie dam uciąć. Żadnych innych organów też nie.

– Jesteś do bani – westchnęła Róża. – Następnym razem wezmę ze sobą Pepe. Jakby on tam był, to byśmy miały dokładne sprawozdanie nie tylko z tego, gdzie ktoś się przesunął choćby o centymetr, ale nawet ile razy wziął oddech w tych ciemnościach. On ma słuch jak sowa, wzrok jak kot i węch jak kret.

– Czyli ogólnie jest z niego zwierzę – podsumowała Miłka. – A bierz go, ja już i tak boję się z tobą chodzić. Gdzie się nie pojawisz, tam zaraz są jakieś zwłoki. Poza Pepe powinnaś też zabierać ze sobą narzeczonego Betty, żeby od razu mógł rozpocząć śledztwo. Co ma tracić chłopak czas na dojazdy?

Róża pokazała jej język i popukała się w głowę, po czym jeszcze raz uważnie prześledziła wzrokiem to, co zapisały na kartce. Miały tam między innym zanotowane, kto po zapaleniu na sali światła stał w innym miejscu niż wtedy, kiedy ono zgasło. Nazwisk w tej rubryce było siedem. Poza Mario znaleźli się tam uporządkowani według tego, jak daleko znajdowali się od zwłok Lilian: jej menadżer Jakub Kwieciński, gitarzysta Marcin Mojek, ochroniarz Rafał Wątyły, aktorka Barbara Jarosławska i trenerka Ewelina Szlagowska. Na swoim miejscu przy stole Lilian na pewno został dziennikarz Bartosz Wieteska i piosenkarka Marta Raj oraz – jeśli bazować na wątpliwej pamięci Miłki – dziewczyna gitarzysty, Karolina Durczak. Nikt nie zwrócił uwagi ani na agentkę tej ostatniej, Justynę Kiljańską, ani na drugą z aktorek, Danutę Stec.

– Ale jeśli przyjąć, że jednak dobrze ci się wydaje, to krąg podejrzanych nieźle nam się zawęził – zauważyła. – Wróćmy do motywów. Kwieciński, już wiemy, a Mojek? Lilian nagrała z nim filmik porno i próbowała zrujnować mu związek. Dobry powód, żeby się z nią rozstać, kiepski, żeby ją mordować. Tym bardziej że na graniu w jej zespole całkiem nieźle zarabiał.

– Zapiszmy to jako pytanie – zaproponowała Miłka. – Co na śmierci Lilian zyskiwał gitarzysta?

Róża posłusznie spełniła jej życzenie.

– Teraz jego dziewczyna – powiedziała. – Ta miała powód, aby nienawidzić Lilian. Podejrzane wydaje mi się też to, że zgodziła się przyjść na ten bal. Betty, czy gdyby jakaś laska przysłała ci swój film porno z Krzysztofem, to poszłabyś na imprezę, wiedząc, że ona też tam będzie?

– Oczywiście, że bym nie poszła, tudzież przykuła Krzysztofa łańcuchem do

kaloryfera – odpowiedziała Betty. – Chyba że planowałabym wbicie tej lasce sztyletu w plecy, idąc twoim tokiem myślenia.

– Poza tym Lilian, z tego co zauważyłam, przez cały czas ją prowokowała – dodała Róża. – Coś na zasadzie: „I co mi niby możesz zrobić?”. Pytanie tylko, czemu ten gitarzysta jej na to pozwalał? Musiała mieć na niego jakieś haki. Zapisuję, żebyśmy to sprawdziły.

– Ciekawe, jak... – mruknęła Miłka. – Czy pani Cecylia tam zasnęła? Skoro mam już nie ruszać makowca, to niech już poda ten keks. Jestem tak głodna, że zaraz zacznę sama odmawiać modlitwę do patrona głodnych. Ktokolwiek by nim nie był...

– Święty Autbert z Cambrai – dobiegło z kuchni, upewniając przy okazji pisarkę, że nic, o czym mówi się w pokoju, nie umyka uwadze jej gospodyni. – Jak kiedyś w jego wiosce panował głód, to z resztek mąki upiekł w piekarni bochenek chleba, a następnie go cudownie rozmnożył, żeby starczyło dla wszystkich. Piekarze go pewnie nie lubią, ale oni mają swoich patronów, więc nie muszą. A keks będzie gotowy za jakieś dziesięć minut!

– No dobrze, zabijmy jakoś ten czas myśleniem – powiedziała Miłka. – Kto następny do golenia?

Róża odwróciła kartkę i popatrzyła na ich notatki.

– Ochroniarz. Nie wiemy o nim nic, ale jutro się dowiemy. Już się z nim umówiłam. Dalej Ewelina i Barbara. Ta pierwsza miała powód, aby nie lubić Lilian, i chyba zyskiwała na jej śmierci.

– A, właśnie! – ocknęła się, zapatrzona przez kilka ostatnich sekund w ostatni kawałek makowca Miłka. – Zapomniałam powiedzieć, że po naszym spotkaniu wygooglowałam co nieco, bo męczyło mnie zdanie, że Ewelina zobaczyła światelko w tunelu, i już wiem dlaczego. Ta konkurencyjna sieć siłowni wydała jakąś straszliwą kasę na akcję promocyjną z Lilian. Mieli ją rozpocząć za dwa dni. Teraz w związku z tym mają spore problemy finansowe, bo przecież nie będą się reklamować nieboszczką. Teoretycznie powinni ubezpieczyć się w razie takiego przypadku, ale tego nie zrobili. Przeczytałam, że grozi im plajta.

– Czyli dla Eweliny śmierć Lilian wypadła w najlepszym momencie – podsumowała Róża. – Ciekawe... Teraz Barbara. Wiemy, że była kiedyś z gitarzystą Lilian.

– To jeszcze nie czyni z niej morderczyni – powiedziała Betty. – Poza tym jeśli miałyby kogoś zabić, to jego aktualną dziewczynę.

– Niekoniecznie. – Róża uśmiechnęła się triumfalnie. – Był jeszcze jeden powód. Kilka miesięcy temu Barbara zaczęła się starać o rolę w nowym serialu TelePolu. To miała być ich największa produkcja od lat i właściwie było już stuprocentowo pewne, że ją zatrudnią, bo na castingu i w czasie zdjęć próbnych była zdecydowanie najlepsza. Miała dostać jedno z największych honorariów

w historii tego typu produkcji w naszym kraju. Nic więc dziwnego, że będąc już pewna, że lada chwila podpisze umowę i dostanie zaliczkę, poszła do banku i złożyła podanie o kredyt na dom. Spory kredyt. I kiedy sfinalizowała transakcję i zaczęła remont, nagle producenci zadzwonili do niej z przeprosinami, że jednak wybrali kogoś innego... Zgadnicie kogo?

– Lilian – odpowiedziała bez zdziwienia Betty.

– Owszem – potwierdziła Róża – ale to jeszcze nie wszystko. Lilian ugadała się z producentami, mając pełną świadomość tego, że Barbara znalazła dom i załatwia kredyt. I bardzo poprosiła ich o to, aby nikogo, a już zwłaszcza Jarosławskiej, o niczym nie informowali, dopóki nie da znaku, że już można. Spokojnie odczekała, aż Barbara załatwi wszystkie formalności i wtedy dopiero pozwoliła ją zawiadomić, że zostaje na lodzie...

– Co za podła zołza! – powiedziała ze złością Miłka. – A skąd o tym wszystkim wiesz?!

– Od Melanii – wyjaśniła zgodnie z prawdą Krull. – Barbara pochodzi z Białegostoku i zaczynała karierę od występów w tamtejszym teatrze. Melania jest jej fanką i wie o niej wszystko. Tylko nie o wszystkim chce rozmawiać. Kiedy zapytałam o związek z gitarzystą, nabrała wody w usta, więc czuję, że tu jest jeszcze coś interesującego do odkrycia. I od razu to zapiszę! Ale za to Melania jeszcze mi powiedziała, że wieczorem w dniu balu Barbara miała zamiar jeszcze raz poprosić Lilian, żeby zrezygnowała z roli. Dlatego poszła tam mimo gorączki. Odwiedziła Lilian w garderobie przed jej występem i ta się ponoć zgodziła. Powiedziała, że i tak nie miałyby czasu grać, bo chce ruszyć w trasę. Tak przynajmniej twierdzi Barbara. Chociaż, kiedy przypominam sobie teraz naszą rozmowę w czasie balu, to sędzę, że kłamie. Kolejna!

– Ciekawe, czy tak było? A skoro już mowa o Melanii... – Betty uderzyła się dłonią w czoło. – Byłybyśmy zapomniały! Zdjęcie! Strasznie dziwny ten sztylet! – Dotknęła palcem touchpada, powodując, że wygaszony ekran laptopa z miejsca się rozjaśnił, ukazując powiększony fragment fotografii, ukazujący trzymany przez Mario sztylet, którym najprawdopodobniej wczoraj pozbawiono życia Lilian. Przez jego długie, smukłe ostrze biegł znakomicie widoczny, wygrawerowany napis „Et nos quidem iuste, nam digna factis recipimus”. Częściowo zasłonięta dłonią Mario rękojeść wykonana była z jakiegoś czarnego kamienia albo plastiku, po fotografii nie dało się tego jednoznacznie rozstrzygnąć, w który z czterech stron wtopiono małe, okrągłe, czerwone koraliki. Na samej górze rękojeści znajdowała się zaś dziwaczna dziura, sprawiająca takie wrażenie, jakby ktoś stamtąd usunął jakiś element sztyletu.

– Sprawiedliwie odbieramy karę za uczynki swoje – powiedziała w zamyśleniu Betty, która już wcześniej przetłumaczyła za pomocą translatora treść łacińskiego napisu. – Ewangelia według świętego Łukasza. Co nam to daje?

– Nam niewiele, ale zapewne twojemu Krzysztofowi i owszem. – Róża spojrzała na swoją menadżerkę z potępieniem. – Naprawdę nie możesz nic z niego wyciągnąć? Przecież zawsze ułatwialiśmy mu pracę. Wszystko wykrywałyśmy jako pierwsze, a potem to on zbierał oklaski, glorię i sławę...

– On ma na ten temat zupełnie inne zdanie – Betty machnęła ręką. – Uważa, że tylko mu przeszkadzamy i się niepotrzebnie narażamy. O, zresztą, o wilku mowa...

Sekundę wcześniej jej komórka zadzwiała melodią z filmu „Policjanci z Miami”, oznaczającą, że ukochany spragniony jest rozmowy z nią. Betty wstała od stołu i przeszła z telefonem do gabinetu Róży. W tej samej chwili gosposia pisarki wniosła do pokoju kolejną paterę, tym razem z keksem.

– Pani Cecylia, czy mogłaby pani nam powiedzieć, z czym związany jest ten wers z Ewangelii? – poprosiła Róża. – Któż to może wiedzieć lepiej od pani..?

Starsza pani przez chwilę patrzyła na łacińską inskrypcję i jej tłumaczenie znajdujące się nad fotografią sztyletu.

– To słowa, które wypowiedział jeden z łotrów powieszonych obok Jezusa do drugiego – wyjaśniła – w chwili, kiedy ten zaczął pytać Mesjasza, dlaczego nie uratuje samego siebie i ich. A potem dodał, że sam ma tylko jedną prośbę, aby Jezus wspomniał o nim, gdy już będzie w Królestwie Niebieskim...

Cecylia przerwała i jeszcze raz uważnie spojrzała na ekran laptopa.

– Pani Różyczko, jest coś jeszcze, co mi się nie... – zaczęła mówić, ale w tym momencie w pokoju znów pojawiła się Betty. Jedno spojrzenie na nią wystarczyło, aby wszyscy wstrzymali oddech. Agentka była blada i najwyraźniej bardzo zdenerwowana.

– No, to mamy klops, a ja muszę sobie strzelić jednego... – oświadczyła, podchodząc do stołu i nalewając sobie wina. – Wszystko się pokomplikowało tak, jak tylko mogło.

– Co się stało? – zapytała Róża, czując, jak serce z wolna przemieszcza jej się w stronę przelyku.

– Godzinę temu Mario uciekł z aresztu!

ROZDZIAŁ XIII

ZABÓJSTWO O PÓLNOCY

Ksiądz Augustyn Makarski z wypiekami na twarzy skończył oglądać kolejny odcinek „Gry o Tron”, czując lekkie wyrzuty sumienia, że tak bardzo fascynuje go coś, co ocieka seksem i okrucieństwem, nie ma nic wspólnego z wiarą, za to nachalnie propaguje używanie przemocy i czarnej magii, która to, jak wiadomo, jest orężem szatańskim. W duchu postanowił sobie zadać za to jakąś pokutę, zastanawiając się jedynie, czy powinien to czynić po każdym odcinku, czy też hurtem dopiero po zakończeniu całego sezonu. Nie rozstrzygnąwszy tego dylematu, spojrzął na wiszący na ścianie zegar i ze zdziwieniem zauważył, że wskazuje pięć minut do północy. Dwie ostatnie godziny zleciały mu jak z bicia strzelił, niczym przy spowiadaniu. Augustyn, w przeciwieństwie do niektórych swoich kolegów, zwłaszcza tych młodszych, wcale nie uważał słuchania spowiedzi za jakąś przerażającą nudę, ale traktował je – też mocno nieortodoksyjnie – jak mały seans psychoterapii, w czasie którego jego zadaniem było pomóc komuś rozwiązać jego dylematy tudzież rozwiać niektóre wątpliwości i rozterki. Dlatego

dziwiły go opowieści o księżach, którzy podczas spowiadania czytali książki albo rozwiązywali krzyżówki, a już w ogóle trudno mu było uwierzyć w to, co usłyszał kiedyś od swojej gospodyni. „Z takich długich spowiedzi to czasem nic dobrego nie wychodzi”, pouczyła go pewnego ranka w czasie sprzątanego pokoju, „lepiej to załatwiać rach, ciach i po wszystkim. Poprzedni proboszcz spowiadał kiedyś starą Andraszkową. Tę, co zawsze przynosi nam sadzonki na plebanię. Ona nie dość, że pije, pali, kłamie, klnie jak szewc, a grzechów nieczystości ma na koncie tyle, że nawet i Wizir nie doprałby jej sumienia, to jeszcze cierpi na sklerozę i w połowie spowiedzi nie pamięta już, co mówiła na początku, więc na wszelki wypadek wymienia wszystko na nowo. Jak się tak kiedyś rozpędziła, to po półgodzinie tak zmordowała wielebny, że zasnął i zaczął chrapać. I to jak niedźwiedź! Echo niesło się po całym kościele. Ksiądz dobrze wie, jaka tu jest akustyka! Andraszkowa wystraszyła się, że to od jej grzechów jakieś złe moce się przebudziły i chciała dać dyla, ale jak wybiegała, to zahaczyła ubranie o pozłacany stojak ze świecami, który przewrócił się na głuchą babcię Paździerzak. Tę, która całe dni wysiaduje w bocznej kaplicy. Ponieważ poprzedniego wieczora w „Wiadomościach” było dużo o kradzieżach w kościołach, to babcia wzięła Andraszkową za złodziejkę, która chce ukraść stojak, i zaczęła się z nią szarpać, a potem przywaliła jej z całej siły w twarz Biblią w twardej oprawie. Na to wszystko obudził się wielebny i zaczął je rozdzielać, ale od świec zapaliła mu się sutanna. Jak przyjechała policja i straż pożarna, to Andraszkowa nie miała już zęba na przedzie, a wielebny występował w samych slipach w palemki i banany. I tylko babci Paździerzak nic się nie stało. To przedwojenne pokolenie przetrwa każdą katastrofę, mówię księdzu...” Augustyn w przeciwieństwie do sennego proboszcza był jednak pilnym słuchaczem, a pokutę zawsze wyznaczał taką, aby spowiadający mógł w czasie jej wypełniania jeszcze raz przemyśleć swoje grzechy. Teraz jednak czuł dylemat. I to duży. Niedawno w czasie spowiedzi usłyszał wyznanie, które początkowo wydawało mu się niezbyt istotne. Ot, złe myśli, jakie nachodzą czasem każdego człowieka. Poradził wtedy spowiadającej się osobie, aby pomyślała o tym, że każde wyrządzone komuś zło rodzi kolejne, już tylko sama chęć zrobienia komuś krzywdy potrafi zatruć umysł. Przekonywał, że czasem warto jest wybaczyć i to bynajmniej nie po to, aby ktoś inny poczuł się z tego powodu lepiej, ale trochę egoistycznie – dla samego siebie i swojego spokoju. Wydawało mu się, że był przekonujący, ale kiedy tylko o świcie następnego dnia włączył telewizję i obejrzał wiadomości, nabral co do tego sporych wątpliwości. Czy to możliwe, aby ta osoba posunęła się do aż tak desperackiego czynu..? Co teraz powinien zrobić? Iść na policję i złamać tajemnicę spowiedzi? Czy wierzyć, że wszystko wyjaśni się samo?

Augustyn westchnął, wyłączył telewizor i DVD, postanawiając, że jednak odpokutuje za oglądanie „Gry o Tron” po wszystkich odcinkach najnowszego sezonu, po czym zapalił światło na schodach i zgasił w pokoju telewizyjnym.

Zgodnie ze zwyczajem panującym na plebanii telewizję oglądało się tylko w jednym przeznaczonym do tego miejscu. U siebie Augustyn miał jedynie komputer i małe radjko, służące mu też za budzik. Ksiądz zaczął wchodzić na schody. Jego sypialnia znajdowała się na ostatnim, trzecim piętrze, które było dobudówką, powstałą w czasach, kiedy parafia zaczęła się rozrastać, a księży przybywało. Wchodziło się tam po dużej ilości dość paskudnie zaprojektowanych schodów – wąskich i w dodatku lekko skręcających. Z tego powodu dwa górne pokoje zawsze przypadły w udziale najmłodszemu, a co za tym idzie, najbardziej sprawnym fizycznie księżom. Augustyn pokonywał powoli schodek za schodkiem, myśląc nie najlepiej o swojej z dnia na dzień coraz gorszej kondycji, po prostu tragicznej jak na niespełna czterdziestolatka, i zastanawiając się, czy tarabaniecie się codziennie na te wysokości nie jest już samo w sobie wystarczającą pokutą za wszystkie, umówmy się, nieliczne grzechy, jakie popełnia. Do pokonania zostało mu już tylko kilka stopni, kiedy korytarz opanowały ciemności. Nie zdziwił się, bo oświetlenie działało tak, że na drugim piętrze powinien jeszcze raz przycisnąć kontakt, o czym w zamyśleniu zapomniał. Augustyn stanął, pozwalając oczom przyzwyczać się do ciemności, i jednocześnie zaczął macać ręką ścianę w poszukiwaniu włącznika, który powinien gdzieś tu być. Jego dłoń przesuwiała się po chropowatej powierzchni ściany, aż wreszcie natrafiła na przeszkodę. Ale nie taką, jakiej się spodziewał! W jednej chwili różne zmysły Augustyna dostarczyły do mózgu tę samą informację. Dotyku – że jego ręką trafiła na inną, słuchu – że ktoś blisko niego bierze oddech, i węchu – że ów ktoś pachnie bardzo znajomo. Po krótkiej chwili Augustyn uświadomił sobie, gdzie poprzednim razem czuł ten zachwycający aromat perfum. Jego głowę przeszło jedno przerażające skojarzenie, ale było już za późno, aby wyciągnąć z niego jakikolwiek wniosek. Ksiądz poczuł silny cios w klatkę piersiową. Nie było niczego, czego mógłby się złapać. Poleciał w tył, czując jedynie niewyobrażalne, wypełniające całkowicie jego umysł zdziwienie. Chwilę potem rzeczywistość przestała dla niego istnieć. Na zawsze.

ROZDZIAŁ XIV

KTO NA TO POZWALA?

Komisarz Krzysztof Darski od jakiegoś czasu był stuprocentowo pewny, że chce spędzić resztę życia ze swoją narzeczoną. W Betty miał nie tylko perfekcyjną partnerkę, ale i bratnią duszę. Łączyło ich podobne poczucie humoru, poglądy, spojrzenie na świat, o seksie już nawet nie wspominając. W dodatku Betty była doskonałym odzwierciedleniem jego ideału kobiety – tak jakby ktoś tam na górze wykonał ją specjalnie na jego zamówienie. Bywały momenty, i to coraz częstsze, kiedy Darski wyobrażał sobie nawet, jak za kilkadziesiąt lat będą siedzieli na ganku uroczego białego domku, otoczeni dziećmi, wnukami, prawnukami i nadal szaleńczo w sobie zakochani.

Niestety, obecny moment do takich nie należał.

Zamiast sielankowej wizji przyszłości Krzysztof widział wyraźnie, jak za chwilę dusi swoją ukochaną, a następnie wsiada do samochodu, aby popełnić kolejne morderstwo – tym razem na jej pracodawczyni.

– Że co robiła Róża? – powtórzył po raz drugi tego wieczoru, czując, jak

zaczyna go kłuć w okolicach mostka.

– Naprawdę niewiele – odpowiedziała spłoszona Betty, zmieniając powleczenie na kołdrę. – Po prostu porozmawiała z kilkoma osobami. Nic więcej.

– Chciałaś powiedzieć: z kilkoma podejrzanymi osobami – odparł Darski wściekłym tonem, zastanawiając się, co pierwsze wysiadzie mu z powodu zachowania pracodawczyni ukochanej: serce, żołądek czy jelita. – To już nawet nie jest recydywa. To jakaś obsesja wścibiania nosa w każde moje śledztwo. Czy ona naprawdę uważa, że w policji pracują wyłącznie jednostki poszkodowane na umyśle, które nie potrafią rozwiązać żadnej sprawy? A ja jestem niedorozwiniętym debilem?

– Aresztowaliście Mario... – zaprotestowała nieśmiało Betty, zastanawiając się, dlaczego kołdra nijak nie chce jej się zmieścić w poszewkę i uświadamiając sobie, że z nerwów usiłuje ją wepchnąć w tę przeznaczoną na poduszkę. – Róża jest przekonana, że on jest niewinny.

– Po pierwsze, nie aresztowaliśmy, tylko zatrzymaliśmy na 48 godzin – sprostował nadal wściekły Darski, czując, jak pieczenie przesuwają się w stronę przełyku. – O tym, czy zostanie aresztowany, miał zadecydować sąd. Po drugie, fakt, że zatrzymaliśmy mężczyznę, który stał ze sztyletem nad zwłokami, nie oznacza, że nie rozważamy innych hipotez niż ta, że to on jest mordercą. Choć ucieczka podejrzanego raczej nie świadczy o jego niewinności, zgodzisz się ze mną, do jasnej cholery?!

– Przy założeniu, że Róża ma rację i Mario jest niewinny, to w ogóle nie rozumiem, czemu nawiał – powiedziała Betty, ścieląc łóżko i wzrokiem szukając jakiejś broni na wypadek, gdyby Darski rzucił się na nią w ataku furii. Przecież nie użyje do tego pościeli, bo to nie żeński akademik, a ona nie występuje w erotyku „Niegrzeczne studentki 2: bitwy na poduszki”. – Jakim cudem mu się to w ogóle udało?

Darski westchnął, po czym streścił jej, co wydarzyło się kilka godzin wcześniej. Późnym popołudniem Mario zaczął się uskarżać, że brakuje mu powietrza. Ponieważ dzień wcześniej wyjaśnił, że od dziecka choruje na astmę, co zresztą zostało potwierdzone z rana przez jego lekarza, potraktowano jego skargę z powagą, tym bardziej że według opisu strażników był „trupiolbady”. W tej sytuacji postanowiono przetransportować go na badania do pobliskiego szpitala. W gabinecie konwojujący Mario funkcjonariusze na prośbę lekarza zdjęli mu kajdanki i stanęli w drzwiach. Blogger rozebrał się do badania i odpowiedział na kilka zadanych mu przez doktora pytań. Spokojnie dał się zbadać, a następnie zaczął się ubierać. Gdy już włożył kurtkę, niespodziewanie doskoczył do uchylonego okna, otworzył je i wyskoczył na zewnątrz, co nie było nawet zbyt niebezpieczne, gdyż pod oknem był dach parterowego przejścia łączącego dwa budynki szpitala. Policjanci co prawda rzucili się natychmiast za nim w pościg, ale

nie odważyli się wyskoczyć przez okno i zdecydowali się na pogoń schodami. Zanim jednak wybiegli na zewnątrz, po Mario nie było już ani śladu. Ostatni raz uchwyciła go kamera, zainstalowana na szpitalnym murku, gdy wybiegał poza teren szpitala. Potem zniknął i to nawet nie wiadomo, w którym kierunku.

– Ci funkcjonariusze to jakieś fajtlapy – zawyrokowała Betty z niesmakiem. – Nie wpadło im do głowy, że skoro w oknach nie ma krat, to aż kusi, żeby przez nie nawiać?

– To było pierwsze piętro. Wysokie pierwsze piętro. Skąd mieli wiedzieć, że akurat pod tym oknem jest ten cholerny łącznik. Zresztą ten cały Kosek ponoć przelewał się przez ręce, ledwo co człapał po szpitalnych schodach i ogólnie sprawiał wrażenie zdechłego – wyjaśnił Darski. – Nie mieli żadnych podstaw do tego, aby przypuszczać, że nagle zamieni się w skrzyżowanie Batmana ze Strusiem Pędziwiatrem i że będzie miał takie cholerne architektoniczne szczęście. Inaczej by się połamał. A co do Róży...

– W sumie nie zrobiła nic złego... – zaoponowała niepewnie Betty.

– Doprawdy? – Darski spojrzał na nią ironicznym wzrokiem. – Nie sądzisz, że skoro jest taka przekonana o niewinności Koska, to ucięła sobie pogawędkę z kilkoma osobami, z których każda jest potencjalnym mordercą?

– I dowiedziała się o kilku rzeczach, które przed wami zataiły – wypomniała mu Betty, kładąc się do łóżka i zastanawiając, czy jej narzeczony rozładuje gniew w tradycyjny, bardzo dla niej przyjemny sposób. – Mógłbyś zacząć to doceniać. Przypominam ci, że są znane przypadki, że autorzy kryminałów byli wykorzystywani przez policję jako konsultanci...

– Owszem, u nas też się to zdarzyło. – Darski popatrzył na nią dziwnym wzrokiem. – Przy okazji „Amoku”. Tylko że jego autor został właśnie skazany za morderstwo, które wcześniej opisał, i dlatego w śledztwie bazowano na jego książce. Chcesz mi powiedzieć o Róży coś, czego jeszcze nie wiem..?

– Nie bądź niemądry – zgañiła go Betty, patrząc na to, jak jej ukochany pozbywa się szlafroka i przechadza nago po pokoju, zasłaniając okna i gasząc światło. Idealnie zbudowany Darski był tak podobny do amerykańskiego aktora Matta Bomera, że Betty czasem w ostatniej chwili gryzła się w język, żeby nie zwrócić się do niego tym imieniem, i miała tylko nadzieję, że nigdy nie wyrwie jej się ono w czasie seksu. – Zresztą sam musisz przyznać, że już dwa razy Róża wpadła na trop mordercy. Może zacznijcie współpracować?

– Czyś ty do reszty już zwariowała? – zapytał ze zgrozą Krzysztof, wsuwając się obok niej pod kołdrę. – Wiesz, co powiedzieliby mój szef i prokurator, gdyby się dowiedzieli, że dopuszczam do śledztwa postronne osoby? W dodatku nie dość, że też znajdujące się w kręgu podejrzanych, to jeszcze niestabilne psychicznie?!

– Naprawdę podejrzewasz Różę? – zdziwiła się Betty, zostawiając na uboczu ocenę stanu umysłu pisarki, bo akurat z tym odrobinę się zgadzała. – Przecież ona

nie skrzywdziłyby nawet muchy!

– Ja to wiem – zgodził się Darski – ale prywatnie. Służbowo nie mogę, póki co, założyć z góry jej niewinności.

Betty przez chwilę milczała, gładząc ramię swojego ukochanego.

– Czy masz dzisiaj ochotę... – zaczęła, ale Krzysztof pokręcił głową przecząco.

– Od tego waszego śledztwa bardzo rozboleła mnie głowa – powiedział z ironiczną miną – i nie mam dzisiaj ochoty na odgrywanie scen z „Komisarza”.

– Następnym razem dostaniesz w prezencie książkę Mroza, a nie Świst – mruknęła Betty, moszcząc się wygodnie po swojej stronie łóżka. – U niego prawie w ogóle nie ma scen seksu. Tak jak ostatnio u nas.

– No, akurat ty nie masz na co narzekać! – Darski wreszcie się uśmiechnął – W tym miesiącu wyrobiliśmy już średnią krajową. Nawet całoroczną. Więc dzisiaj...

– ...strzelasz focha, rozumiem – dokończyła Betty. – W takim razie porozmawiajmy jeszcze chwilę.

– Widzę, że jednak wszelkimi sposobami chcesz mnie zmusić do seksu – powiedział nadal rozbawiony komisarz – bo czuję, że zaraz zaczniesz wywlekać ze mnie to, o czym powinienem milczeć. Zwłaszcza wtedy, kiedy rozmawiam z tobą.

Betty, która miała dokładnie taki zamiar, prychnęła z oburzeniem.

– No, już mi się tu tak nie indorz. – Darski wsunął rękę pod jej głowę, przygarnął ją do ramienia i zaczął gładzić po włosach. – Umówmy się, że masz prawo zadać trzy pytania. Obiecuję, że na nie odpowiem. W zamian ty postarasz się mieć oko na Różę i trzymać ją jak najdalej od tej sprawy. Umowa stoi?

Betty doskonale wiedziała, że nie da rady wykonać tej prośby. Zdziwiła się tylko, że jej narzeczony nie zdaje sobie z tego sprawy. A może właśnie zdawał, tylko chciał pozostać w zgodzie z własnym sumieniem?

– Jasne – powiedziała. – Zrobię, co w mojej mocy. To mogę ci obiecać. Mnie te jej śledztwa i wieczne narażanie się też nie bawią.

– W porządku. Czekam na pytania...

Betty przez chwilę starała się przypomnieć sobie, jakie wątpliwości zapisały na kartce w czasie niedawnej narady. Niestety, pamięć kompletnie odmówiła jej posłuszeństwa i agentka poczuła, że zdana jest tylko na siebie i swój mizerny talent detektywistyczny.

– Światło... – powiedziała to, co pierwsze przyszło jej do głowy. – Udało wam się ustalić, czy zgasło przypadkowo, czy też ktoś przy nim majstrował?

– Ani tak, ani tak – odpowiedział Darski. – Tych kilka minut ciemności było zaplanowane.

– Jak to?!

– Światło miało zostać wygaszone tuż przed początkiem dwóch licytacji,

w tym pierwszej, aby zwrócić uwagę publiczności. Zakładamy, że morderca o tym wiedział. I że zdawał sobie sprawę, iż ma tylko jedną szansę, bo przed drugą licytacją, kiedy mieli zgasić oświetlenie, Lilian nie będzie już na sali. Pierwszą miał prowadzić w pojedynkę ten aktor... Cicho... Coś tam...

– Ciachorowski – odpowiedziała Betty. – Łatwo zapamiętać, bo wygląda jak ciacho.

– To na pewno go wyróżnia w moich oczach – mruknął ironicznie Darski. – Nic innego w życiu nie robię, tylko patrzę, który facet jest przystojny, i od razu go zapamiętuję. Poza tym dla ciebie wszyscy wyglądają jak ciacha. Tak, jak ten chudy picuś, do którego niby jestem podobny. Jak mu tam? Bomber?

– Bomber – sprostowała Betty. – Jak on jest chudy picuś, to nie chcę cię martwić, ale ty też. Wyglądacie jak bliźniacy. Wszystko macie takie same!

– Wszystko? – zaciekawiał się Darski, przybierając dwuznaczny ton. – Ciekawe, skąd to wiesz...

– Widziałam w Internecie – odpowiedziała odruchowo Betty, zanim ugryzła się w język.

Darski zaczął się śmiać.

– Takim sposobem straciłaś moralny mandat, aby wypominać mi zagładanie czasem, podkreślam, bardzo rzadko, na różowe strony – powiedział, kiedy skończył rechotać. – Mamy remis. A przy okazji przypomnij mi potem, żebym ci coś powiedział o Internecie i o świńskich zdjęciach.

– Możemy wrócić do światła? – poprosiła niezadowolona z siebie Betty.

– Owszem – zgodził się Darski. – Wygaszono je dokładnie wtedy, kiedy zakładał scenariusz wieczoru. Sprawdzamy teraz, kto z obecnych na górze go znał. I od razu uprzedzę cię, że jeszcze tego nie wiemy. Drugie pytanie?

– Menadżer Lilian – powiedziała Betty. – Róża dowiedziała się o nim samych złych rzeczy. Najpierw, że jest narkomanem, potem, że to on planował wszystkie świństwa, jakie Lilian robiła ludziom, a na koniec, że robił za jej plecami machloje i za to go zwolniła. To wszystko prawda? Bo jeśli tak, to dla mnie on byłby najbardziej podejrzany.

– Jesteśmy w trakcie prześwietlania go – odpowiedział Darski. – Ale tak, to niezbyt ciekawy typ. Z tego, co nam wiadomo, owszem, ma powiązania ze światem przestępczym. Trzymałbym się od niego z daleka.

Hasło „powiązania ze światem przestępczym” zabrzmiało w uszach Betty obiecująco. W końcu ona też miała tam swojej wtyki. Właściwie jedną, ale za to największego kalibru. Dobrze, w takim razie można nie drażnić tematu, tylko jutro zadzwonić do kogo trzeba. Oczywiście, w tajemnicy przed Krzysztofem, bo czego jak czego, ale tego na pewno by jej nie darował.

– Masz ostatnie pytanie... – ponaglił ją Darski, ziewając – zanim zasnę.

– Narzędzie zbrodni – powiedziała Betty. – Czy wy już wiecie, jak się tam

znalazł ten sztylet i skąd pochodzi? I najważniejsze, co się z nim stało?!

Darski wydał z siebie gniewne prychnięcie.

– Chyba cała Polska już o nim mówi... – stwierdził ze złością. – Tak, wiemy. To nie jest sztylet, tylko ozdobny nóż do papieru. Gadżet. Nic oryginalnego ani jedyne w swoim rodzaju. Masówka wyprodukowana w Chinach na potrzeby kilku sklepów z pamiątkami w Bolonii.

– Dlaczego akurat tam? – zdziwiła się Betty.

– Bo to jest tak zwany sztylet świętego Dyzmy – wyjaśnił Krzysztof, znów ziewając. – Znanego też jako Dobry Łotr. Miejscem jego kultu jest właśnie Bolonia. Powiem ci więcej. Wiemy nawet, do kogo należał.

– Żartujesz?! – Betty poczuła się zaskoczona. – Przecież to kluczowa sprawa!

– Niekoniecznie – zaprzeczył Krzysztof. – Ważna, owszem, ale nie kluczowa, zważywszy na to, że sztylet przywiozła kilka miesięcy temu z wakacji sama Lilian.

Choć Krzysztof nie mógł tego zobaczyć, Betty miała tak zdziwiony wyraz twarzy jak chyba jeszcze nigdy w życiu.

– To był jej sztylet?! – zapytała osłupiała. – I ona go ze sobą przyniosła na bal?

– Tego akurat nie wiemy – wyjaśnił Krzysztof. – Ustaliliśmy tylko to, że będąc w Bolonii, Lilian kupiła go na pamiątkę i że jeszcze dwa tygodnie temu na pewno ten sztylet, albo identycznie wyglądający, leżał u niej w salonie w gablotce. Zeznał to jej menadżer. Została jeszcze gosposia, ale ona będzie u nas jutro, bo miała zabieg i z rana wychodzi dopiero ze szpitala. Ma być się stawić na komendzie koło południa. Teraz sprawdzamy, co się działo z tym sztyletem. I kto go nam rąbnął. Czy ja już mogę iść spać?

– Miałaś mi jeszcze coś powiedzieć o świńskich zdjęciach – przypomniała Betty, czując, jak i ją z wolna ogarnia senność.

– Aaaaa, tak... – Krzysztof trochę się rozbudził, przestał gładzić ją po włosach i położył swoją rękę wzdłuż jej boku, tym razem delikatnie pieszcząc jej pośladek, co mogło wskazywać, że mimo senności niekoniecznie zaraz pójda spać. – Ten dziennikarz, Bartosz Wieteska, to niezły zboczuć. Wieczorami zabawiał się w robienie pornograficznych kolaży z Lilian. Dolepiał jej twarz do fotek z pornoli i publikował na stronie jakiegoś amerykańskiego płatnego portalu. Miał z tego niezły dochód. Lilian jakimś cudem dowiedziała się, że to on jest autorem tych fałszywek i tego wieczoru zagroziła, że poda go za to do sądu i sprawę upubliczni już następnego dnia.

– Kiedy on jako jeden z nielicznych nie miał jak jej zabić!

– Ano właśnie... – Darski odwrócił się twarzą do swojej ukochanej. – Dlatego mówię ci to tylko jako ciekawostkę. Myślę, że jeszcze sporo takich

odkryjemy przy okazji tego śledztwa. To co robimy..?

– Podobno bolała cię głowa... – przypomniała Betty. – I wyrobiliśmy średnią...

– Ale tylko polską – powiedział Darski, całując ją w ramię. – Wiesz, ile nam jeszcze brakuje do Francuzów? Albo Włochów? Chyba nie chcemy być gorsi od jakichś żabjadów albo makaroniarzy...

– Zdecydowanie nie chcemy... – szepnęła Betty, powoli zsuwając z nich kołdrę.

Chwilę potem oboje zapomnieli o śledztwie, sztyletach, stronach internetowych i całym świecie.

ROZDZIAŁ XV

SZTYLET BORGIOŃ

Pepe z oszołomieniem rozglądał się po pokoju, do którego został zaproszony, zastanawiając się kolejny raz w duchu, czemu daje się Róży zrobić w takie hece jak ta. Były agent pisarki uchodził za wyjątkowo spokojnego i opanowanego, a przy okazji też przesympatycznego młodzieńca, i tylko kilka osób na świecie wiedziało, że pod maską człowieka potrafiącego w każdej sytuacji zachować zimną krew, ukrywa tonę nerwów, niepewności i nieśmiałości. Współpraca z Różą nauczyła go chować swoje uczucia i przemyślenia jeszcze głębiej, niż to miał w zwyczaju, zanim ją poznał. Dzięki temu nawet powieka mu nie drgała, gdy jego pracodawczyni w histerii po przeczytaniu jakiejś kolejnej niepoohlebnej recenzji wręczała mu czarne pudełko z poleceniem, aby autorce albo autorowi opinii wysłał w nim, wzorem włoskiej mafii, zdechłą rybę. Tym bardziej że we wskazanym przez nią opakowaniu zmieściłyby się jedynie szprotki, ewentualnie niewielki śledzik. Ze stoickim spokojem przyjmował też wybuchające co jakiś czas afery i awantury w światku literackim, po których Krull zadawała mu

pytanie, czy nie zna kogoś, kto mógłby jej użyczyć pistoletu, ewentualnie czy sam nie usunąłby z tego padółu osoby, która jej podpadła. Doskonale wiedział, że furia Róży potrafi błyskawicznie dojść do zenitu, aby potem jej emocje w jeszcze szybszym tempie wróciły do właściwego poziomu. Poza tym znał pisarkę na tyle dobrze, żeby być pewnym, iż jest ona dobrym człowiekiem i ma wielkie serce, tyle że czasem mówi i robi coś szybciej, niż pomyśli, a opanowanie nie jest jej mocną stroną. Ostatnio jednak Krull zdawała się bić rekordy – z jednej strony głupoty, z drugiej jakiejś graniczącej z szaleństwem odwagi. Faktem jest, że w ciągu kilku miesięcy trafiło jej się parę zagadek kryminalnych, ale po co od razu próbować je samu rozwikływać, narażając przy tym życie i swoje, i swoich współpracowników? Jeszcze trudniej było mu znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego sam za każdym razem daje jej się wciągnąć w te kretynizmy. Tak jak teraz. Ledwo dwa dni temu dał sobie uroczyste słowo honoru, że tym razem będzie się trzymał z daleka od sprawy śmierci Lilian, a już stoi w pokoju jej gitarzysty, przypominającym... jak to właściwie nazwać... zbrojownię? Muzeum starej broni? Rekwizytornię serialu „Korona królów”?

– Sorki, że musiałeś tyle czekać. – Marcin Mojek wszedł do pokoju, niosąc w rękach dwie butelki z piwem. Pepe nie cierpiał tego trunku, ale wolał nie odmawiać. – Więc co to za interes?

– Otwieram niebawem kawiarnię – wyjaśnił Pepe. – To ma być nie tylko miejsce, gdzie będzie można zjeść coś na słodko i napić się czegoś dobrego, ale też urządzić tam jakieś wydarzenie artystyczne, wieczorek literacki, jam session... Będziemy mieli miejsce na estradę, odpowiednie oświetlenie, nagłośnienie.

– Git. – Marcin pociągnął łyk piwa. – Brakuje takich miejsc w stolicy. Jak jedziesz do Berlina czy Paryża, to masz ich pełno w każdej dzielnicy, a tu chujówka, bracie. Niby europejskie miasto, a kulturalnie jak zapadła dziura na Białorusi. Super pomysł!

– No właśnie – potwierdził skrzętnie Pepe, który co prawda niczego podobnego nie planował urządzić w swoim lokalu, ale teraz zaczął się zastanawiać, czy oby nie powinien patriotycznie o tym pomyśleć. W końcu co ma jego rodzinne miasto być gorsze niż inne stolice? – I tak się zastanawiałem, czy może nie zagrałby pan, to znaczy nie zagrałbyś z kumplami na imprezie z okazji otwarcia kawiarni. Wiem, że masz swoją kapelę.

– Tak? – zdziwił się Marcin. – A skąd?

– Znalazłem w Internecie filmki z waszej próby – powiedział Pepe, nie dodając, że tak naprawdę odkrywcą pliku była Róża, która spędziła kilka godzin, szukając wszystkiego na temat Mojka i zagłębiając się w sieci tak głęboko, że lada moment dotarłyby do kulisów afery Watergate i odkryła dowody na to, że w strefie 51 przetrzymuje się kosmitów. – Sprzed paru lat, ale mam nadzieję, że ciągle gracie razem. Super, i klimat, i brzmienie. Byłem pod wrażeniem.

– No tak, stare dzieje – uśmiechnął się Marcin. – Nawet nie wiedziałem, że są jeszcze jakieś ślady tego w necie...

– Wpadłem na to przez przypadek – wyjaśnił Pepe, wykorzystując, że gitarzysta patrzy w inną stronę i wylewając pół zawartości swojej butelki do doniczki z kaktusem. – Ponoć w sieci nic nie ginie.

– Też tak słyszałem – potwierdził Marcin, wracając do niego wzrokiem. – Już od kilku miesięcy nie widziałem się z chłopakami. Występy z Martą, a potem jeszcze granie z Lilian. Nie miałem czasu na nic więcej. Zwłaszcza Lilian potrafiła zająć człowieka od rana do wieczora.

„A nawet i w nocy”, pomyślał Pepe złośliwie, pomny historii o filmie porno, którą Róża już zdążyła się z nim podzielić.

– Ale oczywiście teraz pewnie znowu zaczniemy grać – kontynuował Mojek – więc nie widzę żadnych przeszkód, żeby przyjąć zaproszenie. Tym bardziej że kasa zawsze się przyda. Bo mam nadzieję, że nie oczekujesz, że zagramy za friko albo filiżankę kawy i kawałek ciasta?

– Oczywiście, że nie – zapewnił Pepe. – Lubię uczciwe rozliczenia i jasne sytuacje. Na pewno się dogadamy.

– To dobrze, bo być może będę potrzebował teraz sporo kasy – Marcin dopił piwo – więc niczym nie pogardzę...

– Być może? – uśmiechnął się Pepe. – Myślałem, że kasa przydaje się zawsze.

– Owszem, są jednak takie sytuacje, kiedy przydaje się bardziej – odpowiedział wymijająco Marcin. – Ale chcę też być fair i o honorarium pogadamy, jak już będę po słowie z kumplami z kapeli.

– Znakomicie! – Pepe wstał i podszedł do jednego z rekwizytów, wyglądającego jak widelec do ślimaków z ogromnie wydłużonym środkowym zębem. – Dziękuję, że zgodziłeś się spotkać i pogadać oko w oko. Nie lubię załatwiać takich spraw przez telefon. Zawsze, jak się kogoś pozna osobiście, to potem rozmowy idą łatwiej. Poza tym nie zobaczyłbym twojej kolekcji. Fascynująca! Co to właściwie jest?

– Miniatura łamacza mieczy – poinformował go z dumą w głosie Marcin. – W piwnicy mam jeden oryginalny z XV wieku. Wymyślono je pod koniec średniowiecza. Mogłeś nim zadać cios albo w łatwy sposób przejąć kontrolę nad mieczem przeciwnika i całkowicie go zniszczyć. W sensie złamać.

– Muzyk i rycerz, cóż za niespotykane połączenie! – uśmiechnął się Pepe.

– To moja mania – Marcin najwyraźniej zapalił się do tematu. – Zaczęłem się fascynować średniowieczną bronią jeszcze jako nastolatek. Czasem biorę udział w inscenizacjach bitew. Kilka razy walczyłem już pod Grunwaldem i Cedynią. Niezła jazda! O, popatrz na to – wskazał Pepe jedną z zawieszonych na ścianie okazałych tarczy z dziwacznym wystającym szpikulcem. – To jest coś, na co

wydałem swoje pierwsze honorarium za tygodniową trasę koncertową z Martą Raj. Też niecodzienny przedmiot. Każdy wie, że tarcza służyła głównie do obrony. Ale nie ta! Ta jest, jakbyśmy to dzisiaj nazwali, wielofunkcyjna. Widzisz tam z boku uchwyty? Mogłeś dzięki nim przymocować kilka ostrzy, a tam na górze cały miecz. Ten otwór na środku też nie jest przypadkowy i nie powstał w wyniku uszkodzenia. Nazywano go latarnią. Służył do tego, aby obserwować ruchy wroga. Mogłeś zaatakować go mieczem albo jednym z kolców, nie tracąc przy tym ochrony. Podniecająca rzecz!

Pepe nie skomentował niezbyt jego zdaniem pasującego do sytuacji przymiotnika „podniecający”, wychodząc z założenia, że skoro jego samego może podniecać idealnie zluzowana kaczka albo kawa wydobywana z odchodów łaskuna, to innych ma prawo przyprowadzić o to samo uczucie zbutwiała decha. Zamyślony podszedł do stojącego w rogu przeszklonego regału.

– Sztylety... – powiedział z podziwem. – Ile ich tu jest?

– Od dawna już nie liczyłem, ale myślę, że ze sto, może nawet sto pięćdziesiąt...

– I wszystkie sprzed kilkuset lat? Musiałeś wydać na nie majątek...

– Tylko na niektóre – przyznał Marcin. – Ale prawie każdy i tak jest wart o wiele więcej, niż zapłaciłem. Kilkadziesiąt to prawdziwe rarytasy. Choć kilka udało mi się kupić na jakichś pchlich targach za grosze. O, na przykład ten – wyciągnął z regału niewielkich rozmiarów nóż z czarną rękojeścią zwieńczoną połyskliwym dużym, mieniącym się złotą barwą kamieniem. – Kupiłem go za trzydzieści euro parę miesięcy temu, jak byłem na wakacjach we Włoszech. Kręciliśmy wtedy teledysk z Lilian, a potem zostaliśmy na kilka dni już prywatnie. Utargowałem z pięćdziesięciu. Pamiętam, że Lilian się wtedy ze mnie śmiała, że kupuję jakieś zardzewiałe żelastwo, a ona nówki sztuki, i to w komplecie. I płaci mniej ode mnie. Jeden taki badziew mi nawet podarowała, ale gdzieś mi się zagubił. Szkoda, bo pokazałbym ci, jaka jest różnica między czymś, co jest tylko stylizowane na starość, a prawdziwym dziełem sztuki. Takim jak ten. Przyjechałem, oddałem go do czyszczenia, a potem pokazałem kilku zaprzyjaźnionym specom. Myślę, że sprzedawca nie zdawał sobie sprawy z tego, czym handluje. To sztylet z XV wieku, autentyk, nie kopia, srebrny, z drewnianą rękojeścią, opłotem ze skóry i prawdziwym bursztynem. Wart pewnie z kilkaset, o ile nie kilka tysięcy euro. Widzisz grawerę pod miejscem, gdzie ostrze łączy się z rękojeścią. Byk, symbol rodziny Borgiów.

– Borgiowie używali bursztynu? – zdziwił się Pepe, z niesmakiem myśląc o brakach w swojej wiedzy.

– Oczywiście, że tak! Do wszystkiego. Do sztyletów, biżuterii, leczniczych nalewek, a nawet do czarnej magii. W tamtych czasach wierzono, że jeśli położysz bursztyn na piersi śpiącej ukochanej osoby, to sprawi, że po przebudzeniu wyjawi

ci wszystkie swoje złe uczynki. Nadworny lekarz Borgiów, przy okazji też astrolog i astronom, Camillo Leonardi napisał o tym całą rozprawę...

– Widzę, że naprawdę cię to fascynuje – powiedział z niekłamanym podziwem Pepe, wpatrując się zafascynowanym wzrokiem w domniemaną własność jednego z najkrwawszych rodów w historii Włoch. – Aż strach pomyśleć, do czego mógł być kiedyś użyty taki sztylet...

– Kiedyś, dzisiaj... – mruknął Mojek. – Musisz następnym razem wpaść na dłużej, to zabiorę cię na dół. W piwnicy mam znacznie bardziej spektakularne zbiory. O ile, oczywiście, jesteś zainteresowany. Moja mania niekoniecznie musi fascynować innych...

– Z miłą chęcią – powiedział Pepe, poprzysięgając sobie w duchu, że jego noga więcej nie przestąpi progu marcinowego domu. Pożegnał się i wolnym krokiem udał do samochodu. Dopiero tam wyciągnął komórkę i zadzwonił do Róży.

Marcin odprowadził go wzrokiem, a następnie, wciąż trzymając w lewej dłoni sztylet Borgiów, prawą otworzył swojego laptopa. Po chwili wywołał wyszukiwarkę Google i wpisał do niej słowa „Paweł Kwiatek”. Przez chwilę uważnie czytał wyniki wyszukiwań, a potem kliknął na zakładkę „Grafika”. Już pierwsze wyświetlone zdjęcie pokazało mu postać Pepe, idącego w czasie jakiejś uroczystej (na co wskazywał czerwony dywan) gali pod rękę z Różą Krull. Marcin na chwilę zmrużył oczy, w pamięci wracając do przedwczorajszego wieczoru.

– Co za skurwiel... – mruknął cicho pod nosem i z całej siły wbił trzymany w rękę sztylet w biurko.

ROZDZIAŁ XVI

PISK OPON

Wieść o śmierci księdza Augustyna dotarła do Cecylii, kiedy ta była już u Róży, i sprawiła, że starsza pani z miejsca stłukła trzymany w ręku ozdobny grecki talerzyk, potem dwa wkładane do zmywarki kryształowe kieliszki, a na koniec karafkę, w której pisarka trzymała zawsze swój ulubiony sok pomarańczowy. O ile karafka była prezentem gwiazdkowym od jednej ze skąpych ciotek, która – jak podejrzewała pisarka – znalazła ją najpewniej na śmietniku, o tyle reszty było jej szkoda. Przerażona tym, że do wieczora roztrzęsiona gosposia gotowa jest wytłuc całą posiadaną przez nią zastawę szklaną, dała jej wolne, tłumacząc, że i tak będzie jadła na mieście, gdzie miała zaplanowane spotkania, najpierw z Bartoszem Wieteską, potem z Rafałem Wątłym, i do domu wróci późnym wieczorem.

– Co właściwie stało się z księdzem, że zmarł? – zapytała, kiedy Cecylia zakładała płaszcz i kozaki. – Chyba był młody, z tego, co pamiętam...

– Spadł ze schodów – odpowiedziała gosposia ze łzami w oczach. – Z rana

znalazła go sprzątaczką i o mało co sama na ten widok nie zeszła z tego świata. Takie nieszczęście, mówię pani, pani Różyczko. Toż to wielebny był w pani wieku, zdrowy, tryskający pogodą ducha. Te schody to tam specjalnie zbudowali takie, że się same prosiły o nieszczęście. Ja się ich bałam! Ile razy trzeba było po coś podejść do pokoju księdza, to go prosiłam, żeby sam mi to zniósł. Przeczucie miałam! Święty Symeon mnie strzegł, on zawsze opiekę nad starszymi ludźmi sprawuje. Ile razy mówiliśmy wszyscy proboszczowi, żeby uważał. Niech go święta mała Tereska ma w swojej opiece...

Róża już nawet nie dociekała, dlaczego o losy polskiego księdza w zaświatach ma dbać patronka Francji, tylko pożegnała Cecylię i sama też zaczęła się szykować na spotkania.

Starsza pani, podobnie jak pisarka, mieszkała w Śródmieściu, między Placem Konstytucji a Halą Koszyki. Tę ostatnią kiedyś uwielbiała. Robiła w niej zakupy spożywcze, przy okazji od czasu do czasu kupując jakąś książkę, bo mieściła się tam też księgarnia, w której można było za parę złotych znaleźć prawdziwe literackie perełki. Kilka lat temu stary budynek Koszyków został jednak zburzony. W jego miejsce wybudowano nowy, jej zdaniem o wiele brzydszy, a w nim zrobiono raj dla hippisterów, czy jak tam się ta dziwaczna, rozpasana młodzież tytułowała. Cecylia nigdy nie mogła zapamiętać tej nazwy. Wystrój w środku może by jeszcze i uszedł, ale od cen w nowych sklepach starszej pani robiło się słabo w dołku i ciemno w oczach, więc gwoździ swojej zdrowotności na wszelki wypadek w ogóle przestała tam zaglądać.

Z reguły jesienią i zimą dwukilometrową odległość między mieszkaniem Róży, znajdującym się vis-à-vis Sali Kongresowej, a swoim Cecylia przemierzała autobusem. Jednak ten dzień był wyjątkowo ładny. Nie padało, nie było wiatru, a zza jasnych chmur co rusz wychodziło słońce. Starsza pani czując, że zaczyna się pocić, rozpięła płaszcz i poczuła, iż ma ochotę na spacer. Wolnym krokiem przeszła wzdłuż Złotych Tarasów, potem hotelu Marriott i dalej ulicą Emilii Plater. Była już na wysokości Wspólnej, kiedy nagle doznała wrażenia, że ktoś ją śledzi. Była prawie pewna, że kiedy szła obok zatoczki przy przystanku autobusowym naprzeciw domu Róży, ruszył za nią granatowy samochód. Teraz też jechał kilka metrów za nią, ani przez moment jej nie wyprzedzając. „Przez te wszystkie morderstwa Różyczki już głupiejesz”, powiedziała do siebie w myślach, ale w sercu czuła narastający niepokój. Na wszelki wypadek przyspieszyła kroku tak, aby znaleźć się blisko grupki idącej przed nią rozwrzeszczanej, kolorowej młodzieży. Choć z reguły jak ognia bała się takich młodych ludzi, zwłaszcza tych wygolonych jak kryminaliści, to teraz wydali jej się oni mniejszym złem. Nastolatki najwyraźniej jednak szli do pobliskiego liceum Hoffmanowej, bo po kilkudziesięciu metrach skręcili w Hożą i udali się w stronę gmachu tej szkoły. Cecylia przez chwilę wahala się, czy dalej nie iść za nimi, ale wygrało u niej

racjonalne myślenie. Na szczęście o tej porze na ulicy Emilii Plater panował jako taki ruch. Starsza pani czym prędzej dołączyła do kolejnej, tym razem tylko trzyosobowej grupki i szła za nią krok w krok aż do Koszyków. Stąd miała już tylko kilkadziesiąt metrów do swojego mieszkania. Nie bacząc na to, że ostatnio dostawała zadyszki i stanu przedzawałowego za każdym razem, gdy wchodziła po schodach na swoje drugie piętro, Cecylia przyspieszyła kroku, a ostatnie metry pokonała wręcz tak zwanym świńskim truchtem. Kiedy dopadła do drzwi wejściowych na swoją klatkę, czuła, jak od wysiłku mgła zachodzi jej na oczy i nogi miękną, jakby były z waty. Drżącymi palcami wystukała kod w domofonie i dopiero, kiedy zamknęła za sobą drzwi, odetchnęła z ulgą. Nie mogąc się zdecydować, do którego ze świętych powinna czym prędzej skierować dziękczynną modlitwę, patrona biegaczy Krzysztofa czy też raczej patrona lekkoatletów Huberta, powoli zaczęła pokonywać kolejne stopnie. Że też w tych powojennych kamienicach nie montowano wind! Posapując, weszła na drugie piętro, zrobiła kilka kroków w stronę drzwi do swojego mieszkania i nagle zamarła w bezruchu. W jej mieszkaniu ktoś był! Ba! Nawet nie zadał sobie trudu, aby zachować ciszę. Łaził, czymś zgrzytał i pogwizdywał. Bandyta! I to, oceniając po tym, jak fałszował „Zielono mi”, całkowicie głuchy! Cecylia jeszcze chwilę stała w bezruchu. Myśl, że mogłaby wezwać policję albo zapukać do sąsiadów, w ogóle nie zaświtała jej w głowie. Na ogół łagodna jak baranek starsza pani nagle poczuła, jak rodzi się w niej mściwa furia. Najpierw jakiś nie wiadomo kto zmusza ją, żeby wykonywała biegi maratońskie ulicami stolicy, a teraz jakiś inny drab włamuje jej się do mieszkania. O, nie! Ona nie będzie zastraszoną ofiarą! W końcu jej matka była łączniczką w czasie wojny i kiedyś zabiła jednego hitlerowca, a przynajmniej tak się chwaliła każdego 1 września. A ona sama przetrwała komunizm, Balcerowicza i gender. Żaden pierwszy lepszy nie będzie jej się tu bezkarnie włamywał! Przez chwilę Cecylia pomyślała o duchowym aspekcie samodzielnego rozprawienia się z bandytą. Szybko jednak przypomniała sobie o świętej Oldze, księżnej Kijowa, która zanim się nawróciła, wyrznęła w pień kilka tysięcy osób, kiedy zaś plemię Drewlan zabiło jej męża, zaprosiła ich poselstwo i najpierw je ugościła na wystawnej uczcie, a potem wszystkich zakopała żywcem. Skoro ktoś taki został świętą, to chyba i jej wolno teraz zrobić coś złego jakiemuś zbirowi. Pomna tego, że od tygodnia o świcie budzą ją hurgoty, bo w jej bloku wymieniana jest instalacja elektryczna i wykonujący remont robotnicy, nie wiedzieć czemu, zaczynają pracę o szóstej rano, a o dziewiątej nie zostaje po nich nawet wspomnienie, Cecylia rozejrzała się po klatce za jakimś ciężkim narzędziem. Nie musiała szukać długo. Po chwili wpadły jej w oko porzucone w kącie potężny młotek i dłuto. To ostatnie nie wydało się co prawda starszej pani ani zbyt poręczne, ani groźne, ale z młotkiem można było już coś zdziałać. Ująwszy go w dłoń, delikatnie nacisnęła na klamkę. Drzwi nie były zamknięte i z miejsca się

uchyliły, tworząc małą szparę. Dźwięk hitu Andrzeja Dąbrowskiego dobiegł uszu starszej pani zdecydowanie wyraźniej. „Zaraz ci będzie, gadzie, czerwono, a nie zielono”, pomyślała mściwie gospoia Róży. Pchnęła drzwi mocniej, jednocześnie unosząc młotek do góry. W przedsionku jej mieszkania pojawił się cień. Z wolna zbliżał się do niej. Pogwizdywanie ucichło. Cecylia podniosła młotek tak wysoko, jak tylko mogła, i kierując rękę odrobinę do tyłu, wzięła rozmach... Dwa przerażające krzyki przeszły ciszę w jednym momencie. Tym samym, w którym starsza pani zobaczyła, kto przed nią stoi. W ostatniej chwili zdołała zmienić kierunek uderzenia tak, że młotek zamiast trafić w czaszkę, przeleciał tuż przed nosem znajdującej się vis-à-vis niej przerażonej osoby.

– Czy ty tak witasz każdego swojego gościa? – zapytała z przerażeniem jej przyjaciółka Halinka, kiedy już obie się uspokoiły i na wszelki wypadek chlapnęły sobie po kieliszku nalewki „na nerwy”, którą gospoia Krull regularnie przywoziła od swojej starszej siostry, mieszkającej w małej mieścinie nazywanej się Miasteczko i słynnej z tego, że jedna z polskich pisarek umieściła tam akcję swojej bestsellerowej powieści „Pracownia dobrych myśli”. – Czy tylko wybranych? Jeśli nie chcesz się już ze mną przyjaźnić, to możesz mi to po prostu powiedzieć. Nie musisz mnie od razu zabijać...

– Nerwy mam od pracy u tej kryminalistki zszargane – wyjaśniła przepraszającym tonem Cecylia. – Ona albo pisze o morderstwach, albo się w nie wplątuje. Już nie mam do tego wszystkiego siły. A ty też jesteś dobra! Nic nie powiesz, tylko się włamujesz...

– Nie włamuję się, bo sama mi dałaś klucze – przypomniała Halina. – Tysiąc razy mi mówiłaś, że masz zepsuty kran w kuchni, więc ci kupiłam nowy i właśnie go montowałam, kiedy wpadłaś tu jak jakaś pomyłona Anita Włodarczyk...

– Ona rzuca młotem – sprostowała Cecylia – a ja tylko chciałam cię nim walnąć po łbie...

– Cóż za ulga – westchnęła Halina – jakbyś rzuciła, to faktycznie mogłoby być ze mną kiepsko. Tak czy siak, kran masz nowy i już nic nie cieknie. Chciałam ci zrobić niespodziankę. A teraz opowiadaj mi, co tam nowego u tej twojej zbzikowanej szefowej ...

Cecylia przyzwyczała się już do tego, że dzięki pracy u jednej z najbardziej znanych polskich pisarek z miejsca stała się nie lada atrakcją dla swoich kumoszek, oczekujących od niej wiecznie coraz to bardziej ekscytujących historii z Różą w roli głównej. Aby ich nie zawieść, starsza pani z reguły zmyślała tyle, na ile tylko starczało jej fantazji, zatajając skrzętnie fakt, że jej pracodawczyni z reguły całymi dniami siedzi przed komputerem i żłopie litry herbaty. Gdyby Róża przeżyła co najmniej połowę tego, o czym opowiadała jej gospoia, z pewnością miałyby bardziej intensywne i interesujące życie niż Mata Hari, Krystyna Skarbek i Josephine Baker razem wzięte. Po każdej takiej wymyślonej historii Cecylia

w ramach pokuty za kłamstwa odmawiała co prawda coraz dłuższe modlitwy, ale jej przyjaciółki zawsze wychodziły od niej z wypiekami na twarzy. Na szczęście teraz jednak gosposia Krull nie musiała wiele zmyślać, bo też i ostatnie wydarzenia należały do wyjątkowo interesujących. Zanim się obejrzały, minęła godzina i Halina przypomniała sobie, że powinna lecieć do domu, aby przygotować obiad dla wnuczka, który miał dzisiaj trafić pod jej opiekę po lekcjach. Ponieważ, jak to często bywa jesienią, w czasie ich rozmowy sytuacja za oknem uległa radykalnej zmianie i teraz nie dość, że zaczęło padać, to jeszcze dał jakiś huragan, Cecylia użyczyła jej swojego płaszcza, tego samego, który miała na sobie rano. Pasował idealnie, bo obie miały dość podobne figury, w dodatku wykonany był z nieprzemakalnego materiału i posiadał kaptur. Ucałowała Halinkę na pożegnanie, zamknęła za nią drzwi i poszła do kuchni, aby też zrobić sobie jakiś posiłek. Jako że nastawiła się na to, iż zje razem z Różą, nie miała wiele w lodówce. Dumiała właśnie, czy ze śmietany, dwóch parówek, jajek i żółtego sera da się wykonać fałszowaną trochę carbonarę, kiedy nagle zza okna dobiegł ją pisk opon i, najpierw natężony, a potem szybko zanikający, warkot silnika samochodowego. Przez chwilę panowała cisza, po czym rozległy się krzyki ludzi. Starsza pani szybkim krokiem wyszła na balkon. Zacinający deszcz uderzył ją w twarz, sprawiając, że odruchowo zamknęła oczy. Po kilku sekundach wiatr zmienił nieco kierunek. Cecylia z wolna uniosła powieki. To, co zobaczyła, docierało do niej bardzo powoli. Nie, to nie mogła być prawda..!

A jednak.

Częściowo na jezdni, częściowo na chodniku, otoczona coraz większą ilością ludzi, w dziwnie nienaturalnej pozie leżała osoba, ubrana w doskonale znany jej płaszcz. Halina!

Starsza pani poczuła, jak robi jej się słabo. Chwyciła mocno balustradę balkonu, czując, że choć powinna czym prędzej pobiec na miejsce wypadku, nie ma na to siły. W tym samym momencie usłyszała gdzieś w oddali syrenę karetki pogotowia ratunkowego.

ROZDZIAŁ XVII

NA KŁOPOTY TYGRYS

Jeden z bossów świata przestępczego, znany policji i swoim podwładnym pod pseudonimem Tygrys Złocisty, z niewiadomych przyczyn od wielu lat miał ogromną słabość do Betty. Poznali się kiedyś za sprawą jednego z byłych narzeczonych agentki, który z Tygrysem chodził do liceum, i spędzili wszyscy razem rozrywkowy wieczór w zamkniętej już od dawna restauracji „Caryca Katarzyna”, w którym to lokalu Betty była jedną z nielicznych kobiet nieproponujących nikomu „szybkiego numerka” za kasę, nieumiejących tańczyć na rurze i noszących biustonosz. Na szczęście sympatia, jaką zapałał do niej mafiozo, była natury czysto platonicznej i wynikała – jak się jej zwierzył – z faktu, że przypominała mu jego starszą siostrę, która na swoją osiemnastkę „wypiła denaturat i odwalila kitę”. Choć Betty nie umiała rozstrzygnąć, czy na pewno jest to komplement, szybko przekonała się, jak przydatna jest znajomość z Tygrysem. W przeszłości już kilka razy korzystała z jego pomocy, a teraz miała nadzieję na kolejną przysługę.

– No, co też ty, biedroneczko siedmiokropczasta, opowiadasz? – Zwalisty, ubrany jak zawsze w dres, wygolony na zero i czerwony na twarzy Tygrys słynął z tego, że prawie w ogóle nie kłął, mówił zawsze przyciszonym głosem i lubował się z zoologicznych porównaniach. – Jak się niby ten menago nazywa?

– Jakub Kwieciński – odpowiedziała Betty, nie próbując nawet dociec, skąd jej rozmówcy wzięło się porównanie do biedronki. Jej zdaniem i tak było ono lepsze niż określenia „moja ty foczko grenlandzka” oraz „żabeczko dalmatyńska”, którym została przez niego potraktowana w czasie ich poprzedniego spotkania. – Zanim został menadżerem Lilian, pracował jako organizator koncertów w Starmanii i barman w barze „Szpilka”.

– Nie znam. – Tygrys pokręcił głową, jednocześnie obracając w palcach zawieszony na szyi gruby srebrny łańcuch, który jeszcze w czasie ich ostatniej rozmowy zwisał mu swobodnie, a teraz prawie że go dusił – albo nie kojarzę. Ale czego to wujcio Tygrysek nie robi dla swojej myszki polnej... – Wyciągnął telefon, mruknął do niego imię i nazwisko menadżera Lilian oraz miejsca jego pracy, po czym się rozłączył.

– No, a co tam u ciebie? – zapytał, pstrykając palcami na kelnera, który po kilkunastu sekundach postawił przed nimi dwa kieliszki z jakimś niebieskim płynem. Betty z całego serca miała nadzieję, że nie jest to denaturat, po wypiciu którego z miejsca dołączy do siostry mafioza w zastępach niebieskich. Czy też raczej piekielnych. – Nadal prowadzasz się z tym lalusiowatym komisarzem?

– Owszem. I wcale nie jest lalusiowaty...

– No, prawdziwy chłop to z niego też nie jest. – Nalaną twarz Tygrysa rozjaśnił uśmiech. – Jakbyś pozwoliła, to by cię wujek dobrze wydał za męża. Stać by cię było i na apartament w „Metropolitanie”, i na wakacje na Bahamach, i zakupy w „Vitkacu”...

– I skończyłabym jak Słowikowa – podsumowała Betty, odwzajemniając uśmiech. – Dziękuję, nie skorzystam. Wiem, że nie mam dużego mieszkania, ale i tak jest lepsze od celi więziennej. Poza tym kocham Krzysztofa.

– Ja tam żadnej baby bym już nie pokochał – Tygrys popatrzył na nią z politowaniem. – Wszystko to tylko chemia. Najpierw wielka miłość, a po kilku latach masz ochotę tego kogoś zabić. Wszystkie moje były... – Mafiozo skosztował trochę niebieskiej cieczy, a Betty nastawiła się duchowo, że dalszy ciąg tego zdania będzie brzmiał: „leżą na dnie Wisły” – ... to wredne, pazerne sucze, co do jednej – dokończył Tygrys. – A na początku wszystkie je kochałem. Teraz już nikogo nie kocham, z wyjątkiem mojej małej kruszynki.

Betty wiedziała, że gangster ma na myśli swoją kilkunastoletnią córeczkę, choć nijak nie mogła zestawić ze słowami „mała kruszynka” dziewczynki, która – będąc wierną kopią swojego taty – wyglądała jak mała zawodniczka sumo. Starając się wszelkimi siłami nie okazać nietaktownej wesołości, sięgnęła po kieliszek

i skosztowała odrobinę jego zawartości. Nie był to co prawda denaturat, ale i tak Betty poczuła, że jeśli wypije całość, to umrze. Ona albo jej żołądek.

– O, zaraz wszystko będziemy wiedzieli. – Tygrys odebrał połączenie i przez chwilę uważnie słuchał słów dobiegających z telefonu, po czym bez słowa się rozłączył. – Już wujcio wszystko wie, kukuleczko berneńska. Ten menago to niezły ladaco. Mamy go na celowniku.

Betty posłała mu pytające spojrzenie.

– Chłopiec lubi sobie dać w żyłę – wyjaśnił mafiozo – a i wciągnięciem czegoś nosem albo otworem gębowym nie pogardzi. Wszechstronny, można powiedzieć. Kiedyś bardzo ładnie wywiązywał się z barteru, który mu zaproponowaliśmy, ale ostatnio zaczął ściemniać. I interesów już się z nim tak dobrze nie robi...

„Czyli Marta i Ewelina miały co do niego rację”, pomyślała Betty, a głośno zapytała:

– Jakich interesów?

– No, przepisał kolega trochę lewej kasy na boku. Miał do tego znakomite warunki dzięki tej swojej śpiewającej lali, co to teraz jest gwiazdą kostnicy. Tu wystawił lipną umowę, tam wypłacił kilka honorariów pod stołem. I to bynajmniej nie na małe kwoty. Nieźle tam zarabiacie w tym showbiznesie...

– Literatura to nie showbiznes – pouczyła go Betty. – To sztuka. Wyższa kultura!

– Dobrze, dobrze, nie obruszaj się tak, perliczko niebieska. Wiesz, że wujcio ma szacunek do sztuki – udobruchał ją Tygrys. – Sam nawet ją czasem sponsoruje.

– Serio? – zdziwiła się Betty, pierwszy raz słysząc o takiej działalności swojego znajomego i nijak nie potrafiąc go sobie wyobrazić w roli współczesnego odpowiednika rzymskiego Mecenasasa.

– No, a jak?! – powiedział Tygrys z uśmiechem. – Połowa peep-showów w tym kraju działa dzięki wujciowi. Zrobić dobry striptiz to dopiero jest prawdziwa sztuka! A wracając do tego twojego menago. Dobry z niego był początkowo klient, więc dostał co nieco na kredyt. Raz, drugi, trzeci... Ale kasy ciągle nie zwracał, więc go chłopcy odwiedzili kilka razy z ostrzeżeniem. Ponieważ nie posłuchał, przestaliśmy żartować. Dostał termin do końca miesiąca, a potem... – zawiesił głos.

– Co potem? – zapytała Betty.

– Najpierw musiałby poszukać sobie dobrego protetyka – dokończył Tygrys. – Następnie ortopedy, a na koniec... Sama wiesz. Ale to już przeszłość...

– Co masz na myśli?

– Wczoraj dał znać chłopakom, że sytuacja się zmieniła i będzie w stanie spłacić wszystkie długi – powiedział Tygrys. – Podobno ta jego martwa lala miała w testamencie zapisane, że jeśli zejdzie z tego łóżka, to zapisuje mu nie tylko

cały swój majątek, ale też prawa autorskie do przebojów. Wiesz, ile to jest warte...

– Nie – Betty pokręciła głową – ale rozumiem, że ty tak...

– Owszem – Tygrys pokiwał głową – bo chłopaki naiwne nie są i od razu to sprawdzili. Otóż, moja ty cyraneczko modroskrzydła, od przedwczorajszego wieczoru ten twój menago jest bogatszy o okrągły milion złotych. I z każdym dniem będzie zarabiał coraz więcej.

ROZDZIAŁ XVIII

TRZY SZTYLETY

O ile wcześniej Bartosz Wieteska kojarzył jej się ze szczurem, to Róża odkąd dowiedziała się od Betty o jego perwersyjnym hobby, z miejsca zobaczyła, jak zamiast gryzonia siada przed nią za kawiarnianym stolikiem obleśny knur i w ogóle nie mogła się skupić na rozmowie. Zresztą początkowo dziennikarz nie miał nic specjalnie istotnego do powiedzenia, poza tym, że jego zdaniem śmiertelny cios musiała zadać kobieta, bo żaden facet nie zrobiłby krzywdy tak pięknej istocie. Róża w ostatniej chwili powstrzymała się przed wygłoszeniem uwagi, że Marilyn Monroe w zaświatach z pewnością nie podziela jego opinii. W zamian zapytała, czy ma jakąś swoją teorię co do tożsamości morderczyni, skoro teoretycznie na gorącym uczynku złapano mężczyznę.

– Znam tego całego Mario – skrzywił się Bartosz. – Histeryk z niego, dziwak, egocentryk, ale jakoś mi nie pasuje do roli krwawego zabójcy.

– Mnie też nie... – potwierdziła Róża i już chciała skierować ich rozmowę na kwestię zachowania Lilian w czasie tamtego wieczoru, zwłaszcza jej

ostentacyjnych zalotów do gitarzysty, kiedy zamyślony Wieteska powiedział:

– Jestem prawie pewny, że wiem, kto zabił Lilian, ale ciągle zbieram na to dowody.

Róża po raz pierwszy spojrzała na niego z innym uczuciem niż obrzydzenie.

– Może pan już co nieco zdradzić? – zapytała. Oczywiście, była pewna, że dziennikarz zacznie się wykręcać od odpowiedzi, ale ku jej zaskoczeniu Bartosz pochylił się nad stołem, dał jej znak ręką, aby zrobiła to samo, po czym przeszedł na konfidencjonalny szept. Zdaniem Róży było to zupełnie niepotrzebne, bo poza nimi w kawiarni znajdowały się jedynie cztery inne osoby, z których dwie prowadziły głośną konwersację w języku niemieckim, jedna miała na uszach słuchawki, a ostatnia – jakiś drobny człowieczek w brudnych ciuchach i z mętym wzrokiem – sprawiała wrażenie kompletnego imbecyla. Choć, rzecz jasna, mogło się potem okazać, że ów imbecyl jest asem policyjnego wywiadu i dostał od Darskiego polecenie śledzenia Róży tudzież podsłuchiwanie jej rozmów.

– Moim zdaniem to była robota Marty Raj – wyszeptał wyraźnie przejęty Wieteska. – Ona nienawidziła Lilian. Dopóki nie było jej na scenie, zarabiała fortunę, potem zaś Lilian zabrała jej całą sławę i nagle kasa skończyła się jak nożem uciął. Nasza estrada jest mała, tak naprawdę całą śmietankę spija kilku wykonawców, tych najbardziej na topie. Reszta musi się dzielić między sobą ochłapami. A Marta przyzwyczajona była do życia w luksusie i nieliczenia się z wydatkami. W dodatku Lilian wiecznie robiła jej naumyślnie na złość...

– Słyszałam o tym – przyznała Róża – ale nie dowiedziałam się dlaczego...

– To była tajemnica obu pań, ale ja ją znam – wyszeptał z dumą Bartosz. – Zanim stała się znana, Lilian zgłosiła się na casting do chóru Marty. Pół biedy, że ta jej nie przyjęła, gorzej, że przy okazji się na niej wyżyła. Zapytała, czy zamiarem Lilian było pozbawienie jej słuchu, bo jeśli tak, to swoim śpiewem prawie dopięła celu, i poradziła, żeby ze swoim tupetem zajęła się lepiej kontraktowaniem buraków pastewnych albo akwizycją lakierów do paznokci, bo w muzyce nie ma dla niej miejsca. Potem, kiedy Lilian stała się już popularna i w ramach zemsty zaczęła jej podbierać sponsorów, musiała ją przeprosić. Oczywiście prywatnie, bo publicznie obie dbały o to, żeby wychodzić na – no, może nie serdeczne przyjaciółki – ale kobiety, które życzą sobie jak najlepiej. Te przeprosiny i schowanie dumy do kieszeni zapewne dużo Martę kosztowało. Tym bardziej że Lilian, kiedy tylko mogła, nadal jej dokuczała. Mniej lub bardziej po cichu, ale jednak...

Róża, pamiętna rozmowy pań w czasie balu, pokiwała ze zrozumieniem głową.

– No i najważniejsze... – Bartosz pochylił się jeszcze bardziej i teraz Róża prawie czuła jego oddech na swojej twarzy, co niestety nie należało do najprzyjemniejszych doznań. – Kiedy gasło światło, torebka, która stała przed

Martą, była zasunięta na suwak. Leżała na stole między nami i cały czas miałem ją przed oczami, więc doskonale to zapamiętałem. Jak też i fakt, że kiedy znów zrobiło się widno, była otwarta. Całkowicie!

– Ale przecież Marta... – zaczęła Róża, zanim się opamiętała. Czy mogła powiedzieć Wietesce, że ustaliła wcześniej, iż Raj nie ruszyła się ze swojego krzesła? Wyjdzie na to, że interesuje się tą zbrodnią. Przecież teoretycznie spotkała się z nim tylko po to, żeby omówić plany promocyjne swojej nowej książki, nad którą magazyn „Koktail” miał objąć patronat, a Bartosz zrobić w związku z tym z nią wywiad. To, że od razu zaczęli rozmawiać o morderstwie, wyszło jakoś naturalnie samo z siebie.

– ... siedziała na swoim miejscu? – dokończył za nią dziennikarz. – To jeszcze o niczym nie świadczy. – Po czym, widząc zakłopotaną minę pisarki, dodał: – Może się pani przede mną tak nie krygować. Znam Rafała Maślaka i słyszałem, jaką rolę odegrała pani przy wyjaśnianiu zagadki morderstw w czasie konkursu Mistera Polonia. Zdziwiłbym się, gdyby nie chciała pani i tym razem zabłysnąć, skoro morderstwo rozegrało się na pani oczach. Tym bardziej że wtedy cały splendor spłynął na policję i Rafała. No i wiem, że Mario to pani przyjaciel. Chętnie wam obojgu pomogę...

Krull nie była pewna, czy akurat pomoc jakiegoś perwersyjnego knura jest jej najbardziej potrzebna do szczęścia, ale póki co dylematy natury moralnej odłożyła na bok. Ciekawość zawsze brała u niej górę nad ewentualnymi wyrzutami sumienia. Nie prostowała też, że nic się nie wydarzyło na jej oczach, bo zasłaniał jej to obrus, a poza tym było ciemno.

– Czemu o niczym nie świadczy? – W zamian za to wróciła do poprzedniej kwestii.

– Bo Marta jest maniaczką sportu i dbania o swoją figurę – odpowiedział Bartosz. – Ma kondycję, zwinność i umiejętności profesjonalnej lekkoatletki. W czasie tych kilku minut mogła spokojnie zabić połowę osób na sali i nie widać byłoby po niej żadnego wysiłku. No i jeszcze jedna rzecz. Niech pani sama zobaczy...

Odchylił się, wracając tym samym do normalnej pozycji, po czym sięgnął po leżącą obok niego na ławce kurtkę i wyciągnął z jej kieszeni telefon komórkowy. Przez chwilę czegoś w nim szukał, po czym podał Róży.

– Niedawno robiłem wywiad z Martą – wyjaśnił. – Przy okazji cyknęliśmy z fotografem kilka fotek u niej w domu. Niech pani dokładnie popatrzy na zdjęcie.

Róża wzięła komórkę i popatrzyła na powiększoną na cały ekran fotografię. Na pierwszym planie zobaczyła szeroko uśmiechniętą i idealnie wystylizowaną Raj, siedzącą na białym, ozdobnym krześle przed stanowiącą z nim komplet toaletką. Na blacie tej ostatniej znajdowały się rozrzucone w artystycznym nieładzie liczne kosmetyki, przybory do makijażu, gazety, trochę biżuterii i... Nie,

to niemożliwe! Pisarka, czując, że z emocji zaczyna się lekko dusić, wzięła głęboki oddech, po czym przesunęła palcami po ekranie, przybliżając to, co wpadło jej w oko.

– Już to pani dostrzegła, prawda? – powiedział z pełnym zadowolenia uśmiechem Bartosz.

Róża podniosła na niego zdumiony wzrok, po czym znów rzuciła okiem na fotografię.

– Czy to jest..? – zaczęła, ale dziennikarz natychmiast jej przerwał.

– Tak. To jest sztylet, którym zabito Lilian.

Krull przez długą chwilę nie wiedziała, co ma powiedzieć. W oszłomieniu patrzyła na zdjęcie. Przez jej głowę, w jakimś niemożliwym do zatrzymania potoku skojarzeń, przelatywały dziesiątki myśli. Po chwili skryształizowały się one w jedno pytanie.

– Dlaczego nie powiedział pan o tym policji?!

Bartosz popatrzył na nią dziwnym wzrokiem.

– A kto powiedział, że tego nie zrobiłem? – spytał ze zdumieniem.

* * *

– Trzy? – Róża odskoczyła w ostatniej chwili przed rozbryzgiem wody z kałuży, w którą złośliwie wjechał kierowca jakiegoś sportowego samochodu, załatwiający przy okazji wszystkim stojącym przed przejściem dla pieszych darmowy prysznic. Jakby miała granat, to by go w takiego dowcipnisia rzuciła. Dlaczego im lepszy samochód, tym większy burak za kierownicą? – Jak to trzy? Co ty bredzisz?

– Lilian przywiozła ze sobą trzy sztylety – powtórzyła Betty. – Kupiła je w Bolonii jako prezenty dla znajomych. Początkowo leżały u niej w pokoju, na stercie nowych ubrań, których Lilian nie pozwalała ruszać, bo chciała się nimi nacieszyć. Tak twierdzi jej gosposia. Potem gdzieś zniknęły. Już dawno, kilka miesięcy temu. Teraz nie ma już u niej żadnego. Pytanie, gdzie są.

Róża przez chwilę trawiła usłyszaną wiadomość, po czym pogrzebała w pamięci.

– Jeden jak nic u Danuty Stec – powiedziała. – Mur-beton. Pamiętasz, jak podsłuchiwałam ich rozmowę. Wtedy nie za bardzo wiedziałam, co ma na myśli, ale teraz mi już wszystko pasuje. Drugi musiał być u Marty Raj. A trzeci z tego, co mi przekazał Pepe, miał gitarzystę, ale mu zaginął. To znaczy przypuszczam, że to może być ten, bo skoro zniknął, to na razie nie możemy mieć pewności. Cholera by

to... Dlaczego to wszystko musi być takie skomplikowane? Już się ucieszyłam, że mamy morderczynię...

– Krzysztof też, jak Wieteska do niego zadzwonił, jeszcze przed zeznaniami gospośi – powiedziała Betty – tym bardziej że Marta Raj wyparła się jakiegokolwiek wiedzy o sztylcie. Zeznała, że nigdy w życiu nie widziała go na oczy. Na pewno nie dostała go w prezencie od Lilian ani w ogóle nie miała nigdy w ręku. Co do torebki, może coś z niej wyjmowała, może nie, nie pamięta dokładnie. Za to zasugerowała, że sztylet mógł być własnością jej gitarzysty.

– Co, jak wiemy, może być prawdą – przyznała niechętnie Krull. – Pytanie tylko, czy to ten sam sztylet. Kurcze... Jestem bliska wniosku, że oni wszyscy zamordowali tę biedaczkę w zmowie. À la „Morderstwo w Orient Expressie”, tyle że w Auli Politechniki. Coś jeszcze wydobyłaś z Krzysia? Jak im idą poszukiwania Mario?

– Beznadziejnie – powiedziała Betty. – Twój pupil rozmył się w powietrzu. Nie widziano go w okolicach jego domu, nie kontaktował się też z nikim z rodziny, kompletnie nic. Cały czas go szukają.

– Boję się o niego – westchnęła Róża. – Zaczęłabym go szukać na własną rękę, ale tak naprawdę nawet nie wiem, jak się do tego zabrać.

– Nie możesz się poradzić Maślaka? – podsunęła Betty. – Mówiłaś, że się znają. Może będzie miał jakiś pomysł?

– Pojechał do Tajlandii, z narzeczoną – powiedziała Róża niechętnie – a nikt inny z misterów się z nim zbytnio nie kolegował. No nic, tym razem zostaje wiara w policję.

– À propos policji – przypomniało się Betty – to muszę ci coś jeszcze powiedzieć na temat tych sztyletów. One nie były...

– Oddzwonię do ciebie, dobrze? – przerwała Krull, wchodząc do restauracji „Chłopskie jadro”, gdzie umówiła się na spotkanie z ochroniarzem Lilian – bo jestem już na miejscu.

– Tylko nie zapomnij, bo to ważne – poprosiła Betty.

– Jasne. – Róża rozłączyła się, a następnie poszukała wzrokiem Rafała Wątlego. Siedział przy oknie, wpatrując się bezmyślnym wzrokiem w stojące przed nim naczynie, które pisarka początkowo wzięła za potężny wazon na kwiaty. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że jest to kufel piwa, w dodatku w większej części już opróżniony. Westchnęła ciężko, przewidując, że może to być najtrudniejsza rozmowa ze wszystkich, jakie ostatnio przeprowadziła. Po pięciu minutach była już nawet tego pewna. Jej rozmówca opanował bowiem do perfekcji porozumiewanie się za pomocą monosylab. Do tego Róża w ogóle nie była przekonana, czy Wątle rozumie, co się do niego mówi. Po kilku chwilach dialogu brzmiącego: „Musiał pan przeżyć szok, kiedy zobaczył pan, że Lilian nie żyje?”, „No”, „Co pan wtedy pomyślał?”, „Że, no, ten... No... Tak... No”, „Był pan

„pewien, że zabił ją ten chłopak ze sztyletem?”, „Aha”, „I nie zauważył pan nic innego podejrzanego?”, „Że co?”, „Na przykład, że ktoś inny znajdował się nie tam, gdzie wtedy, kiedy zgasło światło, robił coś podejrzanego albo zachowywał się jakoś dziwnie?”, „Aaa, OK. Że, no, ten... Więc... No... Nie”, pisarka upewniła się tylko co do jednego: że ochroniarz Lilian z pewnością nie jest mordercą. Ze swoim ilorazem inteligencji nie byłby w stanie obmyślić żadnego samodzielnego planu i nie znalazłby się chyba nikt przy zdrowych zmysłach, kto wciągnąłby go do swojej intrygi. Wariatów zaś na sali wtedy raczej nie było. Czując zaciekawienie, jakim sposobem Wątlemu udało się zamówić piwo, i dochodząc do wniosku, że po prostu puknął palcem w menu, mówiąc „to”, zaczęła się z wolna żegnać. I wtedy ochroniarz jakby się nagle ocknął.

– Nóż – powiedział zniechęcony.

Róża zamarała z wyciągniętą w jego kierunku ręką.

– Co? – wyrwało jej się. – Że co nóż?

„No i super, zaraziłam się”, pomyślała jednocześnie ze zgrozą, zastanawiając się w panice, czy posługiwanie się monosylabami przerzuci się jej też na słowo pisane i jak zareagują czytelnicy, kiedy w jej nowej książce nie znajdą ani jednego wyrazu składającego się z więcej niż czterech, no, góra pięciu liter. Bo to, że czymś takim zachwyci z miejsca jury nagród Nike, było dla niej bardziej niż pewne.

– Nóż – powtórzył ochroniarz, po czym po raz pierwszy rozszerzył swoją wypowiedź o normalne słowa. – To nie był ten nóż.

– Mógłby pan wyjaśnić, co ma pan na myśli? – poprosiła Róża, cofając rękę i przysiadając z powrotem na krawędzi ławki. – Jak to nie ten nóż?

– Ten chłopak. Miał nóż bez końca – powiedział nadal tajemniczo Wątle. – A Lilian z końcem.

– Jakim końcem?

– Srebrnym.

Przez moment Róża zwalczała w sobie przemożną ochotę złapania za kufel i roztrzaskania go na głowie rozmówcy. Może wtedy coś by mu styknęło w tej łepetynie?

– Ale co to oznacza? – wyszczała z furją.

– No, że ten... No.

Pisarka poczuła, że robi jej się ciasno w głowie. „Zaraz mnie przy tym matolku strzeli apopleksja”, pomyślała ze zgrozą.

– Niech się pan skupi! – rozkazała stanowczo. – Bo tak do niczego nie dojdziemy.

Ochroniarz starał się spełnić jej polecenie. Widać było, że wykonuje przy tym tak ogromny wysiłek i tak rozgrzewa swój umysł, że Róża nie zdziwiłaby się, gdyby zaraz poleciała mu od tego para uszami.

– Lilian miała trzy noże – wydusił z siebie po dłuższej chwili. – Jeden dała

tej starej. Drugi temu z gitarą. Był trzeci. Ale to nie był ten. Nie miał końca.

– Starej aktorce czy starej piosenkarce? – starała się sprecyzować Róża, darując już sobie uwagę, że osoby w okolicy pięćdziesiątki wcale nie są stare.

– Aktorce – Wątyły tylko potwierdził to, co przekazała Betty.

– Teraz niech pan powie, o co chodzi z tym końcem – poprosiła łagodnie, choć kosztowało ją to dużo wysiłku.

– To, co się trzyma – powiedział zakłopotany Wątyły, po czym jedną ręką pokazał gest wbijania sztyletu, a palcem drugiej wskazał miejsce koło kciuka. – Jak to się nazywa?

– Rękojeść?

– O, no – ucieszył się. – Na końcu rękojeści było takie srebrne z jakimś kimś. U Lilian było, a na nożu u tego bladego kola, com go powalił, nie.

Posłał Róży spojrzenie zbitego psa.

– Pomogłem? – zapytał z nadzieją.

Pisarka, choć nie wiedziała, na ile ważna jest przekazana jej informacja, nie chciała mu zrobić przykrości.

– Tak, na pewno – zapewniła, po czym wstała, pożegnała się i wyszła z „Chłopskiego jadła”. Przed restauracją zastanowiła się, co ma robić dalej. Czowała się trochę bezradna. Niby udało jej się przez ostatnie półtora dnia dowiedzieć o wielu sprawach, które zatajono przed policją. Wszystko to jednak nie układało się w żadną logiczną całość. Z drugiej strony, gdzieś w którymś zakamarku głowy pisarka miała wrażenie, że coś jej umknęło, że padła jakaś wypowiedź, która mogła być kluczem do całej zagadki. Tylko która..? W myślach Róży ruszył kołowrotek. Barbara była chora, a mimo to przyszła na bal. Przed Martą stała najpierw zamknięta, a potem otwarta torebka. Menadżerowi palił się grunt pod nogami, a teraz odziedziczył fortunę. Lilian starała się o pracę i u Marty, i u Eweliny. Mario wykrzyczał, że nienawidzi Lilian. Danuta nie chciała się przyznać do tego, że ma sztylet. Marcinowi zginął jego własny. Lilian powiedziała, że spłacała dług. Jaki znowu dług i wobec kogo? Karolina tuż przed morderstwem wyszła do łazienki... Zaraz, zaraz, coś tu nie gra. Tylko które? Róża zmrużyła oczy. Karolina..? Tak, Miłka musiała się pomylić, że widziała ją, jak siedzi na swoim miejscu przed wyłączeniem światła. Bo przecież opuściła salę jeszcze przed zapadnięciem ciemności. Ale potem siedziała na swoim miejscu. Kiedy zdążyła tam wrócić..? I dlaczego Miłka upierała się, że przez cały czas tam była? Coś tu nie gra...

Róża pomyślała, że trzeba o to od razu zapytać i sięgnęła do kieszeni po telefon, tylko po to, aby uświadomić sobie, że od kilku sekund wydaje on z siebie warkot. Ponieważ do wszystkich znajomych miała dopasowane fragmenty piosenek, oznaczało to, że dzwoni ktoś, kogo nie ma w spisie kontaktów. Wyświetlacz poinformował ją, że w dodatku numer jest zastrzeżony. Krull rzadko kiedy takie odbierała, bo z reguły nie miała potem siły się rozłączyć i przez długie

minuty słuchała o „nowej rocznej lokacie z bardzo atrakcyjnym oprocentowaniem, wynoszącym specjalnie dla pani 0,02 procent i to przez całe dwa promocyjne miesiące” albo „patelniach nowej generacji, na których jajecznice można robić bez użycia żadnego tłuszczu, a kto wie, czy i nie bez samych jajek”, ale teraz, tknięta jakimś złym przeczuciem, przesunęła palcem po ekraniku.

– Róża..? – Usłyszała dziwacznie zniekształcony głos, który nie skojarzył jej się z żadną znaną jej osobą.

– Tak – potwierdziła. – Kto mówi?

– Przepraszam, że dzwonię, ale jesteś jedyną osobą, która może mi teraz pomóc...

Mimo że dalej dźwięk był daleki od ideału, pisarka już wiedziała, z kim rozmawia.

– Co żeś ty najlepszego narobił? – spytała ze zgrozą. – Jak mogłeś?

– Proszę cię – powiedział Mario – spotkaj się ze mną. I to jak najszybciej. Nie mam już siły...

– Gdzie jesteś?

– Zobaczmy się za pół godziny przy kościele Świętej Barbary. Na Wspólnej, przed Emilii Plater. Dasz radę?

– Dam.

Połączenie zostało przerwane. Róża przez chwilę rozważała, jak ma postąpić. Oczywiście, wiedziała, że powinna teraz wykręcić numer do Darskiego i poinformować go, gdzie może znaleźć swojego uciekiniera. Doskonale jednak zdawała sobie sprawę, że jest to akurat jedyna rzecz, której nie robi.

Zakłęła pod nosem i szybkim krokiem ruszyła w stronę kościoła...

ROZDZIAŁ XIX

DWUBIEGUNÓWKA

„Co ja tu, do jasnej cholery, znowu robię?“, myślała ze złością Miłka, zastanawiając się, czy stojący przed nią osobnik, przedstawiony jej parę minut temu jako trener personalny, nie jest aby robotem. Wskazywał na to nie tylko fakt, że ubrany był w jakiś obcisły, wyglądający na plastikowy, odblaskowy żółty kombinezon, od wpatrywania się w który można było stracić wzrok, ale też i to, że jego skóra miała wyjątkowo nienaturalny, pomarańczowy kolor, prezentujący się jak farba olejna. Miłka widziała taki odcień tylko raz w życiu, jeszcze w domu rodzinnym, kiedy to jej brat, wybierając się na randkę i chcąc zamaskować nieczystości na twarzy, podkradł jej krem, na którego opakowaniu w pośpiechu wyczytał tylko tyle, że jest przeznaczony do skóry i pokryje mu wszelkie plamy. Po czym okazało się, że użył „pomarańczowego kremu do skóry licowej, kryjącego wszelkie plamy, bezzapachowego, pielęgnującego i nadającego trwałą barwę oraz połysk każdemu rodzajowi obuwia”. Barwa faktycznie była trwała i jeszcze po tygodniu wszyscy pytali go, czy aby nie powinien zrobić sobie badań na żółtaczkę.

Przydzielony do Miłki trener odcień skóry miał podobny i do tego mówił przez zaciśnięte szczęki tubalnym głosem, który sprawiał wrażenie, jakby wydobywał się z jakiegoś głośnika, a nie z ludzkiego gardła. Robot, jak nic!

– Białko dzisiaj już zjadła albo wypła? – zapytał prawdopodobny android, patrząc na nią groźnie.

Miłka przez chwilę rozważała, czy aby nie jest to jakaś zakamuflowana propozycja natury erotycznej i czy nie powinna strzelić mu w twarz.

– A po co? – zapytała ostrożnie.

– Białko to podstawa diety każdej kobiety aktywnej fizycznie – wyrecytował mechanicznie trener, którego Miłka w duchu zdążyła już ochrzcić imieniem złotego robota z „Gwiezdných wojen” C-3PO – bo dostarcza ciału materiału budulcowego i przyspiesza efekt treningów. Musi je włączyć do codziennej diety. Na śniadanie najlepiej, żeby jadła kromkę pumpernika posmarowaną odrobiną hummusa i jedno jajko ugotowane na twardo.

– Oczywiście, to właśnie zjadłam – zapewniła go Miłka, postanawiając nie przyznawać się do skonsumowania w ramach pierwszego posiłku dwóch czekoladowo-migdałowych croissantów, jednego Snickersa, małej puszki solonych orzeszków oraz wypicia dużego kubka kawy z pełnotłustym mlekiem i syropem karmelowym. Jeszcze się C-3PO od tego wyznania przepalał obwody i Ewelina każe jej płacić za naprawę.

– Znakomicie – powiedział android, dając jej znać, żeby przeszła z nim na salę ćwiczeń. Zgodnie z tym, czego dowiedziała się wcześniej od Róży, trenowała tu już jedna osoba. Zagadką pozostawało dla Miłki, jakim cudem jej przyjaciółka się o tym dowiedziała, ale postanowiła w to nie wnikać i skupić się na wyznaczonym jej zadaniu.

– Zaczniemy od bieżni – rozkazał trener, doprowadzając ją do odpowiedniego urządzenia. – Najpierw się krótko rozgrzeje, a potem na początek będzie maszerować...

Miłka, która mimo swojej wagi kondycję miała znakomitą, więc przejść bez zadyszki mogła na upartego i cały glob ziemski dokoła, dzielnie wytrzymała ćwiczenia rozgrzewające, po czym posłusznie zaczęła dreptać po bieżni, zadowolona, że jej potencjalny oprawca gdzieś sobie poszedł.

– Pusto tu jakoś... – powiedziała do kobiety ćwiczącej obok niej na urządzeniu, o którym wiedziała już, że nazywa się atlas wielofunkcyjny. – Myślałam, że będzie tłoczno, a jesteśmy tylko we dwie.

Kobieta obdarzyła ją uśmiechem, ale i przyjrzała się jej z namysłem.

– Widziałyśmy się już tutaj? – zapytała. – Bo wydaje mi się, że skądś panią znam...

Miłka zastanowiła się, na ile w dresie, z włosami związanymi w kucyk i bez makijażu przypomina siebie z przedwczorajszego balu. Była pewna, że wcale.

– Ćwiczę tu drugi raz w życiu – odpowiedziała, na wszelki wypadek starając się trzymać prawdy. – Raczej jestem pewna, że tu się nie spotkałyśmy. Jestem Miłka...

Wypowiadając ostatnie słowo, poczuła, że jednak powinna była skłamać, podając choćby swoje drugie imię, ale było już za późno.

– Karolina – powiedziała dziewczyna, po czym popatrzyła na pisarkę z nagłym olśnieniem. – Miłka Wężowska, prawda? Autorka horrorów? Wiedziałaś, że gdzieś widziałam pani twarz. Bardzo lubię pani powieści...

„Szlag by to trafił”, zakłęta w duchu pisarka, z rozgoryczeniem myśląc o tym, że wśród garstki osób, które w naszym pięknym, czterdziestomilionowym kraju czytają jej książki, akurat musiała się znaleźć właśnie Karolina Durczak. Jakie były na to szanse?! Pół procent? Ćwierć?!

– ... i dwa dni temu miałam ochotę podejść do pani i zagadać na balu – dokończyła dziewczyna.

„I to tyle à propos kamuflażu”, przemknęło przez myśl Miłce, która poczuła, że nawet nie wie, co ma teraz powiedzieć. Karolina przestała ćwiczyć i patrzyła na nią uważnie. W jej wzroku pisarka dostrzegła odrobinę irytacji, ale też i niepewności, a nawet strachu.

– Jest pani przyjaciółką Róży Krull – bardziej stwierdziła niż zapytała dziewczyna – której były agent odwiedził rano mojego chłopaka. A teraz pani, niby to przypadkiem, pojawia się tutaj. W co wy gracie? O co wam chodzi? Podejrzewacie, że zabiliśmy Lilian? Przecież morderca został od razu aresztowany?

– Niekoniecznie – powiedziała Miłka ostrożnie. – To znaczy, owszem, aresztowano kogoś, ale z tego, co wiemy, nie miał on powodu, żeby ją zabijać.

– No tak – prychnęła Karolina. – A ja miałam! Oczywiście, prawda? Więc może od razu zakuje mnie pani w kajdanki i doprowadzi na komisariat!

Miłka wyłączyła bieżnię, bo poczuła, że jak zacznie mówić w czasie marszu, to mimo najlepszej kondycji błyskawicznie dostanie zadyszki.

– Niech pani nie będzie niemądra – powiedziała z politowaniem. – W nic pani nie będę zakuwać. Po prostu nie chcemy dopuścić do tego, aby skazano niewinnego człowieka. Wyszliśmy z założenia, że nie zaszkodzi porozmawiać z osobami, które tego wieczoru były na balu. A nuż coś komuś się rzuciło w oko. Nawet coś takiego, o czym nie myśli, że było ważne.

– I robicie to z błogosławieństwem policji? – zapytała ironicznie Karolina. – Czy jak zadzwonię do tego przystojnego komisarza, który nas przesłuchiwał, to szybciej zgarną stąd panią?

„Żebyś wiedziała”, pomyślała Miłka.

– Ten przystojny jest narzeczonym agentki Róży, więc sama pani rozumie... – powiedziała, starając się choć na chwilę zapomnieć o powtórzonej

chyba ze sto razy w ciągu ostatnich dwóch dni kasandrycznej przepowiedni Betty: „Jeśli Krzyś będzie łaskawy, to może przynajmniej zamknie nas we trzy w jednej celi”.

– No, i co takiego odkryłyście? – zapytała drwiąco Karolina. – Wiecie już, kto zamordował tę małą wywłokę?

– Nie – przyznała Miłka, postanawiając nieco sprowokować swoją rozmówczynię – ale i tak udało nam się dowiedzieć wielu rzeczy, o których policja nie miała pojęcia. Na przykład tej, że pani narzeczony miał sztylet podobny do tego, jakim zabito Lilian, i że ten sztylet mu zginął...

– Więc pewnie myślicie, że to ja mu go ukradłam, popełniłam morderstwo, po czym podałam temu dziwnemu chłopakowi, tak? – na twarzy Karoliny pojawił się kpiący uśmieszek. – Całkiem prawdopodobna teoria, z jednym tylko słabym punktem. Nie było mnie wtedy na sali.

– Jak to? – zdziwiła się Miłka. – Wydawało mi się...

– Wyszłam do łazienki, żeby choć trochę się otrzeźwić – wyjaśniła Karolina. – Wypiłam wtedy za dużo i złapałam się na tym, że za moment stracę nad sobą kontrolę. Nie chciałam zrobić nic głupiego. Zwłaszcza jej...

– Lilian? – upewniła się Miłka.

– Jakiej tam Lilian! – prychnęła ku jej zaskoczeniu Karolina. – Barbarze!

Miłka musiała mieć wyjątkowo zdziwioną minę, bo jej rozmówcy cicho się roześmiała.

– Kto powiedział, że Lilian zawsze musiała być w centrum uwagi? – rzekła z ironiczną miną. – Choć trzeba jej przyznać, że starała się, jak mogła. Ale do jej prowokacji byłam przyzwyczajona i wiedziałam już, że nic mi z jej strony nie grozi. Po tym, jak usiłowała szantażować mojego narzeczonego jakimś idiotycznym filmikiem, a kiedy roześmiał jej się prosto w twarz, wysłała go do mnie, miała już u niego przekichane. Natomiast ta druga... Powiedziała wam, że też z nim była?

Miłka kiwnęła głową, nie precyzując, że informację o tym Róża podsłuchiwała.

– No właśnie... Ich związek trwał tylko kilka tygodni, bo Marcin szybko zorientował się, że ona ma nierówno pod sufitem. I to bynajmniej nie w przenośni. Początkowo myślał, że to tylko humory i muchy w nosie, ale szybko się kapnął, że ma do czynienia z czymś więcej. Barbara ma albo miała, jak to się uczenie nazywa, chorobę maniakalno-depresyjną. Potrafiła przez całe dni nie wstawać z łóżka i godzinami płakać bez żadnego racjonalnego powodu, aby któregoś ranka obudzić się radosna jak ptaszę polne, wyciągnąć go na spacer i zakupy, kupić mu sto cennych prezentów, a wieczorem bawić się i tańczyć do upadłego w jakimś klubie. Po czym po kilku dniach takiej euforii i planowania wakacji na Karaibach albo Malediwach znów popadała w apatię i nie odbierała od niego telefonów. Klasyczna dwubiegunówka! W końcu Marcin powiedział jej, że ma dość, i zerwał. Podobno

Barbara wylądowała w szpitalu psychiatrycznym, z którego wypuścili ją jedynie pod warunkiem kontynuowania psychoterapii. Później przeprowadziła się do Warszawy, bo dostała tu rolę w serialu. To znaczy miała dostać, bo ostatecznie Lilian zrobiła ją w bambuko.

– To też wiemy... – wtrąciła Miłka.

– A wiecie, że Barbara wzięła już kredyt i nie mogła się wycofać z zakupu? I że Marcin chciał jej pomóc?

Miłka pokręciła przecząco głową.

– Tego ostatniego nie... – powiedziała.

– Barbara zadzwoniła do niego kilka dni przed zabójstwem Lilian, prosząc o spotkanie. Ten idiota się zgodził i jeszcze zataił to przede mną! Perfekcyjnie zagrała na jego uczuciach. Powiedziała, że to przez niego musiała się leczyć i że w imię tego, ile przez niego wycierpiała, on musi jej pomóc namówić Lilian, żeby zrezygnowała z roli. Dał się jej przekonać.

– I..?

– Lilian oczywiście go wyśmiała. Powiedziała, że jeśli byłby jej chłopakiem, to co innego, ale tak to mowy nie ma. Poradziła mu, żeby wziął jeszcze kilka chałtur, skoro chce utrzymywać swoje byłe kochanki, i że może mu sama podpowiedzieć kilka starszych koleżanek po fachu, które chętnie zapłacą, żeby zagrał u nich na gitarze za dnia, a na czym innym nocą. Wtedy Marcin zrobił coś idiotycznego. Wybłągał u Lilian pożyczkę. Sporą. Podpisali umowę, w wyniku której miał występować w jej zespole za pół darmo przez kilka lat. Nie bawili się w ceregiele, tylko spisali ją na wydrukowanym z Internetu gotowcu, dopisując odpowiednie punkty. Marcin obiecał zapłacić od tego podatek do urzędu skarbowego, żeby wszystko odbyło się zgodnie z prawem. Po czym wieczorem pod nieobecność Lilian wszedł do jej mieszkania, do którego sama dała mu kiedyś klucze, i ukradł tę umowę. Nie wiem, czy wpadł na ten genialny pomysł samodzielnie czy razem z Barbarą. W każdym razie, kiedy Lilian odkryła, co zrobił, i zadzwoniła z awanturą, zagroził jej publikacją filmu, który do mnie wysłała.

– Kiedy ponoć tam nie było nic specjalnego?

– Tak, ale Marcin zapowiedział, że zmontuje go na nowo tak, żeby stał się kompromitujący.

– Co na to Lilian?

– Wściekła się i postawiła mu ultimatum: w ciągu dwóch dni zwróci jej umowę, ewentualnie pieniądze, albo naśle na niego ludzi, którzy go do tego zmuszą. Powiedziała, że jej menadżer poznał ją z kilkoma szefami półświatka i gotowa jest wykorzystać te znajomości.

– Uwierzył jej?

– Owszem, mocno się wystraszył i zaczął panikować. Wtedy też mi

wszystko opowiedział. No, prawie wszystko, bo zataił udział Barbary. Powiedział, że pieniądze pożyczył dla siebie z powodu długów. W sumie mogłabym w to nawet uwierzyć, bo on ma skłonności do hazardu, ale od czasu wpadki z Lilian wołałam mieć na niego oko.

Miłka przez chwilę porządkowała w głowie usłyszane informacje. Była jeszcze jedna rzecz, która ją w tym wszystkim ciekawiła.

– A właściwie dlaczego mi to pani mówi? – zapytała.

– Bo dzisiaj z rana po wizycie agenta pani przyjaciółki Marcin zadzwonił do mnie na Skypie i powiedział, że między nami wszystko skończone – powiedziała Karolina – i że chce jeszcze raz dać szansę Barbarze, a ja mam siedzieć cicho, bo inaczej stanę przed sądem, broniąc się przed oskarżeniem o zabicie Lilian.

– Jak to?!

– Powiedział, że zezna, jakobym była jedyną osobą, która mogła mu ukraść sztylet, którym ją zabito, i że nikt inny nie miał okazji tego zrobić! – powiedziała Karolina. – Rozumie pani? Oskarżył mnie o to, że jestem morderczynią!

– Ale przecież takim sposobem skierowałby podejrzania też i na siebie – zauważyła trzeźwo Miłka – bo przecież równie dobrze nikt nie musiał mu kraść tego sztyletu, a wzięwszy pod uwagę okoliczności, miał o wiele ważniejsze powody, żeby pozbyć się Lilian!

– Powiedziałam mu to, ale stwierdził, że nikt mu tego nie udowodni. I że wyprze się wszystkiego, a każdy zaświadczy, że dla niego byłoby lepiej, gdyby Lilian żyła, bo przecież zarabiał u niej największą kasę.

– Co zamierza pani z tym zrobić? – zapytała ze współczuciem Miłka. – Bo ja chyba poszłabym jednak na policję...

– Właśnie się nad tym zastanawiałam, kiedy pani się pojawiła – przyznała Karolina. – Mam tylko jeden problem.

– Nadal go pani kocha? – Miłka poczuła, że nie był to najszcześniejszy moment na obudzenie w sobie resztek romantyzmu, bo jej rozmówczyni obdarzyła ją wzrokiem pełnym politowania.

– Kogoś, kto mnie szantażuje i uważa za morderczynię? – powiedziała z przekąsem. – Niech pani nie żartuje. Wyleczyłam się z uczucia do niego w jednej chwili.

– To co jest problemem? – zapytała z zaciekawieniem Miłka.

– To... – powiedziała powoli Karolina – że ja naprawdę mu ten sztylet ukradłam. A potem on ukradł go mnie!

ROZDZIAŁ XX

POŚCIG

Mario przechadzał się po chodniku pod kościołem świętej Barbary, nerwowo zerkając na każdy mijający go samochód. Róża wypatrzyła go z daleka i zanim do niego podeszła, jeszcze raz zastanowiła się, jak bardzo tym razem podpadnie Darskiemu. „Z drugiej strony, ile mogę za to dostać?”, pomyślała. „Co najwyżej kilka miesięcy. Przynajmniej spokojnie napiszę sobie w celi książkę. Albo nawet kilka na zapas...” Pisarka na pewno nie byłaby zbudowana wiadomością, że za pomoc w ucieczce zbiegowi grozi jej wyrok do pięciu lat, ale na szczęście dla Mario nie miała już czasu tego sprawdzić w Internecie. Na jej widok bloger rozpląkał się i mocno się do niej przytulił.

– No, już dobrze, dobrze... – wzruszona Róża nie za bardzo wiedziała, jak ma na to zareagować, tym bardziej że początkowo miała w planach zrobienie Mario karczemnej awantury. W tej sytuacji jednak nie wchodziło to w rachubę. Nie kopie się przecież leżącego. I w dodatku płaczącego. – Jak ty wyglądasz?! – krzyknęła, kiedy już zdołała od siebie odlepić blogera, najwyraźniej próbującego

nie wypuścić jej z objęć do późnej nocy. – To znaczy... Jak ty wyglądasz!

Do tej pory zawsze widziała Mario tylko w makijażu. Nawet kiedy brali udział w wyjaśnianiu sprawy zabójstwa Misterów Polonia i bloger nie zdołał o poranku przekonać policjantów, żeby dali mu choć chwilę na make-up („Panie, tu jest miejsce zbrodni, a nie salon piękności, niech się pan nie wygłupia z tą szminką!”), zamaskował twarz taką warstwą podkładu i pudru, że prezentowała się jak coś w rodzaju maski pośmiertnej. Biorąc pod uwagę, że w każdej innej sytuacji Mario używał więcej kosmetyków niż przeciętny klaun, śmiało można zawyrokować, iż Róża zobaczyła jego prawdziwą twarz po raz pierwszy w życiu. Przekonana dotąd, nie wiadomo dlaczego, że pod toną tapety jej przyjaciel musi ukrywać pryszcze, wągry, ślady po ospie albo inne niemiłe dla oka mankamenty urody, teraz przeżyła prawdziwy szok. Owszem, Mario miał lekko podpuchnięte oczy i nieco ziemistą cerę, ale poza tym jego twarz prezentowała się bez zarzutu. Róża skłonna była nawet uznać ją za piękną, choć to słowo jakoś nigdy nie pasowało jej do mężczyzn, tak jak określenie „przystojna” do kobiet. Z ładnie zarysowanymi kośćmi policzkowymi, całkiem mocną szczęką, szeroką brodą, równiutkim łukiem brwiowym, idealnie symetryczne oblicze Mario prezentowało się bardzo atrakcyjnie.

– Najlepiej na mnie w ogóle nie patrz! – powiedział bloger, podsuwając kołnierz swojego płaszcza bez mała pod oczy. – Jestem jak Britney Spears wtedy, kiedy wiecznie piła, goliła się na łyso i musiała iść na odwyk. Wyglądam jak żul!

Krull wiedziała, że to nie miejsce ani czas na dyskusje natury estetycznej, ale w duchu postanowiła, iż kiedy tylko wypłaczą się z tego wszystkiego, spróbuje przekonać Mario, że robienie sobie make-upu, i to w stylu starzejącej się gwiazdy burleski, nie ma w jego przypadku większego sensu.

– Gdzieś ty się podziewał?! – zapytała za to. – I co ci strzeliło do głowy, żeby uciec z aresztu?

– Nie wytrzymałbym tam ani chwili dłużej – powiedział Mario dramatycznie. – Zamknęli mnie z jakimiś starymi wytatuowanymi oblechami. Nie pozwolili mi nawet pozbyć się do końca makijażu. Czujesz? Słowo „parówa” było najłagodniejsze, jakie usłyszałem od moich towarzyszy. Bałem się jak cholera. W dodatku zaczęli mnie straszyć. Mówili, że z moją twarzą będę miał wzięcie w haremie. Nie wiem tak dokładnie, co w więzieniu oznacza harem, ale raczej wolałbym pozostać przy swojej nieświadomości. Całą noc ze strachu nie spałem i rozmyślałem nad artykułem, który niedawno przeczytałem o tym, jak kilku więźniów uciekło różnymi sposobami ze szpitala. Miałem go w głowie już wtedy, kiedy przewozili mnie na komendę.

– Od razu zaplanowałeś, że im nawiejesz?! – Róża nie wiedziała, czy czuje się bardziej zniesmaczona, zadziwiona czy też pełna podziwu dla swojego przyjaciela.

– A jakże! – odpowiedział Mario. – Wiedziałem, że jestem na przegranej pozycji. Najpierw krzyczę, że kogoś nienawidzę, potem stoję z nożem nad zwłokami tej osoby. Krzesło elektryczne, jak nic!

– W Polsce nie ma kary śmierci – przypomniała mu Róża – a jakby była, to pewnie nie krzesło elektryczne, bo przy nakładach na więziennictwo co druga egzekucja kończyłaby się pewnie zwarciem instalacji. Ale, ale, powiedz mi, co robiłeś z nożem nad zwłokami Lilian? Skąd go wytrzasnąłeś?

– Jak zgasło światło, zamarłem w bezruchu, pewnie tak jak wszyscy. No, może poza tym, kto zabił Lilian. Po kilku minutach doszedłem jednak do wniosku, że to bez sensu, bo najwyraźniej nigdy już go nie zapalą. Ile trwały te ciemności? Kwadrans? Dwadzieścia minut?

– Ponoć tylko pięć...

– Serio? No to wydłużyły mi się jak czas na fotelu u dentysty. U niego kwadrans to też zawsze jak godzina gdzieś indziej. Zacząłem przesuwając się w stronę schodów, bo wydawało mi się, że tam będzie ciut jaśniej. I wtedy na coś nadepnąłem. Chciałem sprawdzić na co. Podniosłem to i wtedy zapaliło się światło. Resztę już znasz...

– Owszem – potwierdziła Róża, po czym przyjrzała się uważnie blogerowi. – Słyszałam, że zanim uciekłeś, podobno dusiłeś się i byłeś trupioblady. Zastanawiam się, jakim cudem oni dali się na to nabrać?!

– Znamy się krótko i nie wiesz o mnie wszystkiego, prawda? – Na twarzy Mario pojawił się cień uśmiechu. – Na przykład tego, że w wolnych chwilach występuję w swoim miasteczku w amatorskim teatrze. Posiadamy tam dobrych nauczycieli, a ja gram między innymi w sztuce, której bohaterem jest mężczyzna cierpiący na astmę. Mam to opanowane do perfekcji! A bledność na twarzy to nowa biała baza pod podkład z dozownikiem...

– Co?! – Róża zrobiła duże oczy.

– No tak, zapomniałem, że ty z kosmetyków używałaś dotąd tylko szarego mydła i kremu Nivea – powiedział z niesmakiem Mario. – Pod makijażem masz podkład, a pod nim bazę...

– Głupis! – prychnęła Róża. – Wiem, co to jest baza. Pytam, jakim sposobem udało ci ją przemycić do aresztu.

– Powiedziałem, że to aparat do inhalacji i że bez niego się uduszę – oznajmił najwyraźniej dumny z siebie Mario. – Nie chcieli ryzykować i pozwolili mi go zabrać. Nawet nie sprawdzili, czy mówię prawdę.

„Zdaje się, że niebawem na komendzie posypią się głowy”, Róża poczuła współczucie dla funkcjonariuszy, którzy zapewne zostaną ukarani za okazaną Mario empatię.

– Resztę wydarzeń pewnie już znasz – dokończył Mario – tyle że teraz nie wiem, co robić. Noc spędziłem z bezdomnymi spod Pałacu Kultury w piwnicy

kamienicy na Hożej. Przynajmniej było ciepło, ale o zapach nawet nie pytaj. Uciekłem stamtąd o świcie. Jak otworzyli sklepy, wyżebrałem od jakiejś dziewczyny kanapkę. Poprosiłem ją też o odrobinę kremu, ale potraktowała mnie jak wariata. Myślałem, że kobiety mają większe zrozumienie dla tego typu potrzeb... Pół dnia się szwendałem i zastanawiałem, co dalej. Nic nie wymyśliłem, więc postanowiłem skontaktować się z tobą. Jesteś jedyną osobą, do której w Warszawie mam zaufanie. Jakiś facet na myjni pozwolił mi zadzwonić ze swojej komórki, nawet mi znalazł numer do ciebie na twojej stronie w necie. Musiałem mu za to wypucować samochód. I co teraz?

Bezradnie popatrzył na Różę, która nie miała zielonego pojęcia, co ma mu odpowiedzieć.

– Chyba nie wierzysz, że to ja zabiłem Lilian – zapytał z nagłym przestraszeniem. – Niezależnie od tego, jak bardzo bym jej nie lubił, nigdy nie zrobiłbym jej żadnej krzywdy! Mogę ci przysiąc na wszystko, co dla mnie najcenniejsze: nową kolekcję Toma Forda i Caviar Spectaculaire!

Krull, która i tak od początku przekonana była o jego niewinności, niepotrzebne były żadne deklaracje. Tym bardziej takie, których nie do końca rozumiała.

– Co to, do cholery, jest Caviar Spectaculaire?! – jęknęła.

– Coś, dzięki czemu będę wiecznie wyglądał na dwudziestolatka – wyjaśnił Mario. – Nowy ujędrniający krem do twarzy La Prairie. Kosztuje ponad dwa tysiące euro. I to tylko za 50 mililitrów!

– Jak cię nie zamkną do ciupy, to z kolei ja obiecuję, i to na Pulitzera, którego na pewno kiedyś zdobędę, że cię po tym wszystkim zaprowadzę do psychiatry – zapowiedziała Róża. – W takiej chwili myśleć o kremie! Jesteś pomylony!

– W takiej chwili – powiedział stanowczo Mario – myślenie o czymś, co dla ciebie wydaje się idiotyzmem, jest dla mnie jedyną pociechą. Tak trudno to zrozumieć?

Róża chciała potwierdzić, ale przypomniała sobie, jak lata temu czekała na wiadomość o stanie zdrowia swojego taty, który pojechał na operację do Niemiec, i to w momencie, kiedy ona sama musiała zostać w kraju. Aby wtedy choć na chwilę oderwać myśli od lekarzy, zabiegów, chorób i innych okropieństw, przez pół dnia zajmowała się wymyślaniem imion dla krasnoludków, które mogłyby umieścić w książce dla dzieci, której i tak potem nigdy nie napisała. Skoro ją uratowały leśne skrzaty, to Mario może się ratować kosmetykami. Tym bardziej że są całym jego światem.

– Nie, nie trudno – odpowiedziała łagodnie. – A co do zbrodni, to przez te półtora dnia udało nam się ustalić całkiem sporo rzeczy...

– Możesz jakoś je streścić? – poprosił blogger. – Bo też wiem albo słyszałem

o Lilian to i owo, więc może będę mógł coś do tego dorzucić...

Róża pokiwała głową i rozejrzała się dokoła.

– Nie stójmy tu – zaproponowała. – Tam naprzeciwko, w podwórzu, jest mała turecka knajpka. Będziemy mogli porozmawiać bez obawy, że ktoś nas podsłucha, bo obsługa tylko udaje, że zna polski. Przy okazji też coś zjesz.

Po chwili siedzieli nad dwiema małymi szklaneczkami z gorącą miętową herbatą i jednym kebabem, całkowicie pochłonięci rozmową...

* * *

Osoba, która doszła w ślad za Różą na ulicę Wspólną, weszła na podwórze i popatrzyła, jak pisarka i jej towarzysz zasiadają przy stoliku w tureckim barze. Przez chwilę ich obserwowała, a następnie wyjęła z kieszeni swojego czarnego długiego płaszcza telefon. Czegoś w nim poszukała, po czym z powrotem go schowała. Z drugiej kieszeni wydobyła inny aparat. Kilka razy popukała palcem w ekran, a następnie przyłożyła telefon do ucha i podciągnęła do góry swój szalik tak, aby zasłonił jej usta.

– Dzień dobry – powiedziała po długiej chwili. – Mam informację dotyczącą zbiegłej osoby. Nazywa się Mariusz Kosek. Jeśli chcecie go złapać, znajduje się w barze „Hisar Kebab” na Wspólnej w towarzystwie pisarki Róży Krull. Powtarzam: Mariusz Kosek. I Róża Krull. Wspólna. Teraz. – Po czym rozłączyła się i szybkim krokiem pomaszerowała w stronę pobliskiego skweru Batalionu AK „Zaremba-Piorun”, a następnie skręciła w prawo w Poznańską, gdzie wsiadła do granatowego Citroena C-4.

* * *

– Lilian? – Róża patrzyła na Mario ze zdziwieniem. – Wyrzuty sumienia? Jakoś mi to do niej kompletnie nie pasuje!

– Z tego, co mówił Aleks, jej perkusista, kiedyś jej się tak wyrwało – Mario przełknął ostatni kęs kebaba, czując, że jest to nie tylko najlepsze tureckie danie, ale i najsmaczniejsze pożywienie, jakie kiedykolwiek miał w ustach – że mimo wszystko wcale by nie zwalniała tego menadżera, ale musi, bo ma wyrzuty sumienia...

– Ciekawe, co mogła mieć na myśli – zastanowiła się Róża, odnotowując w tej samej chwili nagły sygnał od swojej intuicji, że coś jest nie tak. Tylko co? – I w stosunku do kogo miała te wyrzu...

W tym momencie wiedziała już, co umysł podpowiedział jej sekundę temu, jednak nie zdążyła tego wypowiedzieć na głos. Przez Wspólną, której ze swojego miejsca widziała tylko mały fragmencik, jechał bardzo powoli radiowóz. Pisarka najpierw zobaczyła jego tylne, a następnie przednie drzwi, co oznaczało, że pojazd posuwa się do tyłu. Skojarzenia w jej głowie z miejsca połączyły się w jedną całość. Knajpka na mapie i w GPS-ach miała pomyłony o dwa numery adres, który kierował nie do niej, a do oddalonego nieco tureckiego sklepu o tej samej nazwie. Skoro radiowóz wracał, to znaczy, że podjechał tam, a teraz jego kierowca usiłuje znaleźć bar. Wniosek nasuwał się sam.

Róża zerwała się na równe nogi, czując, jak adrenalina z miejsca skacze jej ponad wszelkie normy. Mario popatrzył na nią ze strachem w oczach.

– Wyjście! – krzyknęła Róża do kręcącego się za ladą Turka. – Czy jest stąd inne wyjście?!

Sprzedawca rozłożył ręce i pokręcił głową, dając jej znać, że nie rozumiał tego, co do niego powiedziała. Róża powtórzyła komunikat błagalnym tonem, tym razem po angielsku. Turek przez chwilę przenosił wzrok z niej na pobladłego, roztrzęsionego Mario, po czym wskazał jej drzwi z napisem „Private”.

– Drugie – wyjaśnił łamaną angielszczyzną. – Podwórce. Biec, bieć! Koło ściana! Wy znaleźć trzy drzwi. Zapukać. Moja żona. Sklep. I was wypuści! Wy mówić, Murat prosić.

Gdyby Róża władała angielskim perfekcyjnie, zapewne miałyby problem ze zrozumieniem jego poleceń. Na szczęście jej znajomość tego języka była mocno kulawa i dlatego pojęła wszystko w mig. Wiadomo, że dwie osoby średnio posługujące się jakimś językiem rozumieją się z reguły od pierwszego kopa. Krull nie zastanawiała się nawet nad nieco niejasnym sformułowaniem o „trzech drzwiach”, w które trzeba zapukać. Tym bardziej że natychmiast przypomniała jej się scena, którą przeżyła parę lat temu na promie z Bari na Korfu. Chcący ją tam wszelkimi sposobami poderwać młody Włoch z dumą oświadczył wtedy: „I see Greece one”. Róża od razu wiedziała, że oznacza to, że jej adorator zobaczy Grecję po raz pierwszy w życiu. Teraz też nie miała wątpliwości, że trzeba po prostu zapukać w trzecie drzwi. Pisarka miała ochotę ucałować uczynnego Turka, ale obrzuciła go jedynie wdzięcznym spojrzeniem, w duchu obiecując sobie, że ilekroć poczuje ochotę na turecką kuchnię, zawsze będzie przychodziła właśnie tutaj. Pchnęła wskazane drzwi, potem drugie, wydostając się razem z Mario na zewnątrz budynku. Kilkanaście metrów, dzielące ich od zaplecza sklepu, pokonali z prędkością światła. Róża o mało co nie złamała sobie ręki, waląc z całej siły w metalowe drzwi. Otworzyła je młoda, ubrana w tradycyjny muzułmański strój

Turczynka. Wyraz oburzenia zniknął z jej twarzy, kiedy tylko pisarka wymówiła imię jej męża. Kobieta poprowadziła ich przez zaplecze i sklep, a następnie, widząc wysiadających kilkanaście metrów dalej z samochodu i znikających w bramie policjantów, pokiwała ze zrozumieniem głową.

– Policja, tfu – powiedziała po polsku z niechęcią, spluwając przy tym pod nogi. – Wszędzie to samo. Idźcie w pokoju. Iyi şanslar!

Tym razem Róża nie powstrzymała się przed uściskaniem swojej rozmówczyni. Potem uchyliła drzwi i ostrożnie wyjrzała. Policjantów nie było, za to od rogu Wspólnej i Emilii Plater dzielił ją i Mario dość krótki dystans.

– Teraz albo nigdy! – powiedziała stanowczo, otwierając szeroko drzwi. – Biegniemy!

Róża nie pamiętała, czy kiedykolwiek w życiu poruszała się tak prędko jak teraz. Za sobą czuła głośny oddech Mario. Widać, podobnie jak ona, blogger nie miał kondycji olimpijczyka. Zatrzymali się dopiero za rogiem, kiedy zasłonił ich mur przy kościele świętej Barbary. Zasapany Mario zgiął się w pół, kładąc ręce na kolana i łapiąc hausty powietrza. Róża odzyskała normalny oddech szybciej od niego. Zrobiła kilka kroków w tył i wyjrzała na Wspólną, aby zobaczyć, jak policjanci wychodzą z bramy, przystają przy radiowozie i zaczynają konwersować przez krótkofalówki.

– Nie ma na co czekać, lecimy do mnie – powiedziała stanowczo. – Tylko migiem, bo oni na pewno też zaraz tam będą! No, już!

– Zaraz zdechnę – wydyszał Mario. – Mam mroczki, zygzaki i paseczki przez oczami!

– A chcesz mieć paseczki też na swoim stroju?! – zapytała gniewnie Róża. – Bo jak nie ruszysz natychmiast czterech liter, to mogę ci zagwarantować, że będziesz miał. Jazda!!!

Róża szybkim krokiem zaczęła iść w stronę Pałacu Kultury, co jakiś czas oglądając się za siebie. Mario wziął kilka głębszych oddechów i pognał za nią. Minęli Nowogrodzką i dochodzili już prawie do Alei Niepodległości, kiedy Róża odnotowała kątem oka wyłaniający się ze Wspólnej radiowóz.

– Do przejścia! – rozkazała, znów zaczynając biec. Mario jęknął, ale nie został w tyle. Kiedy wóz policyjny przejechał przez Nowogrodzką, byli już pod ziemią. Róża ani na moment nie zwolniła tempa, w duchu będąc pewna, że walczą z czasem i że policja na pewno zacznie wkrótce obserwować jej mieszkanie, znajdujące się w bloku vis-à-vis Sali Kongresowej. O ile już go nie obserwuje. Unikając wyjścia na zewnątrz, gdzie byliby widoczni jak na dłoni, poprowadziła Mario najpierw przejściem podziemnym, potem wzdłuż wejścia na perony Dworca Centralnego, a następnie wewnątrz centrum handlowego „Złote Tarasy”. Wyszli z nich bocznymi drzwiami na ulicę Złotą. Przeszli przez nią i stanęli pod ogromnym budynkiem, mieszczącym najbardziej luksusowe i najdroższe

apartamenty w stolicy, zaprojektowanym przez Daniela Libeskinda, i ze względu na swój kształt nawiązujący do burty statku, ochrzczone mianem „Żaglowca”.

Róża poprowadziła Mario jeszcze kilka metrów chodnikiem między „Żaglowcem” i hotelem Mercury. Kiedy minęli oba te budynki, weszli na schody, z których widać było blok Róży.

– Zostań tu – poleciła pisarka – i miej oczy dookoła głowy. Jeśli tylko zobaczysz policję, ulotnij się. Jakby co, spotkamy się pod apteką na Złotej, po drugiej stronie Jana Pawła, dokładnie o dwudziestej. OK?

– A jeśli cię przymkną? – zapytał Mario. – W ogóle jakim sposobem nas tam wytropili?!

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała bezradnie Róża – ale nie podoba mi się to wszystko jak cholera. Czekaaj tu, mam nadzieję, że uda mi się to, co zamierzam...

– A co zamierzasz?

– Nie mamy czasu na tłumaczenie – zezłościła się Krull. – Musisz mi zaufać! Zostań i uważaj!

Po czym znów ruszyła biegiem przed siebie, w duchu myśląc, że dzisiejszy dzień musi być karą za to, iż w liceum zwolniła się na całe cztery lata z lekcji wychowania fizycznego. Wykorzystała do tego wypiszkę szpitalną swojej mamy, wystawioną tylko na jej nazwisko, do którego dopisała swoje imię. Przepuklina lędźwiowego odcinka kręgosłupa była jej przepustką do lenistwa i kończenia pobytu w szkole o całą godzinę wcześniej, bo w-f z niewiadomych przyczyn zawsze był ostatnią lekcją.

Czując, że jutro prawdopodobnie nie będzie w stanie ruszyć się z łóżka z powodu zakwasów, Róża dobiegła do drzwi na swoją klatkę schodową. Machnęła ręką na windę, która jeździła tak, że człowiek czuł, jak się w niej starzeje tudzież siwieje, i siłą rozpędu wbiegła na czwarte piętro po schodach. Przycisnęła dzwonek i na wszelki wypadek w ogóle nie zdjęła z niego palca.

– Na świętego Filipa Smaldone, przecież zaraz ogłuchnę! – Cecylia otworzyła jej drzwi, demonstracyjnie trzymając jedną rękę na uchu. – Pali się czy co?

Róża przejechała po niej półprzytomnym wzrokiem, zrobiła kilka kroków w stronę wiszącej w przedpokoju drewnianej miniaturki kota, na którego ogonie wisały na kilku smyczach różne zestawy kluczy. Z ulgą chwyciła jeden z nich.

– Jakby co, nie było mnie tutaj i od rana nie widziała mnie pani na oczy – powiedziała stanowczo do gosposi. – Muszę lecieć...

– Pani Różyczko... – Cecylia niespodziewanie stanęła jej na drodze do wyjścia. – Musimy porozmawiać. Koniecznie!

– Bardzo chętnie, ale nie teraz! – Róża delikatnie dotknęła jej ramienia, żeby ją przesunąć, ale gosposia ani drgnęła. – Pani Cecylio..!

– Muszę pani powiedzieć coś natychmiast – oświadczyła z dziwną determinacją. – To dotyczy morderstwa!

Róża zastanowiła się przez chwilę, co robić, po czym sięgnęła po wiszące na drzwiach futro gosposi.

– Opowie mi pani po drodze – rzekła tonem wykluczającym jakikolwiek sprzeciw. – Zbieramy się stąd, zanim przyjedzie policja!

Cecylia lekko zbladła, ale posłusznie nałożyła palto. Pisarka bez mała wypchnęła ją z mieszkania, wskazała jej ruchem głowy, żeby zaczęła schodzić na dół, a sama zajęła się zamykaniem drzwi, co w jej przypadku nie było wcale taką prostą i szybką czynnością. Róża miała bowiem przy tym swój rytuał, polegający na tym, że po przekręceniu klucza w obu zamkach musiała cztery razy pociągnąć za klamkę, następnie oddalić się trochę, wrócić i znów sprawdzić, czy drzwi są na pewno zamknięte. Świadoma swojego dziwactwa, przez Betty nazywanego „nerwicą natręctw”, a przez Pepe „pierdolcem”, Róża zawsze zastanawiała się, czy postąpiłaby tak samo w jakiejś ekstremalnej sytuacji, na przykład w wypadku pożaru albo zagrożenia wybuchem bomby. Teraz okazało się, że i owszem. Mimo iż spieszyło jej się jak jasna cholera, starannie odprawiła cały rytuał, a następnie, widząc, iż jej gosposia zamarła przy poręczy niczym żona Lota, o mało co ze złości nie rzuciła jej ze schodów. Już się nie miała kiedy zaciąć, tylko akurat teraz!

– Na świętego Michała Archaniola, dlaczego uciekamy przed policją? – zapytała rozpaczliwie Cecylia. – Przecież nic nie zrobiłyśmy!

– Właśnie dlatego – powiedziała gniewnie Róża, popędzając ją niecierpliwym gestem. – Niechże pani szybciej złazi. Tyle razy pani gała, że ćwiczyła bieg przez płotki!

– Ale to było pięćdziesiąt lat temu! – zaprotestowała z urazą Cecylia. – Od tego czasu kondycja trochę mi siadła. A poza tym, jak nic nie zrobiliśmy, to tym bardziej nic nie rozumiem...

– Ukryjemy Mario, bo się znalazł – wyjaśniła Róża, czując, że jej wypowiedź, choć zgodna z prawdą, brzmi nieco mętnie – a że policja depcze nam po piętach, to wywieziemy go w bezpieczne miejsce.

– Wywieziemy..? – W głosie Cecylii pojawił się akcent niepokoju. – Czym?!

– Stefanem...

– O nie! – Niepokój gosposi przerodził się w panikę. – Święty Krzysztofie, miej nas w opiece! Przecież pan Paweł nas zabije!

Imię Stefan Pepe nadał swojemu nowemu samochodowi, zakupionemu trzy miesiące temu za ostatnie, nie pochodzące z kredytu pieniądze. Trzydrzwiowy, świeżutki Opel Corsa w szarym metalicznym kolorze był jego ulubioną zabawką i oczkiem w głowie. Kiedy tylko nie musiał załatwiać formalności związanych z kawiarnią, Pepe dopieszczał go, kupował mu dodatkowe wyposażenie oraz dmuchał na niego i chuchał. I to z takim uczuciem, że kiedyś Róża – zirytowana

reprimendą, że chyba ma nie po kolei w głowie, jeśli usiłuje wejść do środka z kubkiem kawy, choć ten był szczelnie zamknięty – stwierdziła, że jej były agent ma szansę być pierwszym facetem na świecie, który ożeni się ze swoim autem, i że na jego miejscu już zaczęłaby się zastanawiać, na co mu włoży obrączkę. A przy okazji przechrzcilałaby go jednak na Stefanię, bo w Polsce szybciej będzie można ożenić się z własnym samochodem niż wziąć ślub jedнопłciowy. Od wczoraj Stefan stał pod domem Krull, bo w czasie ich wieczornej narady Pepe chlapanął sobie kieliszek wina i wrócił do domu taksówką. Klucze do Stefana pisarka miała dlatego, że kilka dni wcześniej jej były agent, zajęty restauracją, zostawił jej dodatkowy komplet, aby mogła pokazać środek pojazdu specowi, który miał wykonać wymyślone przez niego i specjalnie już nawet zaprojektowane pokrowce na fotele.

– Co się pani zrobiła nagle taka strachliwa? – fuknęła Róża. – Przecież go nawet nie drasnę!

Choć zabrzmiało to przekonująco, pisarka wcale nie była pewna, czy uda jej się dotrzymać słowa. Uświadomiła sobie bowiem, że ostatni raz siedziała za kółkiem pięć lat temu. Szczęśliwym trafem też za kierownicą Opla Corsy, ale starszego typu. Mając nadzieję, że od tego czasu nie zaszło w nim zbyt dużo zmian, a już nie takich, żeby nie umiała go uruchomić i dojechać nim do celu, Róża wybiegła przed klatkę. Ręką przyzwała Mario, a Cecylii kazała otworzyć znajdującą się przy wylocie na Sienną bramę i poczekać tam na nich.

– Na razie wszystko idzie jak należy – uspokoiła nadal trzęsącego się, teraz już chyba bardziej z zimna niż z wysiłku, blogera. – Policji jeszcze nie było?

– Nie...

– No, to ruszamy na Pańską!

– Czemu na Pańską?

– Bo tam mamy najlepsze schronienie – powiedziała Róża, otwierając drzwi samochodu, pochylając oparcie fotela kierowcy i dając znać Mario, żeby usiadł na tylnej kanapie. – Widzisz ten klucz. Otwiera lokal, w którym mój były agent zamierza urządzić kawiarnię. Mogę cię tam na razie zamelinować. Będziesz miał światło i wodę. Podrzucimy ci tam też jedzenie.

Mario usiadł za nią. Róża wzięła głęboki oddech i włożyła kluczyk do stacyjki. Silnik odpalił. „Ciekawe, czy z jazdą samochodem jest tak jak z tą na rowerze?”, pomyślała, naciskając sprzęgło i usiłując przypomnieć sobie choć najważniejsze rzeczy związane z kierowaniem pojazdem. Po kilkunastu sekundach, w czasie których zdążyła narazić siebie i Mario na wybicie zębów, kilka razy zgasić silnik oraz przy wyjeżdżaniu prawie otrzeć się o jakiś kobyłasty samochód stojący obok, doszła do wniosku, że może to nie być tak banalnie proste, jak wcześniej przypuszczała. Blogger patrzył na nią wzrokiem pełnym dezaprobaty.

– Czy ty w ogóle umiesz prowadzić? – zapytał z przekąsem. – Bo może

jednak łatwiej byłoby, gdybyśmy tam dobiegli?

– Umiem, umiem – warknęła Róża – a na bieganie nie ma czasu. Dostałam obsesji i teraz już wydaje mi się, że każdy policjant wie, jak wyglądamy, i że nas zaaresztuje.

– Z dwojga złego wolę już posiedzieć trochę w mamrze niż zakończyć życie w kraksie samochodowej – powiedział Mario. – Twoje umiejętności w kierowaniu samochodem rzucają całkiem nowe światło na kwestię odsiadki...

– Zamknij się wreszcie! – rozkazała Róża, opanowując wreszcie koordynację swoich czynności. Podjechała pod bramkę i zgarnęła Cecylię. W tym samym momencie zobaczyła w bocznym lusterku, że od strony „Żagłowca” nadbiega dwóch policjantów. Róża usłyszała nawet, jak coś krzyczą w jej stronę, ale nie rozróżniła słów. Bez namysłu ruszyła Sienną. Co jakiś czas zerknęła w lusterko, ale żaden z funkcjonariuszy nie pobiegł za nimi. Wydało jej się to dziwne.

– Co chciała mi pani powiedzieć? – zapytała gosposię, przerywając jej mamrotanie pod nosem jakiejś modlitwy. – Przed chwilą, w mieszkaniu?

– Wtedy, kiedy pokazywałyście mi na komputerze zdjęcie noża – powiedziała Cecylia – tego, którym przebito tę biedaczkę, wydaje mi się, że coś podobnego...

W tym momencie gdzieś w oddali rozległa się syrena radiowozu. Róża, która właśnie włączała się do ruchu na alei Jana Pawła II, spojrzała w lewą stronę i poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła. Z Chałbińskiego, na wysokości Dworca Centralnego, wyjeżdżał w jej stronę zniechęcony srebrny pojazd z charakterystycznymi niebieskimi pasami i migającym kogutem. Pisarka szybko oceniła sytuację, dochodząc do wniosku, że albo złamie wszystkie możliwe przepisy kodeksu drogowego, albo za kilkadziesiąt sekund przedzierając się przez robiące mu w pośpiechu miejsce inne auta radiowóz odetnie jej jedyną drogę ucieczki. „Niedoczekanie!”, pomyślała i od tego momentu zaczęła działać odruchowo. Docisnęła gaz, w ostatniej chwili, o milimetr wyrabiając się przed zjeżdżającym z wiaduktu z dużą szybkością BMW, przedarła się na lewy pas. Kierowca BMW użył klaksonu, a inny, któremu też zajęła drogę, pogroził jej pięścią, ale Róża miała to w nosie. Nie bacząc, że światła się dopiero zmieniają, jeszcze bardziej zwiększyła prędkość i wyprzedzając po drodze w jakimś szalonym slalomie dopiero co ruszające sprzed przejścia dla pieszych auta, wjechała na Rondo ONZ, zamierzając stamtąd wjechać w ulicę Prosta. Słyszalny przez cały czas sygnał radiowozu brzmiał w jej uszach niczym trąby anielskie zwiastujące nadejście Apokalipsy. Już na rondzie uświadomiła sobie, że Prosta jest zamknięta z powodu budowy metra. „Szlag by to”, pomyślała, wjeżdżając znów w Jana Pawła II, tyle że w przeciwnym kierunku. „Jeździć do Złotej czy od razu do Alej?”, deliberowała w panice, kiedy nagle zobaczyła stojący na chodniku kilkaset metrów dalej kolejny radiowóz. „Zajedzie mi drogę i gra skończona”, pomyślała ze

strachem. Nie było czasu do namysłu! W ostatniej chwili Róża ostro skrzyła w Żółtą, czując ku swojemu przerażeniu, jak wpada w poślizg. Auto niebezpiecznie się przechyliło i podskoczyło, gdy jedno z kół wjechało na krawężnik. Mając wrażenie, że właśnie przekroczyła granicę swoich własnych umiejętności, a właściwie ich braku, Róża wypuściła kierownicę z rąk i zamknęła oczy.

Mario i Cecylia zgodnie wydali z siebie okrzyki, tyle że o różnej treści.

– Panienko Jasnogórska, miej nas w swej opiece – brzmiał ten gosposi, która obiecała sobie w duchu sekundę wcześniej, że jeśli tylko uda jej się wydostać cało z tego piekła, rzuci robotę, wstąpi do zakonu karmelitek bosych i spędzi resztę życia w izolacji od świata i takich wariatek jak Róża, jedząc tylko ziemniaki, które sama będzie uprawiać w przyklasztornym ogródku.

Okrzyk Mario był nieco bardziej konkretny i brzmiał:

– Do stu cholier!!! Kierownica!!!

Szturchnięta przez blogera w ramię Róża otworzyła oczy. Doznając ze zdenerwowania szczękościsku, siłą woli, bo przecież nie umiejętności, wyprowadziła pojazd z poślizgu. Już chciała odetchnąć, kiedy zauważyła, że pruje prosto w uliczny stragan z owocami i warzywami. Mając pewność, że nie zdoła już wykonać żadnego manewru, który zapobiegłby kolizji, bez większej wiary w sens tego działania, szarpnęła kierownicą w prawo, czując jednocześnie, jak auto w coś uderza. Hałas był mniejszy, niż się spodziewała, ale za to po sekundzie na szybie pojawiły się dziwne czerwone zmały. Róża miała wrażenie, że zamierają w niej wszystkie funkcje życiowe! Rozjechała handlarza! Niewinnego człowieka! I to podczas ucieczki przed policją! Dożywocie, jak nic!

– Zabiłam go?! – krzyknęła rozpaczliwie, nie zmieniając tempa jazdy. – Mario?!

Bloger odwrócił się i popatrzył przez tylną szybę.

– Nie! – odkrzyknął.

– To czemu mam krew na szybie?! – spytała Róża, odwracając do niego głowę. – Musiałam mu coś zrobić!!!

– Zabiłaś kilka kilogramów pomidorów – odpowiedział Mario. – Uspokój się! I patrz przed siebie!

Róża spełniła jego prośbę i, czując w sobie nagle ducha Roberta Kubicy, docisnęła pedał gazu jeszcze mocniej. Z taką prędkością, jakby brała udział w wyścigu Formuły 1, przecięła ulicę Żelazną.

– Niech się pani teraz mocniej pomodli – poprosiła Cecylię – bo albo nam się uda, albo leżymy...

– Wszyscy święci skończyli mi się jeszcze przed straganem – powiedziała słabym głosem gosposia. – Teraz została mi już tylko moja patronka, ale ona jest na czarną godzinę!

– Jak dla mnie może się pani pomodlić nawet i do smoka wawelskiego –

warknęła Róża. – Byle skutecznie! No dobra, teraz albo nigdy!

Byli na ulicy Twardej. Róża znów gwałtownie skręciła, tym razem w prawo. Wjechała w ślepią uliczkę, po czym minęła stojący tam wysoki blok i gwałtownie zahamowała, kryjąc samochód w jego cieniu. Po kilkunastu sekundach usłyszeli najpierw zbliżający się, a potem oddalający sygnał policyjnego samochodu. Zgodnie z kalkulacją Róży policjanci przejechali ich kryjówkę i ruszyli dalej w kierunku Towarowej. Pisarka odetchnęła z ulgą, wycofała samochód i znów nabierając tempa, wyjechała z powrotem na Twardą, a potem skręciła w lewo w Żelazną, o mało co znów nie powodując po drodze kilku wypadków. Zgubienie jednak pościgu sprawiło ją w tak dobry nastój, że kiedy kierowca jednego z pojazdów, w które o mało co nie wjechała, pokazał jej środkowy palec, posłała mu całusa i głośno się roześmiała. Nie było w tym nic dziwnego, bo Krull zawsze odreagowywała stresy śmiechem.

– Wiem, kogo mi od kilku minut przypominasz – powiedział obserwujący ją ze zgrozą Mario. – Siostrę Klotyldę! Tę, która zawsze woziła Louisa De Finnesa w „Żandarmie”. Macie ten sam oryginalny styl prowadzenia auta. Jesteś pewna, że to nie ona była twoją instruktorką jazdy?

Róża popukała się w głowę, dumając nad czymś innym. Jeśli podjedzie samochodem pod restaurację Pepe, policja wyśledzi ich natychmiast. Co robić..? I w tym momencie spłynęło na nią natchnienie. Zamiast skręcić w lewo w kierunku lokalu swojego przyjaciela, wykręciła w prawo, po czym od razu się zatrzymała.

– Wsiadajcie! – rozkazała Cecylii i Mario – i poczekajcie na mnie pod różową kamienicą. Jakbyście zobaczyli policję, jakoś się ukryjcie, wejdźcie do sklepu albo w jakieś podwórze. Ja zaraz dotrę.

Mario kiwnął głową i wygramolił się z samochodu odchyliwszy siedzenie, które zdążyła już opuścić Cecylia. Róża ruszyła i po kilkunastu sekundach wjechała na parking przeznaczony wyłącznie dla ekipy pracującej przy budowie metra. Nie było tu żywego ducha. Róża zaparkowała między dwiema ciężarówkami. Zgasiła silnik i nagle poczuła, że ogarnia ją słabość. „Weź się w garść”, pomyślała. „Wszystko będzie dobrze”.

ROZDZIAŁ XXI

ROZMOWA Z MORDERCĄ

Dwie osoby siedziały naprzeciwko siebie w małej, zacisznej knajpce na Saskiej Kępie. Na stoliku przed jedną z nich stał kieliszek z czerwonym winem, przed drugą – kubek z czarną herbatą. Od chwili, kiedy się przywitały i złożyły zamówienie, żadna z nich nie wypowiedziała ani jednego słowa. Najwyraźniej czekały, aż obsługująca je i kręcąca się w pobliżu kelnerka zajmie się swoimi sprawami i przestanie zwracać na nie uwagę, co też po kilku minutach nastąpiło.

– Od kiedy mnie podejrzewasz? – zapytała wtedy osoba, która zamówiła herbatę.

– Od chwili, kiedy dotarło do mnie, gdzie znajdowali się wszyscy, kiedy zapaliło się światło – powiedziała druga osoba, sięgając po kieliszek. – Nikt nie zwrócił na ciebie uwagi. Poza mną. Ale to było tylko podejrzenie. Teraz już mam pewność.

– Pewność? – Na twarzy pierwszej osoby pojawił się uśmiech.

– Owszem – potwierdziła druga, popijając trochę wina. – Wypadek księdza.

Akurat w tej parafii. Nie rozumiem tylko dlaczego. Ale coś mi powiedziało: miej oczy szeroko otwarte. Potem ten drugi wypadek. I to na moich oczach!

– Czemu policja jeszcze nic o tym nie wie?

– Mam swoje powody...

– Szantaż? Wiesz przecież, że jestem bez grosza.

– Są inne sposoby okazania wdzięczności...

– Wydawało mi się, że nie chcesz ich już przyjąć.

– Tylko głupcy trzymają się wiecznie tych samych poglądów. Rozsądni potrafią je rewidować.

– Czego oczekujesz..?

– Wiem, co miała Lilian. Teraz wszystko to ma być moje. Wszystko!

– Nie będzie łatwo.

– Przecież dla ciebie nie ma rzeczy niemożliwych, nieprawdaż? –

Uśmiechnęła się druga osoba, popijając kolejny łyk wina. – Trzy morderstwa. Kto by się spodziewał...

– Nie boisz się, że będzie i czwarte.

– Nie.

– Czyżby?

– W twoim interesie jest dbać o mnie i o moje zadowolenie. W przeciwnym razie na policję trafi film, na którym dokładnie widać, jak rozjeżdżasz gosposię Róży Krull.

– Kurwa!

– Czyli jednak nie jesteś z żelaza. To dobrze. A przy okazji... Róża Krull? Nie masz co się martwić. Nie usłyszała ani słowa prawdy. Wręcz przeciwnie.

Przez chwilę obie osoby znów milczały. Ta popijająca herbatę miała w oczach wyraz złości, ta trzymająca kieliszek wina – rozbawienia.

– Na koniec powiedz mi, czy dobrze się domyślam – poprosiła w końcu ta ostatnia. – Chodziło o zemstę, prawda? Za niego?

I już wypowiadając to pytanie, czuła, że nie musi właściwie czekać na potwierdzenie. Widziała je w oczach naprzeciwko. Oczach przepelnionych nienawiścią.

ROZDZIAŁ XXII

JA JĄ ZABIJĘ!

Betty trzymała słuchawkę w lekkim oddaleniu od ucha i zastanawiała się, co jeszcze Darski wymyśli dla jej pracodawczyni. Na razie Róży groziły:

a) tortury w stylu średniowiecznym – a mianowicie oblanie smołą, wytarzanie w pierzu i przepędzenie publiczne głównymi arteriami stolicy, co akurat wyszłoby naprzeciw oczekiwaniom Krull, która zawsze marzyła o wzięciu udziału w maratonie, tylko była na to zbyt leniwa. Problemem mógłby być strój, a właściwie jego brak, ale kiedyś w maratonie brał udział jeden facio przebrany za strusia i jakoś sensacji z tego nie było, więc Róża w roli opierzonej kury też by pewnie uszła;

b) rozciąganie na kole, co w sumie do pewnego stopnia też mogłoby przypaść pisarce do gustu, bo zawsze twierdziła, że chciałaby być odrobinę wyższa, a po czymś takim z pewnością by była;

c) obdarcie ze skóry, co też nie wydawało się takie groźne, biorąc pod uwagę, że połowa gwiazd Hollywood płaci za coś w tym stylu straszliwe pieniądze

chirurgom plastycznym;

d) zamknięcie w izolatce o chlebie i wodzie, co stanowiło dziecinną igraszkę, uwzględniając to, jak idealną figurę miałoby się po wyjściu na wolność.

Tym, co na razie wydało jej się w potoku słów ukochanego jako tako groźne, było nabicie Róży na pal, ustawiony na samym środku placu Piłsudskiego, spalenie jej jako wiedźmy na stosie oraz użycie w roli Marzanny i utopienie w Wiśle.

– No dobrze, już się tak nie denerwuj, bo ci w końcu pęknie jakaś żyłka – powiedziała, kiedy narzeczony zrobił przerwę na złapanie oddechu. – Przecież wiesz, że ona jest postrzelona!

– Mogła być zastrzelona! – krzyknął Darski. – Czy ty nie rozumiesz, co ona zrobiła? Pomoc zbiegowi? Ucieczka przed policją? Złamanie tryliarda przepisów ruchu drogowego? Próba nieumyślnego zabicia przypadkowej osoby? Przecież ona nie wyjrzy z więzienia!

– No, może tym razem odrobinę przesadziła... – przyznała sprawiedliwie Betty.

– Odrobinę?! – ton głosu w słuchawce wskazywał, że Darski jest bliski apopleksji. – Czy wy wszyscy jesteście poszkodowani na umyśle? Słuchaj, to nie są żarty. Za to wszystko grożą poważne konsekwencje. Jeśli chcesz je choć trochę złagodzić, przekonaj tę wariatkę, żeby dobrowolnie się do nas zgłosiła. Razem ze swoim przyjacielem. Może będę w stanie załatwić z prokuratorem, żeby zaproponował sądowi dla niej wyrok w zawieszeniu. Aczkolwiek w obecnej sytuacji nie wiem, czy się na to zgodzi. Ja na jego miejscu zrobiłbym jej pokazowy proces. Jak każdemu celebrycie. Osoby publiczne powinny świecić przykładem, ale nie dla kryminalistów!

– Już dobrze, dobrze, zrób dziesięć głębokich wdechów i wydechów – poradziła mu Betty – a ja spróbuję się zorientować, gdzie jest Róża, i z nią pogadać. Daj mi tylko trochę czasu.

– Masz godzinę! – powiedział Darski. – I pamiętaj, że jeśli ona nie zgłosi się do nas dobrowolnie, tylko ją sami złapiemy, dopilnuję, żeby prokurator wystąpił o najwyższy wymiar kary. Nie pomogą żadne płacze, szloch i błagania. Ani szantaże emocjonalne!

Betty zdziwiła się trochę, że jej ukochany wymienia sposoby, których akurat w ich wzajemnych relacjach nigdy nie próbowała wcielić w życie.

– Ani żadne potrawy kuchni francuskiej, włoskiej, hiszpańskiej, kuźwa, abisyńskiej czy gwadelupskiej – dokończył Krzysztof i dodał mściwie – a na seks ja sam nie będę miał ochoty!

„Obiecanki cacanki”, pomyślała z rozbawieniem Betty, po czym rozłączyła się i od razu wybrała drugi numer. Chwilę potem wysłuchiwała kolejnej gniewnej tyrady, skierowanej pod adresem Róży, tym razem z ust Pepe.

„Mam dzisiaj niezły dzień”, pomyślała, „drugi facet, druga furia”.

– Najgorsze jest, że nie wiem, gdzie jej szukać – powiedziała jak najłagodniejszym tonem, kiedy Pepe zakończył swój wywód, w którym obiecał zrobić Krull dużo więcej złych rzeczy niż autor dzieła „Młot na czarownice” średniowiecznym feministkom – i dlatego do ciebie dzwonię, bo ty znasz ją jednak o kilka lat dłużej i lepiej. Wiem, że nawiała policji samochodem...

– Jakim samochodem? – przerwał jej Pepe. – Przecież ona nie ma samochodu!

– Metalicznym szarym Oplem Corsą...

Pod drugiej stronie rozległ się taki hałas, jakby coś się waliło albo jakby Pepe znalazł się pod obstrzałem bomb.

– Ja... ją... zabiję... – oznajmił dziwnym, gardłowym głosem, między poszczególnymi słowami ciężko dysząc. – Własnymi... rękami... uduszę... albo... zatłukę... wałkiem...do ciasta...

Ponieważ hałas rozlegał się nadal, Betty przeraziła się, że na razie jej rozmówca robi jakąś krzywdę samemu sobie.

– Co to za odgłos? – zapytała z przestachem. – Gdzie ty w ogóle jesteś?!

– W tej pieprzonej kamienicy! Wałę kilofem w ścianę, wyobrażając sobie, że to Róża – wyjaśnił Pepe. – Czy ty wiesz, co ona zrobiła?!

– Co?

– Ukradła Stefana!

Dopiero teraz Betty uświadomiła sobie, jakim wykazała się przez ostatnie minuty niedorozwojem umysłowym. Przecież doskonale wiedziała, do kogo należy opisany przez Darskiego opel, jak i to, że nie należało mówić o wykorzystaniu go w celach przestępczych jego właścicielowi. Przez chwilę zastanawiała się, czy Pepe nie trafia właśnie apopleksja. Pocieszyła się jedynie myślą, że szczupłym zdarza się to o wiele rzadziej, a z jej rozmówcy jest przecież chudzinka. Dla Róży za to nie ma już ratunku, bo nawet jeśli krzywdy nie zrobi jej Darski, to z pewnością dozna jej ona z rąk Pepe.

– Jestem pewna, że na niego uważała – zapewniła, nie dobijając już swojego przyjaciela usłyszonym od Krzysztofa opisem wyczynów Krull za kółkiem – i nie zrobiła nawet małej ryski.

– I tak ją zabiję! – oświadczył mściwie Pepe.

– Dobrze, zabijaj, ale później. Na razie pomyśl, gdzie może być, a właściwie – Betty uświadomiła sobie, że skoro jej rozmówca znajduje się na Pańskiej, to są blisko siebie – to zaraz do ciebie wpadnę, bo jestem na rogu Karolkowej i Kasprzaka. Naradzimy się. Kupić coś po drodze? Chcesz sobie chlapanąć na uspokojenie?

– Kup pistolet i naboje – powiedział Pepe, nadal z furią – albo arszenik. A tak serio to coś z procentami tu mam, więc już się nigdzie nie zatrzymuj, tylko przychodź jak najszybciej.

Kilka minut później Betty minęła zamknięte od jakiegoś czasu na głucho centrum handlowe „Jupiter” i wyszła na Pańską. Ku swojemu zaskoczeniu pierwsze, co na niej zauważyła, to nabiegającą z przeciwnej strony tak zwanym świńskim truchtem Różę. Po chwili obie znalazły się w środku miejsca, z którego w najbliższym czasie Pepe zamierzał zrobić najlepszą kawiarnię w Polsce, a kto wie, czy i nie na całym świecie...

ROZDZIAŁ XXIII

RÓŻANIEC

– Jesteście otoczeni..!

Róża przez chwilę zastanawiała się nad sensem wykrzykiwanego przez megafon komunikatu. Skoro policjanci stoją tylko przed wejściem do kawiarni, to jakim cudem mieliby kogoś otaczać? „Może stoją w kółku?”, pomyślała, wyobrażając sobie nagle krąg umundurowanych funkcjonariuszy trzymających się za ręce i bawiących w ulubioną grę wszystkich małych dziewczynek „Anse kabanse flore”, po czym doszła do wniosku, że z nerwów zaczyna już do reszty głupieć.

– Jaki brakujący element? – powtórzyła, patrząc pytająco na Betty.

– Różaniec! Pani Cecylio, pozwoli pani na chwilę... – Betty wyciągnęła rękę, wskazując wzrokiem na oddany przed chwilą gosposi przedmiot. – Spójrzcie uważnie i ruszcie głowami!

– Za chwilę wdrze się tu jakieś komando i nas rozstrzela – powiedziała gniewnie Róża – a ty mi każesz myśleć! Wiesz, ile to może potrwać?!

– Jakoś, kiedy postanowiłaś ukraść Stefana, poszło ci z tym myśleniem błyskawicznie – zauważył zgryźliwie Pepe.

Krull wydała z siebie gniewne pufnięcie.

– Jeszcze raz ci powtarzam – powiedziała, wznosząc oczy ku górze – że twój drogocenny wehikuł jest cały. Nic mu się nie stało, nie ma ani jednej ryski. Lepiej znajdź ten cholerny klucz!

Kłęczący w rogu pomieszczenia i siąkający nosem Mario posłał jej zdziwione spojrzenie i otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale Róża dała mu znać, żeby tego nie robił. Odwróconemu tyłem i grzebiącemu w pęku zardzewiałego żelastwa Pepe ich niema wymiana sygnałów na szczęście umknęła.

– Jesteś przekonany, że na pewno go tam masz? – zapytała Róża, patrząc na Pepe z niepokojem, a jednocześnie wyjmując chusteczkę, żeby otrzeć Mario łzy.

– Tak! – warknął Pepe. – Jeszcze nie mam sklerozy, jak co poniekąd...

– Nie mam żadnej sklerozy, tylko torbiel szyszynki – zaprotestowała pisarka.

– Zwał jak zwał. I tak nigdy nic nie pamiętasz!

– Na świętego Hilarego z Poitiers, czy wy w końcu dacie pani Beatce dojść do głosu?! – spytała z oburzeniem Cecylia – Bo chyba ona jedna ma tu coś ważnego do powiedzenia!

– Hilarego? – zdziwiła się Betty.

– Patron dzieci opóźnionych w rozwoju – wyjaśniła jej pani Cecylia na ucho, wykorzystując chwilę, w której Pepe znów zachrząścił kluczami, Róża wycierała łzy Mario, a policja kolejny raz ostrzegła przez megafon, że jak nie wyjdą z kawiarni, czeka ich apokalipsa. – Pasuje do nich jak ulał...

– To co z tym różańcem? – zaciekawiała się Róża, rzucając chusteczkę w kąt. – Oświeć nas!

– Mogę to zrobić nawet dosłownie – powiedziała Betty, wyciągając telefon i zapalając w nim latarkę. – Możesz poświecić też swoją, bo trochę tu ciemnawo. Co tu właściwie było?

– Teoretycznie skład win – wyjaśnił Pepe, próbując wcisnąć do zamka drzwi, przy których stał, kolejny klucz. Niestety, bez sukcesu. – Praktycznie wydaje mi się, że coś w rodzaju „Podziemnego kręgu”.

– Czego?! – zdziwiła się Róża.

– Klubu walki, takiego jak w filmie z Bradem Pittem. Tym, w którym miał wiecznie rozkwaszony nos. Jakby nie przepaliła się ta żarówka na górze, zobaczyłybyście wszędzie po kątach brunatne ślady. Jak po krwi.

– Mam tylko nadzieję, że nikt tu nie zginął – powiedziała Róża, na wszelki wypadek przesuwając się w stronę środka pomieszczenia. Nie życzyła sobie deptać po jakichś dziwnych śladach niewiadomego pochodzenia. – A więc od czego mamy tu doznać iluminacji?

– Patrz – rozkazała Betty. – Przecież nie oślepaś jeszcze!

Róża popatrzyła na trzymany przez jej agentkę w dłoni i oświetlany latarkami dwóch telefonów różaniec. Składał się z dość nietypowych czarnych koralików, z których wystawały czerwone końcówki innych, jakby wtopionych w te większe. Koraliki połączone były srebrnym łańcuszkiem, a fragment, służący do modlitwy początkowej, połączony został z tym, przy którym odmawia się dziesiątki, srebrnym medalionem z wygrawerowanym popiersiem świętego. Róża potrzebowała tylko sekundy, aby uświadomić sobie, z czym kojarzy jej się ten przedmiot.

– Myślisz..? – zapytała z bijącym sercem, delikatnie wyjmując różaniec z rąk Betty i przybliżając go do oczu. – Poczekaj, po drugiej stronie medalionu jest jakiś napis. Kto z nas ma najlepszy wzrok? Mario?

Blogger pochylił się nad medalionem.

– Coś bez sensu – powiedział z zakłopotaniem – Et nos quidem iuste...

Róża poczuła, jak po plecach przelatuje jej dreszcz.

– Sprawiedliwie odbieramy karę za uczynki swoje – wyrecytowała z pamięci Betty, po czym zwróciła spojrzenie w stronę gospośi Róży. – Pani Cecylia, skąd pani ma ten różaniec?!

– Od księdza nieboszczyka. – Starsza pani sprawiała wrażenie mocno wystraszonej. – Mówił, że znalazł go kilka dni wcześniej w kapliczce, gdzie spotykamy się na odmawianie różańca, i że nikt go nie szukał. Zapytał, czy może nie należy do mnie, i ja...

Widać było, że gospośia zaraz się popłacze.

– Powiedziała pani, że tak? – upewniła się Betty.

– Jest taki piękny... – Cecylia pociągnęła nosem, hamując szloch. – Gdyby ktoś zaczął go szukać, to przecież bym oddała! Klnę się na świętą Afrę z Augsburga!

– Niechże już pani nie rozpacza – Róża pocieszająco pogłaskała ją po ramieniu, po czym, patrząc na Betty, zapytała: – Dlaczego uważasz, że to brakujące ogniwo?

W tym momencie nad ich głowami rozległ się potężny łoskot. Najwyraźniej policji skończyła się cierpliwość i postanowiła pozbawić lokal drzwi. Róża wiedziała, że ona i jej towarzysze mają jeszcze trochę czasu, zanim funkcjonariusze dostaną się do ich kryjówek, bo najpierw muszą rozprawić się jeszcze z jednymi żelaznymi podwojami. Jednak niespokojnie popatrzyła na Pepe.

– Robię, co mogę – odpowiedział jej przyjaciel.

– To rób to szybciej! – krzyknęła. – Betty?

– Lilian przywiozła z Bolonii trzy sztylety – wyjaśniła agentka. – Dwa w komplecie z różańcami i jeden osobno. Ten pojedynczy podarowała swojemu gitarzyście. Zostały dwa komplety. Jeden jest u Danuty Stec, a tutaj jest połowa drugiego.

– Skąd wiesz, że jeden jest u Danuty? – zdziwiła się Róża.

– Nie wiem, dedukuję...

– Poczekaj...

Krull wyłączyła latarkę w swoim telefonie i wystukała numer do aktorki, w duchu błogosławiąc swoją sieć komórkową za wyjątkowo dobry zasięg. Jej aparat jako jedyny łapał tu sygnał. Po chwili wiedziała już, że jej agentka miała rację.

– Jej sztylet i różaniec są w odwrotnym kolorze – poinformowała, kiedy już się rozłączyła. – Tam rękojeść jest czerwona, a koraliki czarne. Podobnie w różańcu. Te większe są czerwone, a mniejsze czarne. Plus ona ma rękojeść zwieńczoną srebrnym obrazkiem ze świętym Dyzmą. Na sztylecte, którym zabito Lilian tego nie ma...

– A na tym, który miał na zdjęciu Wieteska? – zapytała Betty. – Tym zrobionym w garderobie Marty Raj? Bo jeśli tam też go nie było, to oznacza...

Róża patrzyła na nią z oszołomieniem. Wiedziała, co to oznacza. Pytanie tylko, czy jest w stanie to sobie przypomnieć. Pamięć nigdy nie była jej sprzymierzeńcem. Pisarka potrafiła zapomnieć o wszystkim, od nastawionego prania, które po kilku dniach spędzonych w pralce nadawało się już tylko do wyrzucenia, aż po urodziny swojej mamy, która – będąc mistrzynią świata w robieniu z siebie męczennicy – odbierała potem od niej przepaszający telefon cierpkim tonem, mówiąc: „Od dwóch dni sama siebie pytam, czym sobie na to zasłużyłam, córeczko? Czy byłam aż tak złą matką?”. A teraz od jej pamięci zależało to, czy dobrze wytypują mordercę.

Róża na moment zamknęła oczy, starając się przypomnieć sobie dokładnie wszystko to, co działo się kilka godzin temu. Wnętrze kawiarni, obleśnego knura, podającego jej swoją komórkę i obrazek na niej. Na pierwszym planie Marta Raj, za nią toaletka, zabałaganiony blat i leżący wśród bibelotów sztylet. Srebrne ostrze, czarna rękojeść, czerwone koraliki i... Róża skoncentrowała się z całych sił.

– Nie było! – krzyknęła takim głosem, przy którym nawet hałasy wydawane na górze przez policjantów wydały się cichutki szuraniem. – Na sto procent nie było!

Otworzyła oczy.

– Czy to oznacza, że Lilian zabiła Marta Raj?! – zapytała. – A jeśli tak, to jakim cudem różaniec znalazł się u pani Cecylii?

– Marta jest bardzo religijna, swego czasu dawała nawet recitale w kościołach... – powiedziała w zadumie Betty – i też mieszka w Śródmieściu. Pani Cecylio, czy panie się nie znają?

– Ja nawet nie wiem, o kim mowa – przyznała z żalem gospoia. – Nie wyznaję się na tych wszystkich szansonistkach. Aktorki to co innego, ale te śpiewające to mnie nie obchodzą i ich nie rozpoznaję. Ledwo co kojarzę panią

Rodowicz, zwłaszcza odkąd znów ma trzydzieści lat. No, może jeszcze Ewę Demarczyk albo Irenę Santor. Gdybym zobaczyła zdjęcie, to bym powiedziała...

– Róża..?

Pisarka wywołała w komórce wyszukiwarę, a następnie wpisała imię i nazwisko gwiazdy. Wybrała jedno z bardziej aktualnych zdjęć z jakiejś premiery, powiększyła je, po czym dała znać swojej gospośi, żeby się nachyliła.

– Święta Anielo Merici! – krzyknęła Cecylia. – Toż ja ją znam! Była dwa razy u nas na kółku różańcowym. Cichutka, spokojniutka, w ogóle nie rzucała się w oczy. Nie zapamiętałabym jej, gdyby nie to, że mi przypomniała wnuczkę mojej przyjaciółki. Prawie jestem pewna, że to ona! Może pani jeszcze trochę powiększyć, bo te ekraniki są takie maleńkie.

Róża zaczęła rozszerzać na ekranie twarz piosenkarki.

– Ale co pani robi? – zapytała ze zdumieniem Cecylia.

– Przecież kazała mi pani powiększyć! – zdziwiła się pisarka.

– Ale nie ją! – zaprotestowała gospośia. – Tej kobiety w życiu nie widziałam na oczy. Chodzi mi o tę, która stoi za nią.

Róża i Betty w jednym momencie też pochylili się nad komórką. Cecylia popukała palcem w ekran. Krull powiększyła pokazywany przez nią fragment.

– Tak, to na pewno ona! – krzyknęła triumfalnie gospośia.

– Kto to jest? – zdumiała się Betty.

– To... – powiedziała powoli Róża – jest była menadżerka Marty i niedoszła menadżerka Lilian. Justyna Kiljańska.

W tym samym momencie tuż za nimi rozległ się świdrujący w uszach chrobot.

– Otworzyłem drzwi – oznajmił Pepe. – Możemy uciekać. Choć zdaje się, że równie dobrze w tej sytuacji możemy też się poddać. Bo, jeśli dobrze zrozumiałem, właśnie udało wam się odkryć, kto zabił Lilian!

ROZDZIAŁ XXIV

ALE NASTĘPNYM RAZEM...

W rozświetlonym blaskiem kilkudziesięciu świec pomieszczeniu przyszłej kawiarni na Pańskiej zebrało się osiem osób. Miłka i Pepe wyjmowali właśnie z kilku tekturowych pudełek zrobione wcześniej przez tego ostatniego ciasta i eksperymentalne pączki, które w środku miały ciemne, a nie jasne ciasto. Betty w tym czasie rozlewała szampana do kieliszków, a Róża rozkładała talerzyki na dwóch złączonych ze sobą i ustawionych na środku sali stolikach. Krzysztof stał przy oknie i czytał coś w swojej komórce. Cecylia w kącie za barem kończyła odmawianie różańca. Kilka metrów dalej pod ścianą Mario udzielał porad kosmetycznych siedzącej przed nim w kołnierzu ortopedycznym Halinie, której udało się cudem przeżyć wypadek. Po kilku minutach wszyscy zasiedli wokół stolika.

– Kto zacznie przemowę? – zapytała Róża.

– To chyba oczywiste... – mruknęła Betty, patrząc znacząco na swojego ukochanego. – Przecież po to się tu spotkaliśmy, żeby Krzyś mógł wygłosić swoją

umoralniającą pogawędkę.

– Też cię kocham – powiedział Darski z przekąsem. – Masz rację. Muszę wam jakoś uświadomić, że to, co zrobiliście, w dodatku już po raz trzeci, woła o pomstę do nieba. Przecież my też w końcu odkrylibyśmy, kto jest mordercą! To była kwestia co najwyżej dwóch, trzech dni, nie więcej!

– Akurat – szepnęła siedząca najdalej od niego Miłka, nachylając się do ucha Róży. – Koziego bobka by odkryli!

– Słucham? – zaciekawiał się Darski.

– Nic, nic... Proszę sobie nie przerywać.

– Nie możecie ciągle przeszkadzać nam w śledztwie! – powiedział komisarz bardziej z rozpaczą w głosie niż z gniewem. – I w dodatku zatajać informacji oraz dowodów!

– Nic nie zatajaliśmy! – zaprotestowała stanowczo Róża. – Wręcz przeciwnie! Jak tylko znaleźliśmy różaniec, natychmiast się poddaliśmy i go przekazaliśmy!

– Ale wcześniej żadna z was nie zająknęła się o tym, że Lilian podarowała coś Danucie Stec, ani że Karolina Durczak ukradła sztylet swojemu narzeczonemu, ani że ochroniarz Lilian wiedział, że na trzecim nożu też był medalion, ani że zmarły ksiądz pochodził z parafii, do której na msze i kółka różańcowe chodzi pani Cecylia... Czy mam wymieniać dalej?

– No dobrze, trochę przed tobą zataiłyśmy – przyznała sprawiedliwie Betty. – Ale, po pierwsze, tylko dlatego, że wszystko działo się w jakimś absurdalnie błyskawicznym tempie i nie zdążyłyśmy, a po drugie większość z tych rzeczy ostatecznie nie miała żadnego znaczenia. Poza śmiercią księdza...

– Niech go święty Jan Maria Vianney ma w swojej opiece – wtrąciła szybko Cecylia.

– Ale waszym obowiązkiem było informowanie mnie na bieżąco – jęknął Darski.

– Weź się zdecyduj! – fuknęła Róża. – Albo zakazujesz nam czegokolwiek się dowiadywać, albo ochrzaniasz, że ci o tym nie mówiłyśmy.

– Ja z wami zwariuję...

– To zanim wezwiemy kogoś z kaftanem, niech ja wreszcie zrozumiem, o co w tym wszystkim chodziło – powiedziała stanowczo Miłka, która nie brała udziału w piwnicznych odkryciach. Zresztą pozostali poza komisarzem też na razie większości rzeczy się tylko domyślali. – Wiem już, że Justyna zabiła Lilian, ale nie wiem dlaczego. Przecież tylko na tym traciła. Miała u niej pracować!

– To było jej alibi. – Darski postanowił na razie zrobić przerwę w karceniu Róży i spółki, tym bardziej że na sam koniec miał przygotowanego jeszcze w rękawie atutowego asa. – Pamiętajcie opowieść menadżera Lilian o tym, jak kiedyś była chora, a mimo to dała koncert i pojechała na wręczenie nagród

i bankiet?

– Oczywiście, sama przecież tego wysłuchałam – potwierdziła Róża.

– To była wietrzna ospa – przypomniał Darski. – Choroba, która nie jest specjalnie groźna dla dzieci, ba, niektórzy rodzice urządzają nawet specjalne „ospa party”, żeby ich pociechy się szybciej zaraziły i miały to z głowy na całe życie. Ale jest bardzo niebezpieczna dla dorosłych. Traf chciał, że na bankiecie Lilian spotkała się między innymi z Justyną Kiljańską i jej mężem. I zaraziła go. Zmarł dwa miesiące później...

– Ale przecież nie na ospę, tylko w wyniku udaru – zdziwiła się Róża.

– Który to udar był właśnie wynikiem ospy. Powikłania zakrzepowe u dorosłych, którzy przechodzą tę chorobę, nie są wcale taką rzadkością. Tutaj miały wyjątkowo ostry przebieg i nikt przed Justyną nie ukrywał, z czego wynikają.

– Rozumiem już, dlaczego Lilian miała w stosunku do niej wyrzuty sumienia i mówiła coś o długu, jaki musi spłacić... – powiedziała w zamyśleniu Betty. – Musiała się dowiedzieć o chorobie męża Justyny i skojarzyć fakty. Dziwię się jednak, że zaproponowała jej pracę.

– Ja tam się dziwię, że to był powód morderstwa – stwierdziła z niezadowoleniem Róża. – Przecież ona tego męża nawet nie kochała! Powiedziała, że chciała się z nim rozwieść!

– Ale zdaje się, że Marta Raj miała na ten temat inne zdanie – przypomniała Betty. – Tylko od początku przyjęłyśmy, że kłamała.

– Bo kłamała – zgodził się Darski – ale nie w tej kwestii. Doskonale wiedziała, że jej torebka była zamknięta, kiedy zgasło światło, i otwarta, kiedy się zapaliło. Zauważcie, że to nie ona tego wieczoru nosiła tę torebkę, tylko właśnie Justyna. Na każdej imprezie to było jej zadanie, więc nie było w tym w sumie nic podejrzanego. Swoją zostawiała w szatni albo garderobie, a na imprezie pilnowała tej swojej pracodawczyni. Marta co prawda odnotowała, że jej menadżerka w ciągu tych kilku minut znalazła się nie tam, gdzie powinna, a kiedy Róża zaczęła to swoje przedstawienie z obrusem, błyskawicznie wróciła do stolika, ale nie dość, że zachowała to dla siebie, to jeszcze skierowała podejrzenia na swojego gitarzystę. Kiedy zeznawała po raz drugi, twierdziła, że próbował ją molestować, ale był za dobrym muzykiem, żeby go stracić, więc tylko stanowczo dała mu do zrozumienia, że trafił pod zły adres. A insynuacją, że mógłby być zabójcą, chciała mu dać nauczkę. Myślę, że raczej było odwrotnie i to on dał jej kosza.

– Jak wygląda ten cały gitarzysta, że te wszystkie baby, niezależnie od wieku, tak się na niego rzucały?! – zdumiała się Betty. Róża nie siliła się na żadne opisy, tylko znalazła zdjęcie Mojka w komórce. – Hmm... w sumie też bym go z łóżka nie wyrzuciła. – Betty zbyt późno ugryzła się w język.

– Doprawdy, kochanie? – Darski patrzył na nią ironicznie. – To może nie

będę wam stał na przeszkodzie do szczęścia? Po powrocie do domu mogę się od razu zacząć pakować...

– Nie masz czego, bo przez ostatnie dni prowadziłam śledztwo i prawie wszystkie twoje rzeczy czekają na pranie – wzruszyła ramionami Betty. – Ewentualnie możesz zapakować pralkę.

– Rozumiem, że szeptet świętego Dyzmy Justyna dostała od samej Lilian? – zapytała Róża, a kiedy Darski potwierdził to skinieniem głowy, dodała: – Ironia losu, prawda? Wręczyć prezent, za sprawą którego straci się potem życie...

– Poczekajcie, bo nadal nie rozumiem czegoś. Ksiądz i pani Halina? – spytał Mario. – Po co jej to było?

– Już tłumaczę – powiedział Darski uprzejmie. – W czasie choroby męża Justyna załamała się psychicznie. Chodziła do lekarza, próbowała też znaleźć ukojenie w religii. Bynajmniej jednak nie zrezygnowała z zemsty. Wiedziała, że chce ukarać Lilian i tym samym wyrównać krzywdy. Tyle że chciała zawczasu odkupić swoje przewinienia.

Pomna krwawych wyczynów świętej Olgi, Cecylia pokiwała ze zrozumieniem głową. Róża w duchu postanowiła na wszelki wypadek niczym nigdy jej nie podpaść, przynajmniej niczym poważnym. Doskonale wiedziała, że żywoty świętych równie dobrze mogłyby służyć za mały podręcznik „Jak zabijać i nie mieć potem wyrzutów sumienia”, a niektórzy honorowi obywatele rajy mieli na sumieniu więcej ofiar niż Kuba Rozpruwacz, co nie przeszkodziło im potem trafić na ołtarze.

– Morderstwo zaplanowała drobiazgowo – powiedział Darski. – Miała już wtedy wgląd w papiery Lilian, bo Kwieciński z wolna zaczynał przekazywać jej obowiązki. Wiedziała, że przed aukcjami planowane jest wygaszenie świateł, a Marta Raj jak zawsze każe jej opiekować się swoją torebką. Wiedziała też, że może tam ukryć szeptet, bo VIP-ów się prawie nie kontroluje przy wejściu. Ale jednocześnie przez cały czas była zdenerwowana. I popełniła kardynalny błąd, który zauważyła dopiero następnego ranka po morderstwie. Zgubiła gdzieś różaniec, który stanowił komplet ze szeptetem. Wpadła w panikę i przypomniała sobie, że poprzedniego dnia, przed balem, modliła się w kościele. Kiedy tam przyszła, zobaczyła panią – skinął w stronę Cecylii – księdza i ten upiorny różaniec. Do tego wcześniej wyspowiadała się u księdza ze swoich myśli o zemście. Wiedziała, że wielebny nie może złamać tajemnicy spowiedzi, bo tego księży nie robią nawet w przypadku morderstwa, ale zaczęła się obawiać, że może skojarzyć różaniec ze szeptetem, jeśli tylko ten zostanie upubliczniony. Postanowiła nie ryzykować i zabiła księdza, a następnie usiłowała rozprawić się z panią.

– Wiesz to od niej? – upewniła się Betty. – Przyznała się?

– Początkowo usiłowała zrzucić wszystko na Martę, która nota bene usiłowała ją szantażować...

– Czemu?

– Bo Justyna miała w ręku wszystkie kontrakty Lilian, jej umowy sponsorskie i z organizatorami koncertów, zaproszenia na festiwale i imprezy. Dla Marty to była prawdziwa kopalnia złota. Pod warunkiem, że Justyna jej to przekaże...

– Ale ostatecznie się przyznała?

– Dopiero po tym, jak w czasie rewizji u niej w domu znaleźliśmy brakujący w sztylcie medalion ze świętym Dyzmą, uznała, że dalsze kłamanie nie ma sensu. Nie zdawała sobie też sprawy z tego, że ten sztylet ktoś uwiecznił wcześniej na zdjęciu w garderobie Marty. Gdyby nie to, pewnie długo byśmy go jeszcze szukali. Tym bardziej że gitarzysta i jego narzeczona nie ułatwili nam sprawy, kradnąc sobie wzajemnie coś, co wydawało im się narzędziem zbrodni.

Przez chwilę panowało milczenie.

– Ech... – westchnęła w końcu Róża. – Najbardziej z tego wszystkiego boli mnie fakt, że majątek Lilian odziedziczy ktoś, kto na to kompletnie nie zasługuje. Narkoman, kłamca i przestępca. Nie możecie mu czegoś z tego wszystkiego udowodnić?

– Nic nie odziedziczy – zaprotestował Darski. – Na krótko przed śmiercią Lilian odwiedziła swojego notariusza i poprosiła, żeby cały majątek zapisał Danucie Stec. Nie chciała wyjaśnić dlaczego...

Róża poczuła ulgę. Przynajmniej w tym jednym przypadku sprawiedliwości stało się zadość.

– No dobrze – radosny głos Miłki wyrwał wszystkich z zadumy. – Koniec tych dramatów. Czy możemy już zacząć jeść? Bo te czarne pączki od kilku minut telepatycznie łączą się z moim żołądkiem, wołając: „zjedz nas, zjedz nas”. Swoją drogą, z czegoś ty je zrobił?

– To są normalne początki, tyle że z dodatkiem kakao – wyjaśnił Pepe. – W środku z bitą śmietaną, a na górze ozdobione lukrem pomarańczowym.

– Pójdą ci, kochana, od razu w biodra – ostrzegł Mario – i zostaną tam na zawsze!

– A niech zostają – Miłka od razu nałożyła sobie dwa. – Kiedy otwierasz, bo teraz już chyba pójdzie ci z górki?

Korzystając z tego, że wynajęty przez niego lokal stał się miejscem – jak to opisał w protokole zniszczeń – „brutalnej interwencji” policji, Pepe rozprawił się po cichu z „zabytkową” polichromią i teraz miał wolną rękę do wprowadzania tu takich zmian, jakie tylko chciał.

– Myślę, że to kwestia miesiąca, nie więcej – powiedział z satysfakcją. – Następnym razem widzimy się na uroczystym otwarciu.

– Widzisz, jak pięknie się wszystko ułożyło – Róża uraczyła go uśmiechem. – Powinieneś mi podziękować!

– Na twoim miejscu zająłbym się lepiej konsumpcją pączka i uważał, żeby się nim nie udławić – chłód głosu Pepe w tym momencie zamroziłby bez trudu nawet i wodospad Niagara. – Jeszcze ciągle nie darowałem ci wgniecenia błotnika i siedemnastu rys na Stefanie!

– Przecież za to zapłacę – powiedziała Róża ugodowo. – Już ci obiecałam...

– Jestem dopiero w trakcie przebaczenia ci – poinformował ją Pepe, nadal lodowato. – To skomplikowany i długotrwały proces.

– A propos procesów... – Darski wstał ze swojego krzesła i potoczył po zebranych groźnym wzrokiem. – Obiecuję wam to z ręką na sercu. Na wypadek gdyby znowu wydarzyło się jakieś morderstwo i chcielibyście mi się kolejny raz wtrącać w śledztwo, to mam tu pewien dokument. – Sięgnął do kieszeni i wyjął złożoną na cztery kartkę.

– Co to jest? – zapytała kpiąco Miłka. – Nakaz aresztowania?

Ponieważ Darskiemu nie drgnął nawet kącik ust, Miłka czym prędzej sięgnęła po kolejne dwa pączki.

– Jak mamy trafić do ciupy, to muszę zrobić zapasy – wytłumaczyła – bo znając Różę, znajdziemy się tam szybciej, niż myślicie...

– Taaaaak – powiedział komisarz. – To jest wypisany bez daty nakaz aresztowania obywatelki Róży Krull za utrudnianie prowadzenia śledztwa. I bądźcie pewni, że zdobędę też taki dla każdego, kto będzie jej w tym pomagał. Zrozumieliście?

Pięć osób kiwnęło twierdząco głowami. Szósta nie mogła tego zrobić, bo uniemożliwiał jej to kołnierz ortopedyczny, a siódma potwierdziła to nieco wcześniej w domu.

– Teraz możemy już wznieść toast. – Darski ujął kieliszek w dłoń. – Proponuję taki: żadnych morderstw więcej!

– Ani porysowanych samochodów – dodał Pepe.

Kiedy wszyscy skosztowali szampana, Darskiemu przypomniała się jeszcze jedna rzecz.

– A swoją drogą, jedno nadal zostaje dla mnie zagadką – powiedział w zamyśleniu, odstawiając kieliszek. – Kto, do licha ciężkiego, ukradł ten cholerny sztylet..?

Róża, której w głowie zaświeciła się czerwona lampka, popatrzyła uważnie na Miłkę. Jej przyjaciółka zajęta była konsumowaniem pączka, ale kiedy po chwili ich wzrok się spotkał, prawie niezauważalnie się uśmiechnęła.

– Tego się już chyba nigdy nie dowiemy – powiedziała głośno, po czym dodała: – A czy to w ogóle teraz już takie ważne?

* * *

Pogrzeb Lilian zgromadził na cmentarzu tłumy jej fanów, którzy zamienili ceremonię w coś w rodzaju połączenia Parady Miłości z musicalem „Rocky Horror Picture Show”. Czująca się wśród nich jak postać z innej bajki Róża wyłowiła z tłumu Danutę Stec. Zdegustowana mina aktorki świadczyła o tym, że i ona nie potrafi się odnaleźć w takiej sytuacji. Z ulgą dołączyła do Róży, oddalając się trochę od barwnego konduktu, odprowadzającego młodą gwiazdę z kościoła na miejsce jej pochówku.

– Dzisiejsza młodzież ze wszystkiego potrafi zrobić show – powiedziała Danuta. – Jak pani wie, staram się być wyrozumiała, ale robienia sobie zdjęć na tle trumny nigdy nie pojmę.

– Ja też nie – zgodziła się Krull. – Choć pewnie sama Lilian nie widziała by w tym nic zdrożnego.

– Nie wiem... – Danuta na moment się zamyśliła. – Wydaje mi się, że wszyscy ją źle ocenialiśmy. Wiem, że powtarzam to kolejny raz, ale tak podpowiada mi serce. Patrzyliśmy na jej wyzywające stroje, słuchaliśmy jej nonszalanckich wypowiedzi i od razu klasyfikowaliśmy ją jako osobę źle wychowaną i wyrachowaną, zapominając, że tak naprawdę było to ciągle dziecko. Zachłyśnięte sławą, pieniędzmi, adoracją ludzi. Czasem złośliwe, czasem robiące komuś na złość, jak to dzieci mają w zwyczaju. Takt, zdolność wycucia sytuacji, umiejętność przebaczenia przychodzą z wiekiem. Czasem uczymy się tego przez całe życie.

Spojrzała na Różę i, widząc, że pisarka nie wygląda na przekonaną, uśmiechnęła się.

– Wie pani, że odziedziczyłam po niej cały majątek? – zapytała.

Róża potwierdziła.

– I zastanawia się pani dlaczego – Danuta zdawała się czytać w jej myślach. – Powiem to pani. Podczas wizyty u mnie, wtedy kiedy podarowała mi pamiątki z Bolonii, Lilian opowiedziała mi o swoim menadżerze. O tym, że ją oszukuje i że część pieniędzy, które zarabia u niej albo kradnie za jej plecami, przeznacza na narkotyki. Powiedziała, że kiedy chodziła do szkoły, wielu jej znajomych miało przygody z używkami i jedna z nich skończyła się tragicznie. I że ona nie może mieć z tym nic wspólnego. Chciała iść na policję i zeznać, co wie, ale bała się zemsty. Przyznała, że była pewna, że ma w tym menadżerze oddanego przyjaciela, i że strasznie się zawiodła. Zapytała, czy pomogłabym jej w naprawieniu krzywd. Nie rozumiałam, co miała na myśli, ale obiecałam jej, że zrobię wszystko, co będę mogła, i że może na mnie liczyć. Kiedy dwa dni temu odebrałam telefon z jej kancelarii prawnej, wszystko stało się dla mnie jasne.

Wiem, co mam zrobić.

– Przekáže pani te pieniądze dla Monaru?

– Sporą część tak. – Poważne oblicze Danuty rozjaśnił uśmiech, odejmując jej z miejsca kilka dobrych lat. – A za pozostałą sumę, która przecież każdego roku będzie zasilana nowymi dochodami, postanowiłam utworzyć fundację imienia Lilian, opiekującą się młodymi ludźmi, którzy zesli z dobrej drogi, ale jednak chcą ułożyć sobie życie od początku i mają jakiś artystyczny talent. Myślę, że Lilian ten pomysł bardzo by się spodobał.

EPILOG

– Czy pani aby nie przesadza?!

Róża ze zgrozą rozglądała się po salonie swojego mieszkania.

– Jutro jest 11 listopada – poinformowała ją Cecylia. – Wypada to uczcić!

– I dlatego zrobiła mi tu pani wystawę ptactwa? – Pisarka spojrzała na parapet, szczelnie zapełniony gipsowymi figurkami ukoronowanych skrzydlatych bestii, z których jedynie kilka przypominało orły, a pozostałe kojarzyły się z gołębiami, jastrzębiami, kaczkami, a jeden nawet ze smokiem z „Gry o Tron”. – To jest Święto Niepodległości, a nie międzynarodowy dzień wszystkiego, co lata.

Wśród gipsowego ptactwa pisarka dostrzegła też czarno-biały portret. Podeszła i przyjrzała mu się z niekłamany z dumieniem.

– A ten facio to niby kto? – zaciekała się. – Kapitan Ameryka?

– Jaki Kapitan Ameryka?! – Pani Cecylia zachłysnęła się z oburzenia. – Toż to marszałek Piłsudski!

– To jest Piłsudski?! – Róża jeszcze raz przyjrzała się portretowi, ale jako żywo uwieczniona na nim postać nadal kojarzyła jej się tylko ze skądinąd będącym dla niej ideałem męskiej urody aktorem Chrisem Evansem. – Przecież on miał sumiaste wąsida!

– To jest młody Piłsudski – pouczyła ją gospośia. – Starego nie lubię właśnie przez te wąsy. Mężczyzna powinien mieć albo pełny zarost, albo gładką twarz.

Wąsy są do niczego!

Choć Róża w pełni podzielała tę opinię, to dekorowanie salonu portretem legendarnego marszałka z czasów, gdy chodził do gimnazjum, wydało jej się mocno oryginalnym sposobem na uczczenie 11 listopada. Zaraz przypomniało jej się, że nie to jest jednak najgorsze.

– Czy te flagi, które pani wywiesiła na balkonie, naprawdę muszą być takie kobylaste? – spytała rozpaczliwie. – Z daleka wyglądają jak żagle i to rąbnięte z „Daru Pomorza”! Zasłoniła pani nimi pół bloku!

– Święto to święto – odpowiedziała Cecylia, wzruszając ramionami. – Trzeba je należycie uczcić! Jutro najpierw obejrzymy paradę, a potem posłuchamy pieśni legionowych. Już przyniosłam nawet płyty!

Róża wiedziała, że tak jak nie wygrała batalii o świeckość swojej kuchni, która z każdym dniem coraz bardziej zamieniała się w jakieś dziwaczne sanktuarium, tak i w tym przypadku poniesie klęskę. Kiedy jednak w swoim pokoju znalazła ołtarzyk z kolejnymi ptakami, tudzież archiwalnymi fotografiami wyzwolonej Warszawy i pięcioma gromnicami, doszła do wniosku, że nie wytrzyma w swoim mieszkaniu ani chwili dłużej, a już na pewno nie spędzi w nim dwóch dni, dzielących ją od momentu, kiedy będzie można rozmontować tę dekorację. Przez chwilę trochę pogłównowała, uświadamiając sobie z rozczarowaniem, że Betty pojechała z Krzysztofem do swoich rodziców, Mario wrócił do rodzinnego miasteczka, Miłka byczy się w SPA na Mazurach, a Pepe jest zawałony robotą, po czym wpadła na epokowy pomysł.

– Pani Cecylio – powiedziała, przechodząc do kuchni i konstatując, że do galerii eksponowanych tam na ścianach świętych doszły dwie kolejne, dość makabryczne facjaty. – Pamięta pani, jak umawialiśmy się, że zaraz po Święcie Niepodległości pojedziemy do pani rodzinnej miejscowości, żeby dowiedzieć się co nieco o śmierci wójta i dlaczego ktoś wcześniej nam o tym napisał w liście?

– Myślałam, że już to pani zgłosiła na policję! – Gosposia popatrzyła na nią z wyrzutem.

– Przez to wszystko, co się ostatnio działo, zupełnie o tym zapomniałam – wyjaśniła Róża. – Czy już wiadomo, kto go zabił?

Cecylia pokręciła przecząco głową.

– Bo tak sobie pomyślałam... – powiedziała wolno Róża – że właściwie po co czekać aż tak długo? Potem ludzie zapomną, co i jak, wszystko im się zacznie mieszać. Co pani na to, żeby wyruszyć tam już dzisiaj?

Gosposia zrobiła duże oczy.

– Ale przecież ten pan policjant... – zaczęła, jednak pisarka z miejsca jej przerwała.

– On mówił tylko o tym, żeby nie wtrącać się w jego śledztwa, prawda? – powiedziała z niewinną miną. – A przecież tam go nie będzie.

– Ale... – Cecylia nie wyglądała na przekonaną. Stojąca w korytarzyku między salonem i kuchnią Róża jeszcze raz rzuciła okiem na parapet, portret marszałka bez wąsów oraz przygotowane przez Cecylię płyty.

– Żadne „ale” – powiedziała stanowczo. – Odpoczęliśmy dwa dni i można zaczynać kolejną przygodę! Wezmę tylko laptopa, bo czuję, że może z tego wyjść całkiem niezła książka...

PODZIĘKOWANIA

Tradycji musi stać się zadość. Poza tym wiem, że kilka osób czeka, aby przeczytać te słowa. Nie zwlekając więc, podziękuję:

– Małgosi Szeroczyńskiej, która znów zdjęła mi nóż z gardła – JESTEŚ WIELKA :),

– Pawłowi Płaczkowi, który zamykał mnie regularnie w pokoju i dbał o to, abym codziennie pisał, a na moje nieśmiałe protesty, że czuję się jak skazaniec, zamknięty w wieży, odpowiadał niewzruszenie: „Jakoś Remigiusz może pisać dzień w dzień, nie narzeka i jeszcze do tego biega!”,

– Remigiuszowi Mrozowi za to, że pisze dzień w dzień, nie narzeka i jeszcze do tego biega,

– Magdalenie Witkiewicz, która schudła w czasie mojego pisania tyle, ile ja przytyłem (chętnie oddam),

– Dorocie Schrammek, która kończyła swoją książkę w tym samym czasie i z którą wymieniliśmy sto maili o treści: „Dasz radę!”,

– Iwonie Banach – za to, że swoimi felietonami potrafi mnie zawsze rozśmieszyć do łez,

– Melanii Grygoruk, która zapewniła mi regularne dostawy ekologicznej herbaty i codziennie w okolicach trzeciej w nocy wysłała mi SMS-a: „A może już na dzisiaj starczy? Sio spać!”,

– Annie Natalii Klarze Jędrzejewskiej – za wszystkie nasze rozmowy, których nigdy za dużo,

– moim trzem blogowym muzom: Pauli Sieczko, Ani Karowicz i Wioli Umeckiej,

– Kasi Miklaszewskiej, Ewie Butkiewicz-Wągiel, Danusi Płachetko, Ewie Kiskowiak, Aggi Sajdak, Bożenie Joannie Kolczewskiej – za cudowną pogodę ducha oraz przede wszystkim:

– moim Czytelnikom, którzy są zawsze dla mnie największą inspiracją. Dziękuję, że czytacie moje książki, że polecacie je Waszym znajomym i zawsze we mnie wierzycie (czasem bardziej niż ja sam w siebie). Jestem Waszym wielkim dłużnikiem!

SPIS TREŚCI

Okładka

Karta tytułowa

OŚWIADCZENIE

POSTACIE

PROLOG

ROZDZIAŁ I: Zazdrość

ROZDZIAŁ II: Zaproszenie na bal

ROZDZIAŁ III: Zmieniony zapis

ROZDZIAŁ IV: W ciemności

ROZDZIAŁ V: Mnie w to nie mieszaj!

ROZDZIAŁ VI: Tylko pani to powiem

ROZDZIAŁ VII: Ciach, ciach...

ROZDZIAŁ VIII: Cień

ROZDZIAŁ IX: Gdyby nie ten dziwnny chłopiec...

ROZDZIAŁ X: Strach

ROZDZIAŁ XI: I po co te pytania?

ROZDZIAŁ XII: Mordercy na papierze

ROZDZIAŁ XIII: Zabójstwo o północy

ROZDZIAŁ XIV: Kto na to pozwala?

ROZDZIAŁ XV: Sztylet Borgiów

ROZDZIAŁ XVI: Pisk opon

ROZDZIAŁ XVII: Na kłopoty Tygrys

ROZDZIAŁ XVIII: Trzy sztylety

ROZDZIAŁ XIX: Dwubiegunówka

ROZDZIAŁ XX: Pościg

ROZDZIAŁ XXI: Rozmowa z mordercą

ROZDZIAŁ XXII: Ja ją zabiję!

ROZDZIAŁ XXIII: Różaniec

ROZDZIAŁ XXIV: Ale następnym razem...

EPILOG

PODZIĘKOWANIA

Reklama

Karta redakcyjna



„Intryga godna spraw Herculesa Poirota plus humor – jak na Księża Komедii Kryminalnej przystało. Wybuchowa mieszanka!”
Paweł Płaczek, *Flesz*

FILIA MROCNNA STRONA

mrocznastrona.pl

Copyright © by Aleksander Rogoziński, 2018

Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2018

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2018

Projekt okładki: Olga Reszelska

Zdjęcie na okładce: © Lyn Randle / Trevillion Images

Redakcja: Małgorzata Tougri

Korekta: Marta Akuszewska

Skład i łamanie: Dariusz Nowacki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”

Dariusz Nowacki

darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8075-452-2

FILIA

Wydawnictwo Filia

ul. Kleeberga 2

61-615 Poznań

wydawnictwofilia.pl

kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA MROczNA STRONA

mrocznastrona.pl

Redaktor prowadzący serii: Adrian Tomczyk

ALEK ROGOZIŃSKI

Jeden bal.
Jeden martwy Kopciuszek.
I dziesięć osób,
które miały powód, by zabić.



KTO
ZABIŁ
KOPCIUSZKA?

FILIA



